WYDANIE SPECJALNE – NA MAJÓWKĘ – 108 STRON

Sekret kandydata **do Sądu Najwyższego**

Kaczyński – Macierewicz: historia szorstkiej przyjaźni

Terlikowski przejrzał **zamiary papieża**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 17–18/219–220 24 KWIETNIA–7 MAJA 2017

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CHCĄ Z NAS ZROBIĆ ANTYSEMITÓW

Jak lewica próbuje przyprawić Polakom gębę

eprasa.pl 9c18f8eb3d

VIKO YACHTS

EST 1987

VIKO 20, VIKO S 21, VIKO S 22, VIKO 23, VIKO 25, VIKO S 26, VIKO 27DS, VIKO S 30 , VIKO 40

VIKO YACHTS

www.vikoyachts.com
e-mail: info@vikoyachts.com,
tel. + 48 61 670 96 05, + 48 61 306 71 71
Poznań - Zakrzewo, ul.Przemysłowa 24-37

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Geneza pewnej mistyfikacji

Kiedy Joanna Siedlecka kilka tygodni temu opowiedziała mi o tym, jak jeden z teatrów próbuje ożywić mit „Malowanego ptaka" Jerzego Kosińskiego, myślałem, że się przesłyszałem. Jak to? Czy to możliwe, żeby dziś, kiedy dzięki jej żmudnej i odważnej pracy reporterskiej powszechnie wiadomo, że opowieści Kosińskiego były jedną wielką mistyfikacją, czy to możliwe – powtarzam – żeby ktoś próbował je traktować poważnie? Czy naprawdę można sobie wyobrazić, żeby zmyślone wspomnienia miały posłużyć jako miara i punkt odniesienia? A co powiedzieć o tym, że na podstawie tego samego zafałszowanego źródła ma powstać, ba, już powstaje, pełnometrażowy film?

Właściwie nie powinienem się dziwić. Sam przecież całkiem niedawno starałem się pokazać, na czym polega zjawisko religii Holokaustu, dlaczego ów bałwochwalczy kult się rozwija i skąd czerpie swą siłę. Wskazałem cztery główne filary owej wiary – przekonanie o absolutnej wyjątkowości Holokaustu, wiarę w absolutną (większą niż innych) niewinność Żydów, przeświadczenie, że w zbrodni uczestniczyły wszystkie narody i że pierwotnym źródłem morderczej nienawiści było skażenie w zarodku religii chrześcijańskiej. Tak rozumiany holokaustianizm, swoista dogmatyczna pseudoreligia lub ideologia, od lat dominuje już w życiu umysłowym Zachodu. Jego wyznawcami są profesorowie historii, pisarze, publicyści, intelektualiści i wszelkiej maści artyści, postępowcy oraz liberałowie. Z pewnością nie są to tylko Żydzi – niektóre, bardziej tradycyjne środowiska żydowskie są do tej nowej religii nastawione sceptycznie i krytycznie. Nie. Jej głównym kołem zamachowym, głównym źródłem popularności i potęgi jest lewicowa ideologia, która w holokaustianizmie znalazła idealny wręcz instrument do oskarżenia, podważenia, zniszczenia dziedzictwa Europy, jej chrześcijańskiej tradycji.

Rozumowanie wyznawców jest proste i co do zasady logiczne: każdy, kto przyjmie cztery filary holokaustianizmu za dobrą monetę, prędzej czy później będzie musiał zobaczyć w przeszłości, w dawnej cywilizacji europejskiej, w tym, co przekazały poprzednie pokolenia chrześcijan, coś przerażającego i moralnie ohydnego. Na gruzach tej starej kultury, na gruzach katolicyzmu i – szerzej – chrześcijaństwa można wznosić nowy gmach utopii. Żeby to jednak skutecznie zrobić, trzeba wcześniej odebrać obrońcom tradycji i starego ładu moralną prawość. Mogą oni przetrwać, dostosowując się do nowej opowieści, przyjmując na siebie nie swoje winy i nie własne zbrodnie, czego wyrazem mają być zbiorowe akty ekspiacyjne.

Trudno nie zauważyć, że dla tej holokaustiańskiej ideologii czymś szczególnie trudnym do zniesienia są polskie cierpienie i polska martyrologia. Z kilku powodów. Po pierwsze, skala cierpień Polaków, choć mniejsza niż żydowska, też była ogromna. Po drugie, ludobójstwo Polaków zaczęło się wcześniej niż Żydów oraz w podobnym stopniu uczestniczyły w nim oba totalitarne reżimy – tak sowiecka Rosja, jak hitlerowskie Niemcy. Polacy są ofiarą niewygodną jeszcze z jednego powodu – w zdecydowanej większości byli katolikami, a przecież według ideologii holokaustiańskiej katolicy z definicji powinni należeć do kategorii sprawców. I rzecz dla wyznawców najbardziej bolesna – wiele polskich ofiar zginęło za sprawą żydowskich komunistów, szczególnie po 1945 r., co nijak nie mieści się w obrębie dogmatów holokaustiańskich.

Z tych właśnie powodów lewicowi ideolodzy wkładają tyle wysiłku, żeby Polakom wmówić winę. Jest to idea tak ważna i tak szczytna, że dla jej realizacji można posłużyć się wszystkimi środkami. Jeśli trzeba, to zmistyfikowanymi wspomnieniami. Albo – rzecz nie mniej szokująca, której dokonał „El País" – spisem morderców z Auschwitz, którego publikacja przez IPN ma być dowodem na… chęć ukrycia polskiej winy i tłumienia wyrzutów sumienia. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 8 MAJA 2017 R.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z JOANNĄ SIEDLECKĄ
GALWANIZOWANIE TRUPA
Jak z Polaków próbuje się zrobić antysemitów

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NAGONKA NA POLSKĘ

KRAJ

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NIEZNANA TWARZ TEMIDY
Kulisy kariery wiceprezesa KRS

32 KAMILA BARANOWSKA
ANTONI, ANTONI I JESZCZE RAZ ANTONI!

36 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SELLINEM
PAŃSTWO PRZESTAŁO BYĆ TEORETYCZNE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SPALONY WIPLERA

43 ROZMOWA Z PIOTREM TYMĄ
PROBLEMEM JEST POLSKI NACJONALIZM

KULTURA

46 PIOTR GOCIEK
NARODZINY NARODU
Seriale historyczne

48 WOJCIECH ENGELKING
ZAGŁADA DOMU BLOCHÓW

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
METODA FRANCISZKA
Ostateczna eliminacja konserwatystów

64 ŁUKASZ WARZECHA
ORBITUJĄCY TUSK

66 FILIP MEMCHES
POWRÓT DRUIDÓW

HISTORIA

68 PROF. ANDRZEJ NOWAK
JAK SIĘ BUDUJE TRWAŁĄ UNIĘ?
Unia horodelska – przymierze krajów oparte na miłości

72 PIOTR SEMKA
DROGA PRZEZ CIEMNĄ DOLINĘ

ŚWIAT

76 JACEK PRZYBYLSKI
WIELKI SUŁTAN ERDOĞAN
Gra o tron dzieli Turków

80 TERESA STYLIŃSKA
ULSTER, BREXIT I KROKODYL

82 ŁUKASZ ZBORALSKI
ANTYMAJÓWKA W EUROPIE

84 GABRIEL MICHALIK
GDZIE ZAMIESZKA CHORĄŻY GAWRIŁOW?

EKONOMIA

88 STEFAN SĘKOWSKI
BUDUJEMY WIELKIE COŚ
Ambicje władzy a ekonomia

90 EDYTA HOŁDYŃSKA
RAJ WŚRÓD LODOWCÓW

ŻYCIE I NAUKA

96 KATARZYNA PINKOSZ
NIE TRAĆMY WZROKU
Spojrzenie na zdrowie

STYL

98 JOANNA BOJAŃCZYK
NOWE CUDA W STARYM ŻYCIU
Technologia na wybiegu

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (55), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (92), KOMUDA (100), TYRMAND (104), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

POLSKA
WIELKI PROJEKT

Wolność – polski projekt dla Europy

POLSKA WIELKI PROJEKT

VII Kongres Polska Wielki Projekt

Warszawa 18-21 maja 2017 r.

18 maja 2017 r. – Akademia Sztuk Pięknych-Wydział Scenografii, ul. Wybrzeże Kościuszkowskie 37/39

19-21 maja 2017 r. – Teatr Wielki–Opera Narodowa w Warszawie, Sale Redutowe, pl. Teatralny 1

prof. dr hab. Piotr Gliński,
socjolog, badacz ruchów
i społeczeństwa obywatelskiego

Rejestracja: www.polskawielkiprojekt.pl

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie życzenia wielkanocne, które do teraz docierają do naszej redakcji. W tym tygodniu – na przekór świątecznemu nastrojowi – sprostowania i polemiki, w tym fragment ważnego pisma, które otrzymaliśmy od ambasadora Gruzji w Polsce.

Pan Paweł Lisicki, Redaktor Naczelny

Ambasada Gruzji w Rzeczypospolitej Polskiej aprobuje wszelkie starania, zmierzające do badania i poznawania nieznanych kart historii Gruzinów i Polaków dotyczących ich stosunków i wspólnych losów. Z przykrością jednak stwierdzamy, iż tytuł artykułu Piotra Zychowicza „Gruzińska rzeź Polaków – nieznany epizod ludobójstwa" („Do Rzeczy" 14/2017) nie jest jasny i wprowadza w błąd czytelnika, sugerując przekłamanie faktów historycznych.

25 lutego 1921 r., po okupacji niezależnej Demokratycznej Republiki Gruzji przez bolszewicką Rosję, ustrój radziecki przeprowadził wobec Gruzinów niejedną represję. W okresie czerwonego terroru, według danych procentowych, to Gruzini najbardziej ucierpieli spośród narodów mieszkających w ZSRS. Sowieckie represje dotknęły nie tylko Polaków, lecz także wszystkie etniczne grupy mieszkające w Gruzji, jak i oczywiście samych Gruzinów.

Pragniemy więc zaznaczyć, że to nie była „gruzińska rzeź", lecz rzeź dokonana na Polakach przez funkcjonariuszy NKWD na terytorium okupowanej Gruzji.

Z wyrazami szacunku
Nikoloz Nikolozishvili,
ambasador Gruzji w RP

„Do Torunia po sacrum" Szanowny Pan Redaktor Andrzej Horubała

Z uwagą przeczytałam artykuł Pana autorstwa o toruńskiej świątyni („Do Rzeczy" 15/2017). Czyżby Pan naprawdę był przekonany, że Ojciec Dyrektor sam decyduje o całym wystroju świątyni? Bardzo mnie to razi, że Pan właśnie Ojca Dyrektora T. Rydzyka oskarża o stworzenie kiczu mentalnego i estetycznego, wypomina Mu uległość wobec estetyki cukierniczego zdobnictwa, żenującego realizmu i w ogóle stworzenia świątyni „dzieł sztuki prześlicznej". [...]

Dyrektor T. Rydzyk podlega procedurom. Sztab ludzi kompetentnych – specjalistów uprawnionych do sprawowania nadzoru, wydawania decyzji, historyków sztuki, estetyków, architektów, rozlicznych komisji – zaangażowany jest we wszystkie etapy prac.

Pan Redaktor oskarża Ojca Dyrektora o brak gustu? Czy naprawdę uważa Pan, że to Ojciec Dyrektor, działający poza wszelką kontrolą, spełnia swoje widzimisię? [...]

Elżbieta Wachowska

Od autora:

Tak, jestem przekonany, że to Ojciec Dyrektor, a nie jakieś tajemnicze gremium, jest odpowiedzialny za umieszczenie witraży i fresków eksponujących jego osobę, i to nawet w tak znaczącym miejscu jak kaplica upamiętniająca Polaków, którzy oddali swoje życie, ratując żydowskich współbraci. Sądzę też, że za zgodą Ojca Dyrektora w prezbiterium kościoła umieszczono naturalnych rozmiarów kukłę modlącego się Jana Pawła II.

Andrzej Horubała

W hołdzie ofiarom Katynia

W ogłoszenie zapowiadające na 15 sierpnia 2017 r. koncert w hołdzie ofiarom Katynia („Do Rzeczy" 16/2017) wkradł się błąd.

Koncert odbędzie się w kościele parafii rzymskokatolickiej w Krynicy-Zdroju pw. św. Antoniego Padewskiego przy ul. Kraszewskiego 72 (Padwa, Włochy...), a nie Antoniego Paderewskiego.

[...]

Z poważaniem
Andrzej Łopusiński

Od redakcji:

Rzeczywiście „umuzykalniliśmy" patrona parafii w Krynicy-Zdroju, robiąc z Padewskiego – Paderewskiego. Przepraszamy i wzmagamy czujność!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Fotolia; oprac. graf.: JAN/MIDAS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż); **Karolina Olchowik** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 9c18f8eb3d

23.04
2017

ORLEN WARSAW MARATHON

NARODOWE ŚWIĘTO SPORTU

DZIĘKUJEMY!

PARTNERZY GŁÓWNI

asics OSHEE

PARTNER MEDYCZNY

CAROLINA medical center GRUPA LUXMED

HONOROWY PATRONAT

PZLA

PATRONI MEDIALNI

Trójka POLSKIE RADIO TVP SPORT

ZAPRASZA

ORLEN

eprasa.pl 9c18f8eb3d

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kolejny etap starej wojny

Jeśli ktoś był na tyle naiwny, by brać serio deklaracje Donalda Tuska, że po reelekcji na stanowisko szefa Rady Europejskiej zachowa neutralność wobec rządu PiS, to po medialnym show na Dworcu Centralnym winien stracić złudzenia. Tusk chce błyszczeć w polityce krajowej i nie rezygnuje z roli superszefa PO.

Odwiedził swoje ukochane dziecko – Muzeum II Wojny Światowej, „demokratycznie" podróżował pendolino i wdzięcznie fotografował się ze swymi fanami. W sumie demonstracja politycznej siły i przypomnienie, że ambitny gdańszczanin myśli o prezydenturze w 2020 r.

A jednak był w tym show jakiś fałszywy ton, który mówi nam coś nowego o mistrzu politycznego PR. Tusk po raz pierwszy od dawna chciał coś na siłę udowodnić. Tusk brukselski z pierwszej kadencji niczego udowadniać nie musiał. Był odległy i odświętny. A Tusk z Dworca Centralnego mizdrzył się do tłumów i pośrednio przypominał o swej przewadze nad Grzegorzem Schetyną.

Sam jestem ciekaw, jak będą wyglądały ewentualne kolejne wizyty byłego lidera PO nad Wisłą. Czy znajdzie jakiś odpowiedni, nowy ton, aby na nowo zainteresować swoją osobą, czy jego wizyty spowszednieją, tak jak marsze KOD?

Faktem jest, że PiS ma na głowie kolejny kłopot. Platforma może łatwo wykreować wzywanego na przesłuchania Tuska na ofiarę mściwości Jarosława Kaczyńskiego. A właśnie wydaje się, że skończyła się epoka „zamurowanego" układu sondaży wskazujących na wysoką przewagę Prawa i Sprawiedliwości.

Sprawa, w jakiej wzywany jest do prokuratury Tusk, nie jest czytelna i łatwo ją PO opisać jako nękanie politycznego rywala. Ponadto Tusk zeznaje pod przysięgą i każde matactwo może mu zaszkodzić.

Być może dlatego obecny szef Rady Europejskiej tyle mówił o swoim immunitecie i o swojej dobrej woli, którą może w każdej chwili cofnąć.

Pytanie: Jak zareaguje Grzegorz Schetyna na ewentualne coraz częstsze powroty? Nie pojawił się na dworcu, by witać swego niegdysiejszego prześladowcę, w odróżnieniu od swoich oponentów – od Ewy Kopacz do Stefana Niesiołowskiego. I ku rozpaczy Schetyny musiało to się zdarzyć akurat teraz, gdy lider PO delektował się zwycięstwem w rywalizacji z Ryszardem Petru.

W PO może odżyć teraz na nowo podział na tych, którzy postawili na „Grześka", i tych, którzy czekają na powrót wielkiego Donalda. Pytanie: Czy PiS skorzysta z tego rozdwojenia w największej partii opozycji?

I czy ma własne pomysły na drugą połowę swych rządów? Samymi bowiem kpinami z Tuska Jarosław Kaczyński nie powtórzy sukcesu wyborczego z 2015 r.

Po skompromitowanym Kijowskim, zaplątanym we własne nogi Petru i nijakim Schetynie na scenę wrócił mistrz PR najwyższej klasy. Nawet jeśli jego show na Dworcu Centralnym miał słabe punkty, to PiS staje wobec wytrawnego i przebiegłego gracza, który będzie walczyć kłami i pazurami o swój powrót do polskiej polityki.

Ktoś, kto zapadł w śpiączkę np. wiosną 2014 r., obudzony mógłby uznać, że nic się nie zmieniło w czasie jego letargu. Na polskim ringu znów krzyżują rękawice starzy wrogowie – Donald Tusk i Jarosław Kaczyński. Zaczyna się kolejny etap odwiecznej wojny. ©℗

FOT. WOSTOK PRESS/MAXPPP/FORUM

ISLAMISTA OTWORZYŁ OGIEŃ W PARYŻU

Jeden policjant zginął na miejscu, a dwóch zostało rannych, gdy 20 kwietnia w okolicy Pól Elizejskich w Paryżu ogień do policyjnego samochodu otworzył 39-letni zamachowiec. Terrorysta został zastrzelony. Do ataku doszło kilka dni przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", media nieoficjalnie podawały, że napastnikiem był Karim C. Mężczyzna uważany za islamskiego radykała już w 2003 r. był skazany za usiłowanie zabójstwa. ***(jap)*** ©℗

GDZIE NIE JECHAĆ, CZYTAJ NA STR. 80

II SPOTKANIE TUMJEST

PATRONAT DO RZECZY

1 maja w Tumie koło Łęczycy odbędzie się II już Spotkanie TumJest, tym razem organizowane pod hasłem „Wojciech – święty świadek Ewangelii".

Obok uroczystości religijnych spotkaniu towarzyszyć będzie wiele imprez o charakterze historycznym i kulturalnym oraz Zjazd Wojciechów – mężczyzn, którzy na chrzcie świętym otrzymali takie imię.

Organizatorami wydarzenia są gmina Góra św. Małgorzaty oraz parafia NMP Królowej i św. Aleksego w Tumie. ***(ww)*** ©℗

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Wybierz czyste ogrzewanie i... Oddychajpowietrzem.pl!

Jedną decyzją można przyczynić się do poprawy jakości powietrza w swoim otoczeniu. W jaki sposób? Wybierając nowoczesny sposób ogrzewania, które spełnia wymogi związane z ochroną środowiska i ograniczeniem zanieczyszczeń.

POZNAJ FAKTY

Przyczyną smogu w Polsce jest w 80 proc. tzw. niska emisja, czyli spaliny pochodzące ze starych pieców niespełniających norm emisji spalin. Kto nie jest do końca przekonany, że stare, zatruwające powietrze piece trzeba wymienić na ekologiczne, ten powinien wejść na stronę www.oddychajpowietrzem.pl.

W ciekawy i obrazowy sposób pokazano tam, jak groźny jest smog i jak duży wpływ ma na stan naszego zdrowia. Ten portal to również źródło informacji dla osób, które chcą poznać domowe sposoby walki ze smogiem i dowiedzieć się, co wisi w powietrzu.

Portal jest jednym z elementów programu „Oddychaj powietrzem" realizowanego przez TAURON. Projekt ma na celu przekazywanie wiedzy na temat przyczyn niskiej emisji oraz dostarczanie konkretnych rozwiązań, które wpływają na poprawę stanu powietrza.

EKOLOGICZNE OGRZEWANIE OD TAURONA

Ważną częścią programu „Oddychaj powietrzem" jest edukacja w zakresie technologii ekologicznego ogrzewania. Każdy, kto powinien wymienić ogrzewanie na ekologiczne, na stronie www.oddychajpowietrzem.pl znajdzie kompendium wiedzy na ten temat.

Do tych systemów ogrzewania należą m.in. korzystanie z kotłów gazowych czy nowoczesnych kotłów na ekogroszek. Przyjazne dla środowiska jest również zamontowanie pompy ciepła lub urządzeń klimatyzacyjnych, które nie tylko chłodzą, lecz także ogrzewają mieszkanie.

TAURON zapewnia nie tylko dostawę mediów, takich jak prąd, gaz czy ekogroszek. Pomoże również w doborze ogrzewania dopasowanego do zasobności portfela, potrzeb danej osoby oraz dostępu do sieci, np. gazowej. Gwarantuje również usługę związaną z montażem i serwisem urządzeń grzewczych oraz pomaga w składaniu wniosków o dofinansowanie w ramach lokalnych programów ochrony środowiska.

Wejdź na stronę www.oddychajpowietrzem.pl. Wybierz najlepszy sposób ogrzewania pomieszczeń, a TAURON krok po kroku pomoże Ci w realizacji inwestycji, która pozwoli Tobie i Twoim bliskim oddychać czystym powietrzem.

REKLAMA

eprasa.pl 9c18f8eb3d

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gry wojenne

Pewnie mało kto by wiedział, że Dowództwo Garnizonu Warszawskiego obchodziło jak co roku swoje święto, gdyby nie słowa Antoniego Macierewicza o niedawno odsłoniętym popiersiu Lecha Kaczyńskiego. „Tak jak na co dzień strzeżecie wielkiej tradycji i dorobku Wojska Polskiego i polskich żołnierzy zaklętych w Grobie Nieznanego Żołnierza, tak od tygodnia spada na was wielki obowiązek strzeżenia popiersia tego, który poległ w obronie Rzeczypospolitej" – pouczył minister obrony narodowej dowódcę garnizonu, jego żołnierzy i całe społeczeństwo, które o tym, że śp. Lech Kaczyński poległ, już słyszało, ale o tym, że leciał do Smoleńska „w obronie Rzeczypospolitej", chyba jeszcze nie.

W ściganiu się do łask pogrążonego w żałobie brata śp. prezydenta przekraczane są granice groteski

Dodajmy, że popiersie zaraz po uroczystym odsłonięciu 10 kwietnia zostało zabrane do budynku Dowództwa Garnizonu i umieszczone w foyer przy głównym wejściu. Sądziłem, że zrobiono tak, ponieważ na pozostawienie monumentu na placu Hanna Gronkiewicz-Waltz nie wydała zezwolenia. Może jednak zadecydowały względy taktyczne? W budynku strzec popiersia będzie zdecydowanie łatwiej. Chociaż trudno będzie urządzać przed nim odprawy wart, bo chyba teraz zostaną one przeniesione spod Grobu Nieznanego Żołnierza w bardziej godnościowe miejsce. Chyba że na samym grobie wśród tablic upamiętniających wielkie bitwy polskiego oręża, obok Warszawy 1920, Grunwaldu 1410 i innych, znajdzie się tablica „Smoleńsk 2010".

Przepraszam, jeśli te słowa wydają się Państwu niestosowne. Mam jednak silne przekonanie, że to bynajmniej nie ja robię sobie jaja z tragicznie zmarłego prezydenta RP, który w żadnym razie nie powinien być obiektem kpin. Trudno milczeć, gdy w dążeniu do budowy politycznie użytecznej narracji – a może w ściganiu się do łask pogrążonego w żałobie brata śp. prezydenta – przekraczane są granice groteski. To, że rządowy tupolew formalnie był maszyną wojskową, nie znaczy jeszcze, że lot na uroczystości w Katyniu był misją bojową. I nawet gdyby prawdą była mało prawdopodobna hipoteza o zamachu, to i ofiar zamachów nie nazywa polszczyzna „poległymi". Pan minister w całym swoim politycznym życiorysie starał się być dysponentem najbardziej radykalnej narracji, ale tym razem naprawdę mógłby sobie odpuścić. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O naturze ludzkiej

Mieliśmy ostatnio w Italii wylew przypadków odbierania islamskim rodzicom dorastających córek przez służby socjalne. Jedni ogolili córkę na łyso, bo nie chciała nosić burki. Drudzy pobili dotkliwie 14-letnią dziewczynę, bo nie chciała wyjść za mąż za nieznanego jej człowieka w Pakistanie. Jeszcze inni maltretowali i trzymali córki pod kluczem za zbyt śmiały strój albo przebywanie w towarzystwie włoskich rówieśników.

Włoski obóz postępu poczuł się dotknięty do żywego. Z komentarzy progresistów bije źle skrywane oburzenie niewdzięcznością imigrantów, którzy mimo programów integracyjnych i liberalnej kultury otoczenia nadal tkwią po uszy w społecznym zacofaniu oraz zabobonie. Bawi naiwnością przekonanie postępowców, że jeśli tylko brodatym przybyszom dać się napić z krynicy jedynej liberalnej mądrości, to porzucą nieokrzesane obyczaje, średniowieczną religię, odsłonią twarze, włosy i nogi swoich żon oraz córek, i ruszą drogą postępu.

Progresiści najwyraźniej za nic mają angielską mądrość, że można konia przyprowadzić do wodopoju, ale zmusić go do picia nie sposób.

Postępowiec Wissarion Bielinski (1811–1848) czytał swoim chłopom pod Moskwą pisma Charles'a Fouriera w oryginale (sic!), licząc na to, że nabiorą przekonań rewolucyjnych. Eksperyment zakończył się klęską. Gdy Bielinski obniżył stawkę za obecność, chłopi przestali się pojawiać na odczytach. Postanowił więc zreformować ich konkretem. Pobudował im wygodne i solidne domostwa. Potem pojechał do Moskwy i zaprosił do swego majątku postępową arystokrację. Gdy przybyli, okazało się, że hadziajstwo puściło wszystko z dymem, bo wolało żyć po swojemu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Człowiek Demolka

Nie wiem, czy pani wie, ale to ja wykończyłem caracale" – pochwalił się Magdalenie Rigamonti, reporterce „Dziennika", Wacław Berczyński, przewodniczący podkomisji smoleńskiej, oczka w głowie Antoniego Macierewicza. I roztoczył opowieść o tym, jak to on w te caracle wszedł, bo on się na tym wszystkim zna, jak zobaczył, że one złe były i jak spowodował, że przepadły. Opowieść była z gatunku Wałęsowskich: „Wziąłem i te caracale sam obaliłem". Mówiąc najdelikatniej – w całej rozmowie, nie tylko w tym jednym wątku, dr Berczyński wykazał się niejaką dezynwolturą.

Problem w tym, że Berczyński był osobistym wyborem Macierewicza do kluczowej dla ministra obrony roli, jaką było kierowanie podkomisją smoleńską. Innym osobistym wyborem ministra obrony był Bartłomiej Misiewicz. A jeszcze innym prof. Rońda, który w 2013 r. zablefował podczas programu w TVP, że jest w posiadaniu dokumentu dowodzącego, iż na delegację lecącą do Smoleńska dokonano zamachu.

Zasadniczym problemem jest jednak to, że sam Macierewicz w MON jest z kolei wyborem Jarosława Kaczyńskiego, a wyborcy zostali w 2015 r. zwiedzeni zapowiedzią, że ten resort obejmie Jarosław Gowin. Być może prezes PiS dziś żałuje, że obietnicy nie dotrzymał.

Szef MON rozkazał żołnierzom strzec popiersia Lecha Kaczyńskiego, „poległego w obronie Rzeczypospolitej". Paweł Kukiz ujawnia list Macierewicza, który ten kilka miesięcy temu napisał do niego w tonie niepodrabialnie pompatycznym, iż krytykowanie Misiewicza oznacza znalezienie się w jednym szeregu z antypolską agenturą. Pytanie, o ilu ekstrawagancjach – by użyć określenia Kaczyńskiego – ministra obrony jeszcze nie wiemy.

Zespół The Police, którego liderem był Sting, nagrał lata temu piosenkę „Demolition Man" – „Człowiek Demolka".

Jestem chodzącym koszmarem,
arsenałem zagłady,
Gdy wchodzę do pokoju, rozmowy milkną,
Jestem jak potrójny bicz,
To ja jestem wszędzie zakazany,
Jestem chodzącą katastrofą,
Jestem Człowiek Demolka – śpiewali Policjanci. Kto wówczas mógł przypuszczać, że śpiewają o Antonim Macierewiczu. ©℗

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

ABAKANOWICZ NIE ŻYJE

W wieku 86 lat zmarła Magdalena Abakanowicz. Studiowała na ASP w Warszawie i WSSP w Sopocie. Na świecie znana była dzięki stworzeniu własnego unikatowego stylu w rzeźbie i instalacjach. Prace Magdaleny Abakanowicz znajdują się w zbiorach ponad 70 muzeów i kolekcji na świecie. ***(luz)*** ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 7 maja 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 29,90 zł

2.

~~49,00 zł~~ 32,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 31,90 zł

4.

~~59,00 zł~~ 39,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 26,50 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 9c18f8eb3d

WZÓR MĘSKOŚCI

Nasz ulubieniec Kamil Pawelski, czyli słynny bloger modowy znany jako Ekskluzywny Menel, który nie tak dawno udzielał w studiu TVN rad na temat męskości i relacji damsko-męskich, teraz dla odmiany postanowił pochwalić się zawartością swojej szafy. W specjalnym reportażu dla „Dzień dobry TVN" opowiadał o swoich stylizacjach i apaszkach, zaznaczając, że jego styl cały czas ewoluuje. – Mój styl jest mój i jest w stałym procesie – stwierdził pan Ekskluzywny Menel, potwierdzając swoje raczej nieświadome zamiłowanie do oksymoronów. – Coraz mniej rzeczy się obawiam, żyjemy w kraju, gdzie mężczyźnie w temacie modowym nie za wiele wypada. Uwielbiam podarte jeansy i ramoneski. Menel może być elegancki. Wolałbym, żeby mężczyźni się mną inspirowali – dodał. Jeszcze kilka programów z udziałem Ekskluzywnego Menela z jego apaszkami i ramoneskami, a zaczniemy doceniać polskich mężczyzn i ich zamiłowanie do skarpet oraz sandałów. Serio. I będzie to wina TVN.

NATALIA I JEJ CENNE DNI

Natalia Siwiec oznajmiła światu, że chroni swoją prywatność. Tak, my też wybuchnęliśmy śmiechem. – To nie jest tak, że ja się dzielę wszystkim, co mnie spotyka w życiu – mówi celebrytka, która słynie głównie z tego, że opowiada o swoim życiu w tabloidach i dokumentuje je fotkami wrzucanymi na Instagrama i Facebooka. Na bieżąco np. relacjonowała swój pobyt w szpitalu, gdzie musiała spędzić sylwestra. – Tymi zdjęciami podzieliłam się, bo spędzałam sylwestra w szpitalu i to było moje zdjęcie sylwestrowe, to nie było zdjęcie ze szpitala: patrzcie, jaka jestem biedna. To, jak Mariusz zorganizował mi tego sylwestra, chciałam się tym po prostu podzielić. Ten dzień miał ogromne znaczenie, gdyby tak nie było, to nie opublikowałabym takich zdjęć – tłumaczy się gwiazda. Rozumiemy, że w dniach o ogromnym znaczeniu prywatność nie obowiązuje. A że każdy dzień życia Natalii ma ogromne znaczenie, to cóż ona ma zrobić? Logiczne, że zdjęcia na Instagrama!

GOŁĘBIE W RYTMIE DISCO POLO

Tomasz Niecikowski, gwiazda disco polo, autor przeboju „Cztery osiemnastki", odkąd wystąpił w programie TVN „Agent – Gwiazdy", czuje się celebrytą. Uwielbia opowiadać, jak dobrze można żyć z grania disco polo i jak to regularnie kupuje sobie drogie samochody i co roku nowe mieszkanie. Ostatnio zaś zdradził, że muzyka nie jest jego jedyną pasją. Od 15 lat Niecik zajmuje się także hodowlą gołębi. Skromnie mówi, że to hobby dla ludzi zamożnych, gotowych do poświęceń i mających sporo czasu. – Trzeba mieć sprytu, żeby je złapać. W pasji chodzi o to, żeby wyhodować jak najlepszego czempiona. Chciałbym stworzyć rasę, która będzie utożsamiana ze mną. Chcę, żeby, jak ktoś zobaczy mojego gołębia, to powie: „Kurde, to chyba od Niecika się wywodzi ten ptak". Jeszcze dwa lata i tak będą mówić – zapewnia. Mamy wrażenie, że ktoś tu chyba odfrunął. I nie jest to żaden czempion.

FOT. PAWEŁ GROMADA

KOSMITA I KINGA

Tymczasem w studiu telewizji śniadaniowej zagościł dawno niewidziany wokalista Jacek Łaszczok, znany bardziej jako Stachursky. Pamiętamy, jak kiedyś Stachursky zwierzył się, że żywi się głównie energią słoneczną i potrafi normalnie funkcjonować „bez żadnego konwencjonalnego jedzenia". Mówił, że potrafi tak wytrzymać siedem, a nawet 14 dni, bo żyje w zgodzie z naturą. Okazuje się, że jego filozofia życiowa niespecjalnie się od tamtego czasu zmieniła. – Śpiewając piosenkę, ujawniłem mój stosunek do wiary. Niektórzy wierzą, wiedzą albo mają świadomość. Kwestia stwórcy, byt energetyczny, kreuje naszą rzeczywistość ziemną i kosmiczną – opowiadał ku rosnącemu przerażeniu prowadzących, którzy nie za bardzo wiedzieli, jak na jego słowa reagować. Fajny ten Stachursky. Trochę kosmita, ale słuchając go, nie można mieć do końca pewności, czy on tego wszystkiego nie mówi tylko po to, by zobaczyć minę Kingi Rusin.

CROSS-PROMOCJA

Piosenkarka Doda zarzuciła ostatnio Krzysztofowi Gojdziowi, chirurgowi gwiazd (temu, który sam został celebrytą), że nie dotrzymuje tajemnicy lekarskiej. – Nie pozwoliłabym mu zrobić na sobie żadnego zabiegu estetycznego, bo zaraz cała Polska mówiłaby o tym. Nie oceniam tego, ale mam radę, że u lekarza tajemnica zawodowa powinna być zachowana – stwierdziła, zastrzegając, że Gojdzia nie zna. – Musiałabym go raz poznać i zobaczyć, minęliśmy się raz – dodała. Co na to sam Gojdź? Otóż twierdzi, że Doda marzy o tym, by zostać jego pacjentką, a on nie chce się na to zgodzić, gdyż jest zbyt nienaturalna. – Z Dodą sobie piszemy na Instagramie SMS-y, ona bardzo chciałby być moją pacjentką. Takich pacjentek nie przyjmuję, ja tylko w sposób naturalny zmieniam twarz – tłumaczył. – W przypadku Dody – fajna dziewczyna, ale trzeba powiedzieć kiedyś stop – dodał. Fachowo to się nazywa promocja krzyżowa. A w showbiznesie działa jak w przypadku Gojdzia i Dody – ja obrażę ciebie, ty mnie i wszyscy będą o nas gadać. Czysty zysk! ©℗

FOT. MICHAŁ WARGIN/EAST NEWS

eprasa.pl 9c18f8eb3d

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak celebrowaliście Powrót Krula Europy do Warszawy? My jesteśmy trochę niewyspani, iż prowadziliśmy nocne czuwanie pod prokuraturą w świeckiej intencji wypuszczenia Donalda na wolność.

W ramach akcji autoterapeutycznej opowiadaliśmy sobie w jego trakcie najwspanialsze wspomnienia związane z Premierem/Krulem Europy oraz mnożyliśmy plany i wizje na temat Jego powrotu do władzy.

Jak tam się macie po Spring Holidays? My z wielką radością powróciliśmy do wielkiego ośrodka, wreszcie udało się uciec od majonezu (strach było ruszyć nawet ciasto...), jajek, szyneczek i tych innych niewegańskich okropności

Musimy też się z Wami podzielić naszymi obserwacjami: otósh kiedy Krul przebywał w Warszawie, znów mieliśmy ciepłą wodę w kranie, jarmuż nam pięknie wybujał w doniczce na balkonie, a Nowy z Tarnowa zgubił 10 zł. Of kors jako kolektyw świecki nie wierzymy w cuda – to muszą być jakieś kwanty, fizyka czy coś tam xDD

Niestety, Krul szybko wrócił do Brukseli, znów zostawiając nas tu samych i tęskniących za tym powiewem normalności i Europy, jaki nam ze sobą przywiózł. Chociaż na chwilę znów poczuliśmy się jak w latach 2007–2015, iż ktoś o nas dba i czuwa, iżby nie stała nam się krzywda.

Jedna z posłanek PO pochwaliła się na insta, iż pod projektem referendum w sprawie reformy edukacji zebrano 100 000 000 podpisów. Jako iż mamy dyskalkulię, chwilę potrwało, zanim się zorientowaliśmy, o jakiej kwocie mowa. Kiedy już do nas dotarło, iż referendum popiera sto milionów osób, poczuliśmy satysfakcję.

Wynika z tego bowiem jasno, iż część podpisów musiała pochodzić z zagranicy, gdzie osoby troszczą się o los polskich osobogimbusów i masowo popierają pozostawienie gimnazjów. Zgadzałoby się to z tym, co opowiadał ostatnio nasz były supervisor Fabian, który poleciał uciec od Spring Holidays do Madrytu. Kiedy wsiadł do taksówki i w trakcie rozmowy z przystojnym taksówkarzem Eduardo powiedział, iż pochodzi z tego kraju, to taksówkarz ze zrozumieniem pokiwał głową i powiedział: „Tak, wiem, iż okrutny Kaczafi chce Wam zabrać gimbazę, ale No Pasaran!!!! Gdzie się mogę podpisać?”.

Jak tam się, kochani, macie po Spring Holidays? My z wielką radością powróciliśmy do wielkiego ośrodka, wreszcie udało się uciec od wszechobecnych majonezu (strach było ruszyć nawet ciasto...), jajek, szyneczek i tych innych niewegańskich okropności.

Of kors nasza radość nie potrwała długo – ledwo przyszliśmy do korpo, a Nowy z Tarnowa postanowił zrobić nam uroczyste „dzielenie się jajeczkiem” i z okruszkami żółtka na wąsach życzył nam różnych niepostępowych rzeczy.

Kiedy zaprotestowaliśmy przeciwko naruszaniu w taki sposób neutralności światopoglądowej korpo i przypomnieliśmy o rozdziale open spejsa od Kościoła, Nowy zapytał, czy premie świąteczne też chcemy oddać. Uznaliśmy więc, iż w tej sytuacji będziemy wyniośle milczeć, zwłaszcza że premie już dawno wydane na nowe yeezy xDD

Część naszego kolektywu, która interesuje się piłką nożną, oburzała się, iż sędziowie z Węgier pomogli Realowi Madryt z awansem do półfinału Ligi Mistrzów.

Przecież to logiczne: węgierscy fashyści Orbána przepychają dalej ulubiony klub gen. Franco. Ktoś jest tym zaskoczony? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 9c18f8eb3d

dwaj panowie g

Uwaga, wracamy do sprawy Bartłomieja Haribo Misiewicza. Warto, bo on zdaje się nic nie zrozumiał. Na przykład uważa, że przesunięcie go z MON do Polskiej Grupy Zbrojeniowej było okrutną karą. I tej wersji trzymał się przed komisją antymisiewiczową. „Jak można uważać pracę za 25 tys. miesięcznie za karę?" – zapytał zdumiony jeden z członków komisji. „Ale moja poprzedniczka zarabiała 30 tys." – godnie odparł Haribo.

Ups, wychodzi na to, że niechcący ujawniliśmy, ile Haribo miał zarabiać. Przecież nikt nie wierzył, że 50 tysiaków, zwłaszcza ci, którzy rozpowszechniali te wiadomości. Ale jakoś się nie wstydzimy naszej niedyskrecji.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zdumienia było więcej. Członkowie komisji antymisiewiczowej oczekiwali od Haribo skruchy, posypania głowy popiołem oraz samokrytyki. Niestety, z postawy zaprezentowanej przez mężnego młodziana wynikało, że uważa się za najbardziej prześladowanego człowieka w Polsce. To przesądziło sprawę. Przecież tę rolę zarezerwowano dla Donalda Tuska, zatem komisja nie miała wyjścia.

Apropos Donalda Tuska – współczujemy mu głęboko. Nie, nie z tego powodu, że go kaczyści ciągają po prokuraturach. Ale dlatego, że – jak pokazał przyjazd do Warszawy – ten człowiek pół kroku zrobić nie może bez Pawła Grasia. Z tego powodu wnioskujemy, by uznać Tuska za już ukaranego.

Wśród witających Króla Europy osobników nie mogło zabraknąć Mateusza Wielkiego Kuca Kijowskiego. To ostatni delegat rządu londyńskiego na kraj. Na Wyspach wskrzesił tradycję emigracyjnej działalności wydawniczej, przygotowując tam publikację swojej książki „Buntownik". To najlepsza proza godna Wałęsy: „skromny informatyk, borykający się z trudnościami życia codziennego hipster z pod Warszawy stał się postacią rozpoznawalną na całym świecie" [pisownia oryginalna – przyp. red.]. Nasz ulubiony fragment.

Mamy dowód na to, jak popularny na całym świecie jest Wielki Kuc Kijowski. Na przykład kiedy w radiowej Jedynce zadano słuchaczowi na antenie konkursowe pytanie: „Kto to jest: jeździ na rowerze po Sandomierzu i rozwiązuje zagadki kryminalne", uradowany słuchacz wypalił: „ojciec Mateusz Kijowski!". True story.

Wszelkie sugestie, jakoby Wielki Kuc wydawał książkę w Londynie, by uniknąć polskiego komornika ścigającego go za niezapłacone alimenty, odrzucamy ze wzgardą i oburzeniem. Jesteśmy przekonani, że skromny informatyk chce po prostu za uzyskane funty wykupić z burdeli Europy Zachodniej kobiety, które zdaniem prokuratury miał do nich sprzedać lider KOD Kapeli, niejaki Konrad M.

Rysiek w depresji. Partią zarządza za niego Joaśka Scheuring-Wielgus. Czy to sprawiły spadające słupki? Jest gorzej. Otóż Rysiek chce się rozwieść, ale nie udało mu się nakłonić małżonki, żeby to ona wniosła sprawę do sądu. Będzie więc musiał to zrobić Rysiek. Publicity gwarantowana. No i jak by tu powiedzieć, szanse na zachowanie majątku też jakby mniejsze. Nie mówiąc o tej cholernej rozdzielności majątkowej. Rysiek podpisał ją (wcześniej oddając żonie majątek), żeby wścibscy dziennikarze nie wyliczali mu milionów.

Na zarządzie Nowoczesnej Kropki poświęconym sytuacji w partii po odejściu parszywej czwórki oraz poparcia w słupkach, część działaczy domagała się od Ryśka, żeby przestał się wreszcie wygłupiać, zwołał konferencję, opowiedział wszystko jak na spowiedzi o żonie, rozwodzie, kochance, ukorzył się, przeprosił i rozpoczął pokutę. Niestety, Rysiek zareagował w najlepszym stylu Haribo Misiewicza.

Mało kto wie, że pierwszym zalecającym Ryśkowi natychmiastowe przeprosiny i pokutę był wielki wódz czerwonoskórych Leszek Miller. Tak się bowiem składa, że jak wybuchła afera maderowa, to akurat obaj panowie

ebrasa.pl 9c18f8eb3d

siedzieli w poczekalni pewnej telewizji. Rysiek wykazał się jednak nieprzejednaną postawą antykomunistyczną, to znaczy zignorował rady naszego czerwonego brata.

Zresztą powiedzmy sobie szczerze – Rysiek ma poważniejsze sprawy na głowie niż jakaś tam Nowoczesna, żona, wizerunek czy pokuta. Parę dni przed Wielkanocą naprawiał sobie w szpitalu kolano.

Okazało się, że czwórka posłów, którzy przeszli z Nowoczesnej Kropki do PeŁo, ma jednak jakieś nazwiska. Jedno z nich to Grzegorz Furgo. „Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy sobie poszedł" – mówią nam wiewiórki z Nowoczesnej. „Mówiliśmy na niego: Smerf Maruda".

Oczywiście nikt nie wierzy, że czwórka muszkieterów poszła do PeŁo szukać demokracji w ramionach Grzegorza z Pieczary. Wielu wierzy natomiast, że uciekinierzy z Nowoczesnej mają wielką chrapkę na fotele w europarlamencie, na co dużo większą szansę mają jako kandydaci PeŁo.

Tymczasem w PeŁo. Jak ogłosił Grzegorz „Nie Witam Donalda" Schetyna, głównym ekonomistą partii został Andrzej Rzońca. Którego natychmiast spotkały okrutne prześladowania. Nie, nie ze strony PiS. Ze strony Leszka Balcerowicza, który kazał swojemu Forum Obywatelskiego Rozwoju natychmiast zerwać współpracę z Rzońcą, gdyż ekspertom FOR nie wolno współpracować z partiami. Bardzo nas ta reakcja ubawiła. Jak ten sam Rzońca został kandydatem PeŁo do Rady Polityki Pieniężnej, to go nikt z FOR nie wyrzucał.

Ten sam okrutny Balcerowicz rękami FOR skomentował zapowiedzi Scheta z debaty nad wotum nieufności wobec premier Bełaty. „Objęcie wszystkich dzieci programem 500+ zwiększyłoby koszty tego programu o 18 mld zł, a wypłata 13. emerytur tylko dla osób pobierających emerytury z ZUS kosztowałaby rocznie prawie 10 mld zł. Wprowadzenie obu rozwiązań spowodowałoby wzrost deficytu finansów publicznych o prawie 30 mld zł (1,5 proc. PKB), do poziomu 4–4,5 proc., a więc wyraźnie powyżej unijnego progu 3 proc." – alarmuje Balcerowicz. Precz z rządami populistów!

Tymczasem u kukistów. Wiewiórki ćwierkają, że już nie ma złej krwi między naczelnym Kukizem a kukistą Liroyem. Panowie wyrzucili z siebie pretensje, pokrzyczeli i już jest dobrze. Więc na razie żadnej frondy Liroya nie będzie.

Nie odnotowaliśmy jeszcze, że z polityki zniknął Przemek Wipler, nasz ulubiony pogromca policjantów. Smuci to bardzo wspomnianego Liroya. Już był bowiem dogadany na kasę z partyjnej dotacji Wiplera. Miała iść na kampanię scyzoryka z Kielc jako kandydata na prezydenta Warszawy. Wipler jednak postanowił wycofać się z polityki, kiedy okazało się, że szasta kasą na prawo i lewo na cele niekoniecznie partyjne. Liroy jest więc zdeterminowany, by znaleźć gdzie indziej kasę na kampanię. Czego to ludzie nie zrobią, by wyrwać się z Kielc.

Przez przypadek oglądaliśmy tefaueny w dniu przeprowadzania egzaminów gimnazjalnych. Dowiedzieliśmy się, że egzaminy prowadzą do stresu, a stres – do depresji. Bardzo nas to zmartwiło. Uważamy więc, że po zlikwidowaniu gimnazjów PiS powinien zlikwidować także matury. Na pewno tefaueny poprą tę cenną inicjatywę.

Z historii kina. Film Piotra Szulkina „Wojna światów: następne stulecie". Ziemia pod okupacją krwiopijców z Marsa. Bohater grany przez Romana Wilhelmiego nocuje w schronisku dla bezdomnych. Rano przez megafony słychać komunikat: „Oddajcie krew! Oddawanie krwi jest dobrowolne! Kto nie odda krwi, nie dostanie śniadania!". Tak się nam przypomniało. W związku z tym, jak to prezesi sądów wzywali do dobrowolnego antypisowskiego protestu swoich podwładnych. Pismami o treści „obecność obowiązkowa".

I na koniec to, co najpiękniejsze. Nawet my spadliśmy z krzeseł. Wiecie, kto jest promowany na stanowisko konsula generalnego w Los Angeles? Poddajcie się od razu. Tego by nawet w Studiu Yayo nie wymyślili. Tak. Rysio Makowski. I to nie jest żart. A może właśnie jest. ©℗

eprasa 618f8eb3d

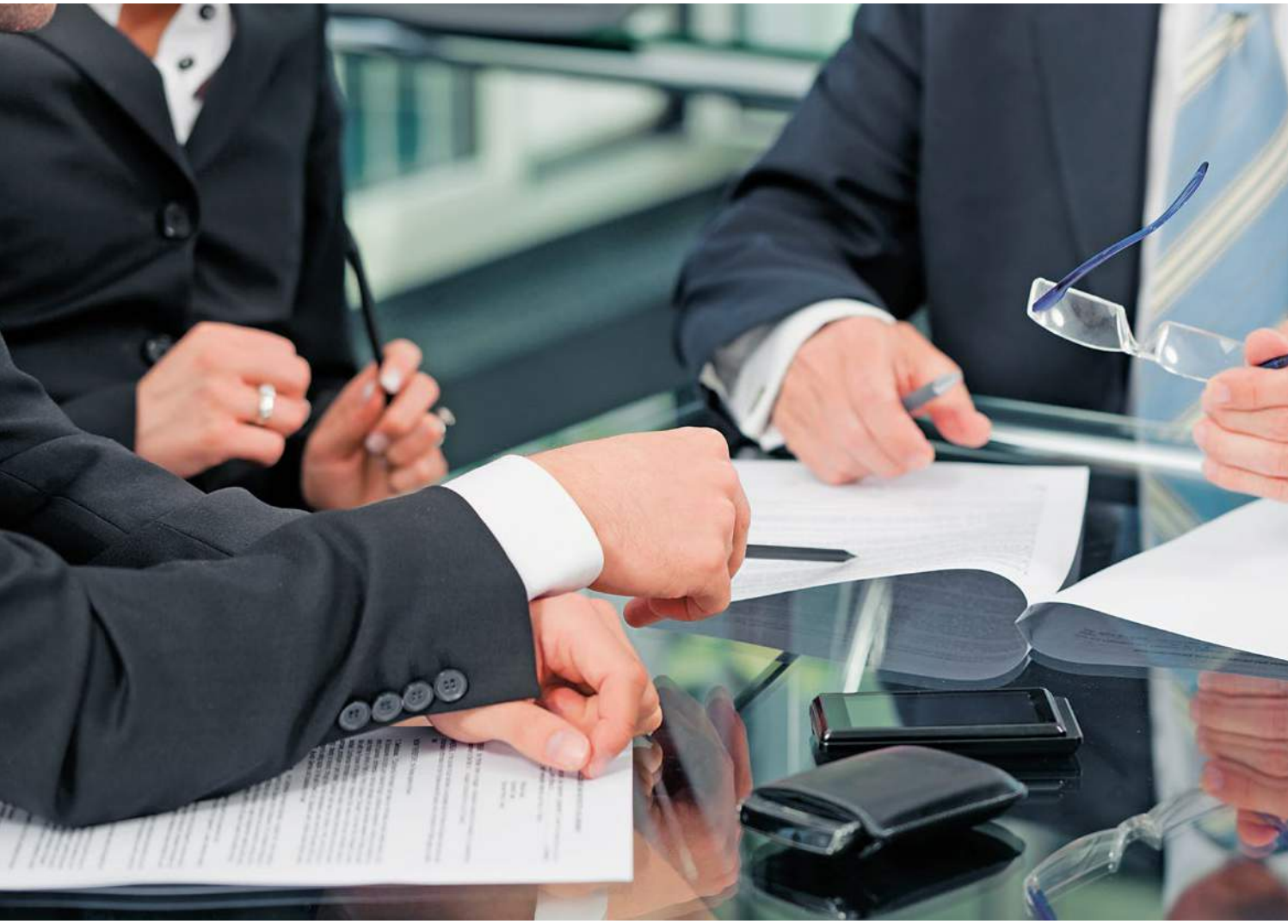

Jak wybrać dostawcę

Jeszcze w tym roku polski rynek gazu zostanie całkowicie uwolniony dla klientów biznesowych. Radzimy, na co zwracać uwagę przy wyborze dostawcy

Dwa lata temu w Polsce działało 150 firm z koncesją na sprzedaż gazu. Dzisiaj jest ich już 400, a będzie coraz więcej. To efekt postępującej w naszym kraju liberalizacji tego rynku, której elementem jest wejście w życie od 1 stycznia br. przepisów nowelizacji prawa energetycznego. Docelowo nie będzie konieczności zatwierdzania taryf przez Urząd Regulacji Energetyki, a uwalnianie cen dla poszczególnych grup odbiorców będzie następowało w różnych terminach. Na pierwszy ogień pójdą firmy, które sprzedają gaz hurtowo w tzw. punkcie wirtualnym (np. giełdzie towarowej). Od października nie będzie już obowiązujących taryf dla innych odbiorców – z wyjątkiem gospodarstw domowych. W ich przypadku ceny gazu zostaną uwolnione dopiero od 1 stycznia 2024 r. Ten odległy termin ma dać czas gospodarstwom na stopniowe przystosowanie się do rynku i lepsze poznanie przysługujących im praw (np. zmiany sprzedawcy).

NIEZBĘDNA TRANSFORMACJA

Dla wielu firm sprzedających w Polsce gaz przełomowym rokiem okazał się 2014, gdy aktywność konkurencyjnych podmiotów bardzo wzrosła. Mocno

eprasa.pl 9c18f8eb3d

FOT. FOTOLIA

gazu?

odczuło to PGNiG, jedno z największych i najstarszych przedsiębiorstw w Polsce, dla którego liberalizacja rynku okazała się sporym wyzwaniem. Wielu klientów odeszło wtedy do konkurencji i niezbędna okazała się zmiana podejścia do sposobu pozyskiwania i obsługi klienta – także biznesowego. PGNiG zaczęło od kwestii ważnych z punktu widzenia klienta, czyli oferty produktowej, przez elastyczność do podejścia prorynkowego. Zmieniło też strukturę organizacyjną, dostosowując departament sprzedażowy do nowych realiów na rynku.

– Powstał dział, który zajął się produktami stricte opartymi na mechanizmach giełdowych, a także produktami uwzględniającymi specyfikę, małych i średnich przedsiębiorstw. Wdrożyliśmy też w strukturze dział trenerów wewnętrznych, czyli osoby, które zajmują się szkoleniami i podnoszeniem kompetencji naszych handlowców. W zależności od tego, jaki segment jest obsługiwany, takie są dostarczane narzędzia, produkty i kompetencje dla handlowców – opowiada Robert Gadomski, dyrektor Departamentu Klientów Biznesowych PGNiG Obrót Detaliczny.

Handlowcy są szkoleni na bieżąco nie tylko z wiedzy związanej z obsługą klienta, lecz także z technik sprzedaży, negocjacji itp.

– Po naszej stronie klienci mają partnera-eksperta, do którego zawsze mogą się zwrócić ze wszelkimi tematami związanymi z realizacją umowy. Taki after-sales service i świadomość, że po drugiej stronie jest zawsze ktoś, kto pomoże w rozważaniu ewentualnych problemów, doradzi itp., są dla klienta biznesowego bardzo ważne – przekonuje Gadomski.

Firma rozwija też nowoczesny system teleinformatyczny i rozwiązania typu elektroniczne Biuro Obsługi Klienta. Zgodnie z obowiązującymi standardami na rynkach zliberalizowanych klient powinien mieć do dyspozycji wiele funkcjonalności, np. pobierać fakturę, widzieć saldo i dane dotyczące zużycia gazu. Przydaje się też system, który służy do obsługi klientów korzystających z produktów giełdowych. Pomaga im w elektronicznym zamawianiu transz.

NIE WSZYSTKO ZŁOTO

Liberalizacja rynku sprawiła, że na rynku – oprócz poważnych firm – pojawiło się mnóstwo małych podmiotów z koncesją na sprzedaż gazu. Skusiły one wielu klientów biznesowych niskimi cenami. Po jakimś czasie nierzadko okazywało się jednak, że klienci muszą ponieść inne koszty i summa summarum nie skorzystali na zmianie dostawcy.

– Ponieważ gaz jest elementem kosztotwórczym dla firmy, trudno się dziwić, że firmy chcą go kupować w jak najlepszej cenie. Jednak często cena nie jest jedynym elementem rozliczenia z dostawcą gazu. Pewne zapisy, jeśli zostaną zastosowane, mogą finalnie przełożyć się na wyższy koszt rozliczenia kontraktu. To mogą być przeróżne zapisy, np. klient może przekroczyć pewną wartość zamówienia, może mieć odniesienie w cenie do zużycia, nie do zamówienia itd. – przestrzega Robert Gadomski.

Nieprzyjemnym dla klientów skutkiem ubocznym liberalizacji rynku gazu okazały się też oszustwa, które szczególnie dotknęły małe firmy. Jak wynika z doświadczeń Urzędu Regulacji Energetyki, jedną z najpopularniejszych jest metoda „na licznik". Handlowiec przychodzi do firmy pod pretekstem sprawdzenia zużycia gazu czy prądu, czym już na wstępie wzbudza zaufanie pracowników. Później łatwo mu namówić przedstawiciela firmy do podpisania dokumentów. Tymczasem przy tak ważnym wyborze jak dostawca gazu czy prądu warto zaufać doświadczonemu dostawcy gwarantującemu bezpieczeństwo dostaw i fachową obsługę już po podpisaniu umowy.

Podejmując decyzję o wyborze dostawcy gazu, kluczową sprawą jest więc analiza zapisów umowy. Warto też zorientować się, jak wygląda kwestia późniejszej obsługi klienta. Wielu klientów PGNiG, którzy odeszli w latach 2014–2015, mówiło potem o braku takiej obsługi, co przyspieszyło ich decyzję o powrocie. Dla klientów biznesowych istotne są też produkty oparte na mechanice giełdowej, transzach wolumenowych czy procentowych.

– To szczególnie ważne dla tych podmiotów, które mają niezbędne zasoby do podejmowania optymalnych decyzji uwzględniających specyfikę notowań na giełdach towarowych. Klienci śledzą wszelkie trendy, informacje, które płyną z rynku, i podejmują decyzję w momencie, gdy uważają, że będzie to najkorzystniejsze dla ich firmy – zauważa Robert Gadomski.

Zmiany w PGNiG przyniosły pożądane efekty – przeprowadzone na początku 2017 r. badanie satysfakcji klienta pokazało, że wskaźniki znacząco poszły w górę w porównaniu z 2013 r., gdy po raz ostatni je badano. To, co najważniejsze – współczynnik Net Promoter Score (mierzy lojalność, która istnieje pomiędzy konsumentem a dostawcą – przyp. red.), który na koniec 2013 r. wyniósł –23, zmienił się na +5. Do tego poziom satysfakcji ogólnej wzrósł z 76 proc. do 86 proc. A w segmencie klientów strategicznych poziom satysfakcji wynosi aż 96 proc. To jedne z najlepszych wyników w branży energetycznej w Polsce.

Lidia Orzechowska

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Galwanizowanie

Z Joanną Siedlecką, autorką „Czarnego ptasiora"
rozmawia Krzysztof Masłoń

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Jak zareagowała pani na wiadomość, że Teatr Polski w Poznaniu wystawia sztukę przerobioną z powieści Jerzego Kosińskiego „Malowany ptak"? Książki, której tytuł – po biografii Kosińskiego pióra amerykańskiego pisarza Jamesa P. Sloana i pani „Czarnym ptasiorze" – przynajmniej w Polsce powinien być zapomniany na wieki.

JOANNA SIEDLECKA: O tym, że przedstawienie takie jest przygotowywane, dowiedziałam się z „Gazety Wyborczej". Do mnie zadzwoniono z poznańskiego teatru dopiero 1 marca, informując, że w spektaklu, którego premiera zapowiedziana jest na 26 tego miesiąca, wykorzystane zostały fragmenty mojej książki o Kosińskim. Nigdy wcześniej nie wyraziłam na to zgody, nikt mnie o nią zresztą nie poprosił. Ani Maja Kleczewska, ani Łukasz Chotkowski – twórcy spektaklu – nie kontaktowali się ze mną, a panienka, z którą rozmawiałam, tłumaczyła ich trudnościami ze skontaktowaniem się ze mną. No rzeczywiście, nie istnieje wydawnictwo Czerwone i Czarne, które wydało „Czarnego ptasiora", nieznany jest numer telefonu do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, do którego należę, w ogóle jestem postacią anonimową. Jednak wtedy, 1 marca, zażądałam natychmiastowego wskazania fragmentów mojej książki, które zostały wykorzystane w przedstawieniu, a szczególnie kontekstów, w jakich je umieszczono. Tym bardziej że miały być zaprezentowane obok tekstów innych autorów, których zestaw – z Janem Tomaszem Grossem na czele – powiększył tylko moje obawy.

W przeciwieństwie do nich pani stała się również postacią sceniczną w tym spektaklu – jako Badaczka. Jednak gratulować nie ma czego...

To jest w ogóle jeden wielki skandal. Gdy zapoznałam się z cytatami wyrwanymi z mojego „Czarnego ptasiora", zjeżył mi się włos na głowie. Mój tekst ilustruje najgorsze przeżycia Chłopca z „Malowanego ptaka", podczas gdy w książce podważyłam prawdziwość tych scen. Kiedy rówieśnicy próbowali dopaść Chłopca, jeden z sąsiadów przegonił ich kijem, a później ojciec Jerzego chodził po wsi i wołał: „Szkutnik! Twój syn krzywdzi mojego" i wszyscy chłopcy z Dąbrowy dostali potem takie lanie, że omijali rzekomą ofiarę dziecięcych prześladowań szerokim łukiem. Z „Malowanego ptaka" dowiedzieć się też można, że za upuszczenie mszału podczas mszy, do której służył bohater, wrzucono go do kloaki, w wyniku czego na całe lata stracił mowę. To piramidalna bzdura, nic takiego nie miało miejsca, a na komunii Jurka zaproszone dzieci ze wsi z nabożeństwem piły kakao z pianką, nieznany im specjał.

Twórcy spektaklu reklamują swoje dzieło, mówiąc m.in.: „Pokazujemy też rolę Kościoła w inspirowaniu antysemityzmu". To już perfidia, zważywszy na to, że ks. Sebastiański, proboszcz z Woli Rzeczyckiej, chronił małego Kosińskiego, nie tylko udzielając mu sakramentu, ale przyjmując go do grona ministrantów, aby się nie odróżniał od innych.

W istocie przecież to polscy księża uratowali czteroosobową rodzinę Kosińskich. Przecież gdyby nie ks. Eugeniusz Okoń z Radomyśla nad Sanem – skądinąd bardzo ciekawa postać – Kosińscy nie znaleźliby schronienia w Dąbrowie Rzeczyckiej. To on poprosił czy raczej zażądał od Andrzeja Warchoła, by przyjął ich pod swój dach. Kiedy żona Andrzeja Maria lamentowała, że przez tych Żydów Niemcy mogą puścić z ogniem nie tylko ich, lecz także całą wieś, uspokajał ją, mówiąc: „Każdemu życie miłe. I oni mają dzieci. Czy mogłem też odmówić ks. Okoniowi? Jeszcze go w rękę pocałowałem na pożegnanie". Ci ludzie powinni dostać medale Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, i nie tylko Warchołowie, ale wszyscy mieszkańcy tej wioski, bo Kosińscy wcale nie kryli się, jak inni Żydzi w podobnych sytuacjach, gdzieś

eprasa.pl 9c18f8eb3d

trupa

Spektakl „Malowany ptak" według Jerzego Kosińskiego w Teatrze Polskim w Poznaniu, reż. Maja Kleczewska (premiera: 26 marca 2017 r.) FOT. MAGDA HUECKEL

w piwnicy czy na strychu, ale normalnie wynajmowali mieszkanie, a ojciec Jerzego zatrudnił się nawet w punkcie skupu. Rzeczywiście, Jerzy i jego przybrany młodszy brat Henio, unikali rówieśników, przesadnie zainteresowanych miejskimi przybyszami, o których szeptano, że są obrzezani, ale kierowała nimi ciekawość, a nie okrucieństwo, chcieli zobaczyć, na czym to obrzezanie właściwie polega, co im się zresztą nie udało. Rodzice pilnowali ich, nakazując milczenie na temat nowych sąsiadów. Żadnych medali się nie doczekali. Jerzy Kosiński, gdy w 1989 r. przyjechał do Polski w glorii, był wszędzie, ale nie zaszczycił wizytą wioski, gdzie uratowano go, a „stara Warchołka", u której mieszkał, jeszcze wtedy żyła. I oglądała go w telewizji. Za to teraz dzieciom takich jak ona przychodzi się wstydzić za tamto bohaterstwo, bo to byli bohaterowie. Pani Kleczewska i pan Chotkowski wprowadzili mieszkańców wioski na scenę, tych Traczy, Szkutników, Warchołów, których nazwiska poznali z mojej książki. I ja się czuję za nich odpowiedzialna, dlatego też kategorycznie zaprotestowałam przeciw używaniu ich nazwisk, bo zostali pokazani jak prymitywy, brudasy, jako polska dzicz. A ponieważ nie byłam pewna, czy e-mail ma odpowiednią wagę, napisałam list polecony, który nadałam na Poczcie Głównej, wyszczególniając swoje pretensje, odnośnie do mojej osoby i postaci tych chłopów, których poznański spektakl postponuje.

I co?

I nic. Zapadło milczenie, przerwane dopiero wywiadem, którego udzieliła Maja Kleczewska „Newsweekowi", gdzie użala się, że już zaczęły się problemy ze sztuką, napaści na realizatorów, a Siedlecka grozi im sądem, chłopów uważając za swoją własność. Przy czym, oczywiście, nawet nie wspomni o tym, że na żadnym etapie prac nad sztuką nie byłam o tym informowana, że bezprawnie wykorzystano mój tekst, naturalnie nie podpisując żadnej umowy. Co więcej, wystąpiłam w spektaklu pod postacią jakiejś Badaczki, którą – jako żywo – nigdy nie byłam, bo nie badałam twórczości Kosińskiego, a jedynie – jak rasowy reporter i z tego jestem dumna – odnalazłam jego polskie ślady, podążyłam nimi, obalając w proch wszystkie kłamstwa.

A jednak ci „odważni" twórcy, którzy podpierają się z lubością przez nich cytowanym, nieśmiertelnym Żeromskim, nakazującym „rozdrapywanie polskich ran, żeby nie zabliźniły się błoną podłości", obawiają się sądu, czego dowodzą słowa Mai Kleczewskiej przywołane w „Newsweeku". Podobno zwróciła się do dyrektora poznańskiego teatru Marcina Kowalskiego: „Nie zostawicie nas, prawda? Jak dojdzie do procesu, to staniecie za nami, bo inaczej pójdziemy z torbami!". Ta liczba mnoga jest warta rozwinięcia, gdyż dyrektorem artystycznym Teatru Polskiego w Poznaniu jest Maciej Nowak, ozdoba programów kulinarnych, dziewięć lat temu uznany przez „Politykę" za najbardziej wpływową postać polskiego teatru. Może należałoby też wspomnieć, że współproducentką spektaklu jest Zuzanna Głowacka, córka Janusza Głowackiego, autora książki o Kosińskim „Good night, Dżerzi", a rzecz cała to koprodukcja Teatru Polskiego w Poznaniu i Teatru Żydowskiego w Warszawie, którego dyrektorka Gołda Tencer miała oświadczyć, że nie wyobraża sobie, by „Malowany ptak" mógł zostać pokazany z pominięciem jej sceny.

Właściwie powinnam czuć satysfakcję, że moje odkrycia z „Czarnego ptasiora" stanęły im kością w gardle, ale naprawdę czuję zniesmaczenie hucpą, zniechęcenie, a i zdziwienie tą okrężną – poprzez teatr – próbą zagrania hochsztaplerem, plagiatorem, słusznie nazwanym przez jego biografa, Sloana – „zawodowcem w profesji kłamcy, człowiekiem, który przeżył wojnę, żyjąc kłamstwem". O ironio, swego czasu mówiono o nim jako o „Annie Frank, która przeżyła", a on sam zaręczał, że wszystkie okropieństwa doznane przez powieściowego Chłopca, były jego udziałem. Gdy dowiedział się o tym późniejszy noblista Elie Wiesel, podarł napisaną przez siebie do „New York Timesa" recenzję „Malowanego ptaka" i napisał nową, jak twierdził „tysiąc razy lepszą".

Sakralizującą Jerzego Kosińskiego i jego powieść, choć wydawało się, że po tym, jak ten literacki hochsztapler zrzucony został z parnasu i w 1991 r. popełnił samobójstwo, zostanie zapomniany.

Gdy zadzwoniono do mnie z Poznania z wiadomością o wystawieniu adaptacji „Malowanego ptaka", pozwoliłam sobie na żart, może mało wybredny, ale niestety według mnie prawdziwy: „Co, galwanizujecie trupa?". Zapadło milczenie.

Za to teraz może sobie pani przeczytać na blogu Tomasza Domagały, też człowieka teatru, że postać przypominającej panią „Badaczki" „w imię swoiście pojętego interesu publicznego, będzie »jazgotać«, dzieląc się z nami swoimi rewelacjami, jej dyskurs brzmi nieszczerze, obnaża bowiem jej umysłowe prostactwo".

Od kiedy to spisanie przez reportera opowieści żyjących świadków jest jazgotem i prostactwem! Gdyby nie ja, to do dziś powtarzalibyśmy, że biedny Chłopiec błąkał się samotnie, bity i upokarzany przez okrutnych polskich chłopów. Czy do grobowej deski będę ćwiczona za moją dociekliwość? Od razu po napisaniu „Czarnego ptasiora" i jego wydaniu w 1993 r. przeżyłam huraganowy atak ze strony m.in. Henryka Daski, Ryszarda Marka Grońskiego, Krzysztofa Teodora Toeplitza i innych pomniejszych krytyków. Na szczęście Amerykanie poznali się na Kosińskim, i to znacznie

eprasa.pl 9c18f8eb3d

wcześniej. W 1982 r. w prestiżowym tygodniku „The Village Voice" w tekście pod znamiennym tytułem „Nieczyste słowa Jerzego Kosińskiego" Geoffrey Stokes i Eliot Fremont-Smith udokumentowali, że nie pisał własnych książek, ale wyręczał się ghostwriterami. Od tego się zaczęło. Kosiński – co go pogrążyło – nie odniósł się ani do tego zarzutu, ani do tego, że CIA sfinansowała dwie jego podpisane pseudonimem książki sowietologiczne – nawiasem mówiąc, w Moskwie nigdy, wbrew temu, co twierdził, nie był – ani do splagiatowania „Kariery Nikodema Dyzmy" w powieści „Wystarczy być". Później postawiono mu jeszcze poważniejsze zarzuty, bo jednak kłamstwo Holokaustu ma zupełnie inny ciężar gatunkowy.

Nie brak jednak kontynuatorów Kosińskiego, z ochotą wchodzących w jego buty, że wspomnę tylko takich łgarzy jak Binjamin Wilkomirski i Misha Defonseca, szczęśliwie szybko zdemaskowanych. Nikt bowiem – poza cenzurą obyczajową, o ile taka w danym kraju istnieje – nie zabroni autorowi fantazjować i wymyślać najplugawsze nawet, najbardziej obrzydliwe sceny. Kiedy jednak wmawia czytelnikom, że wydarzenia te istotnie miały miejsce, sprawa ma się inaczej. A w pierwszych wydaniach „Malowanego ptaka" mówiono wprost, że potworne udręki Chłopca spotkały go w okupowanej Polsce z rąk ciemnego, zabobonnego chłopstwa. Dopiero później pisarz zastąpił Polskę „Europą Wschodnią", a wydanie polskie – późne, bo w PRL nie dopuszczano do edycji tej rzeczywiście antypolskiej książki – zaopatrzył w specjalny wstęp. Pani w „Czarnym ptasiorze" wskazała miejsce rzekomej gehenny Chłopca z powieści Kosińskiego: Dąbrowę Rzeczycką w gminie Radomyśl nad Sanem, niedaleko Stalowej Woli i Kraśnika. To tam go nie męczono. Tam go ocalono.

Są ludzie, którzy uznali, że Kosińskim wciąż da się grać, że dla młodego pokolenia, nieznającego bądź słabo znającego historię będzie on wciąż atrakcyjny. Poznański spektakl nie wziął się przecież znikąd. Kilka lat wcześniej głośno było, na przykład, o zamierzonym sprowadzeniu prochów Kosińskiego do Łodzi. Sprawa w końcu upadła, ale czy na zawsze? W Muzeum Historycznym Miasta Łodzi gabinet Kosińskiego sąsiaduje z gabinetami Juliana Tuwima i Artura Rubinsteina. Jakby Łódź nie miała pisarzy, którym należy się dobra pamięć, choćby zmarłego też w latach 90. świetnego poety Jacka Bierezina. Jednak tu chodzi o coś innego; autorzy adaptacji w Teatrze Polskim

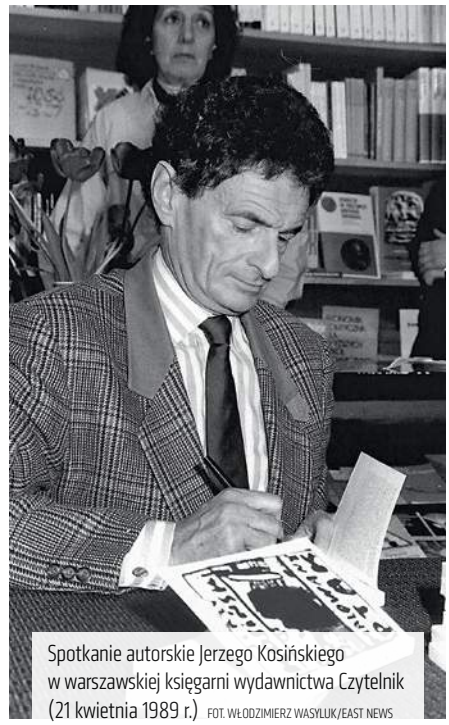

Spotkanie autorskie Jerzego Kosińskiego w warszawskiej księgarni wydawnictwa Czytelnik (21 kwietnia 1989 r.) FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

w Poznaniu nie ukrywają wcale założeń ideologicznych tkwiących u źródeł tego pod każdym względem wątpliwego przedsięwzięcia.

Widocznie skalkulowano, że od sprawy Jedwabnego minęło już wystarczająco dużo czasu, by z powrotem naładować stare armaty i dać ognia w stronę tych wstrętnych Polaków, którzy udają, że nie wyssali antysemityzmu z mlekiem matki i zapominają o ekspiacji, a przecież powinni przepraszać przez pokolenia, póki ziemia chce ich nosić. Łukasz Chotkowski powiada tak: „Dziś w końcu ta rozmowa musi wyjść z kręgów badaczy nad Zagładą, musi być debatą publiczną. Polacy muszą doprowadzić w końcu do pokazania filmu »Shoah« Lanzmanna w Telewizji Polskiej. Trzeba, by naród polski oczyścił się ze wstydu poprzez przyznanie się do zaniku empatii dla współobywateli żydowskich w czasie Zagłady". Chłopi, którzy uchronili Kosińskich przed Holokaustem, rzeczywiście nie wykazali wobec nich empatii, słowo to bowiem było wtedy nieznane, ale zrobili znacznie, znacznie więcej. Jeśli ktoś tego nie rozumie, to bardzo współczuję. Jednak „tfurcy" z Teatru Polskiego (sic!) deliberują: „Czy wystarczy, że nie zabijają Chłopca, aby uznać wszystkich dorosłych występujących w książce za bohaterów pozytywnych?". A spore fragmenty filmu Lanzmanna pokazywał jeszcze Urban w latach 80., w Telewizji Jaruzelskiej. Całość tego 9,5-godzinnego (!) filmu mogli też wtedy obejrzeć widzowie na specjalnych pokazach w warszawskim kinie Muranów. Jakoś się nie palili do oglądania tego arcydzieła, z którego wynikało m.in., że winę za zagładę Żydów ponoszą polscy maszyniści kolejowi, którzy przywozili Żydów do Treblinki.

Można się spodziewać, że poznański spektakl nie będzie odosobnionym działaniem przywracającym zainteresowanie Kosińskim, a to w kontekście zapowiadanego na rok 2019 filmu „Malowany ptak". Znamy już niektórych aktorów, którzy mają w nim wystąpić, a są wśród nich Stellan Skarsgård, Udo Kier, Harvey Keitel. Film reżyseruje według własnego scenariusza czeski reżyser Václav Marhoul.

Za scenariusz otrzymał ScriptTeast na festiwalu w Cannes w 2013 r., nagrodę imienia – uwaga! – Krzysztofa Kieślowskiego. Dziecięcą rolę w filmie zagrać ma Petr Kotlar, a z polskich aktorów wymienia się Lecha Dyblika, najbardziej znanego jako alkoholik Badura ze „Świata według Kiepskich". Widać uznano, że jest wystarczająco odrażający, by wcielić się w postać któregoś z polskich chłopów. Chociaż podobno, by rzecz zuniwersalizować, fabuła umiejscowiona jest wszędzie, czyli nigdzie, a aktorzy mają przynajmniej w części filmu używać specjalnie wymyślonego języka. Jak rozumiem, żeby nikogo nie urazić. W przeciwieństwie do realizatorów teatralnej hucpy w Poznaniu.

Oni nie mieli żadnych zahamowań, wszystko robią na chama, na żywca. Za nic mają nie tylko fakty o udowodnionych kłamstwach Kosińskiego, lecz także prawo autorskie i zwykłą elementarną uczciwość. A przecież, jeśli chcesz pouczać innych, to sam bądź w porządku.

I co powinniśmy robić, jak zachowywać się w takich jak ten przypadkach?

Nie płakać, tylko zastępować narrację kłamliwą narracją prawdziwą. Gwarantuję, że film o życiu Jerzego Kosińskiego, takim, jakie było ono naprawdę, byłby znacznie ciekawszy od sadomasochistycznych majaczeń. Dlaczego nie robimy takiego filmu, dlaczego mój „Czarny ptasior" nie został, mimo dokonanego tłumaczenia, wydany po angielsku. Krwisty befsztyk będzie dużo smaczniejszy niż odgrzewane kotlety o polskim antysemityzmie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Joanna Siedlecka – eseistka i reportażystka. Autorka biografii, m.in. „Jaśnie Panicz" (1987), „Mahatma Witkac" (1992), „Czarny ptasior" (1994), „Pan od poezji" (2002).

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Starazolin HydroBalance
Pomaga milionom oczu

W OPAKOWANIU 2 BUTELECZKI!

WYRÓB MEDYCZNY

Zawiera naturalny składnik łez, który uzupełnia warstwę ochronną oka. Skuteczne i długotrwałe nawilżenie.

Starazolin®
HydroBalance

STA-HB/174/09-2016

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Rafał A. Ziemkiewicz

Nagonka na

Najaktywniejsze w szerzeniu antypolskiej propagandy związanej z oskarżeniami o antysemityzm są organizacje lewicowe

W przededniu 74. rocznicy powstania w warszawskim getcie odtajnione zostały trzymane dotąd w ukryciu dokumenty z archiwum ONZ dotyczące Holokaustu. Wśród nich są raporty i memoriały polskich władz emigracyjnych, niezbite dowody na to, że zachodni alianci o Holokauście doskonale wiedzieli – i nic. To, czy wiadomość o istnieniu i odtajnieniu tych dokumentów (o których dotąd wiedzieliśmy tylko my, świat ich istnienie ignorował) stanie się dla zachodnich mediów „newsem", jest znaczącym testem ich uczciwości. Jak na razie to, co podaje wyszukiwarka internetowa, nie napawa optymizmem.

Przeciwnie – niemal każdy tydzień przynosi ze świata informacje o antypolskich ekscesach, niekiedy tak kuriozalnych jak pouczanie Polski w ubiegłym tygodniu przez socjalistyczny hiszpański „El País", że nie ma moralnego prawa wypominać Niemcom wojennych zbrodni, bo sama „wciąż nie rozliczyła się ze swych zbrodni wobec Żydów". Na żyrowaniu takich oskarżeń można zrobić wielką karierę, co zrozumiał chyba kolejny po Janie Tomaszu Grossie historyk, Marcin Zaremba, występując w niemieckiej prasie jako autorytet zapewniający, że Polacy bardziej zajęci byli w czasie wojny polowaniem na Żydów niż walką z okupantem.

POMYJE NA POLSKĘ

Nawet kolejne rocznice powstania w warszawskim getcie to dla lewicowych mediów coroczna okazja do wylania na Polskę dodatkowej porcji pomyj. Zawsze tych samych: Holokaust był wspólnym dziełem nieidentyfikowanych już od dawna z Niemcami „nazistów" i Polaków, przecież nie udałoby się zamordować trzech milionów polskich Żydów bez aktywnej współpracy polskiego społeczeństwa (w USA zetknąłem się nawet z wersją tego „argumentu": przecież Hitler nie mógłby wybudować swoich obozów zagłady w Polsce bez zgody polskiego rządu). Nie znaczy to, że lewicowe autorytety stawiają znak równości pomiędzy winą Niemców a winą Polaków. Zwykle twierdzą, że „Polacy byli znacznie gorsi". Niemcy przecież musieli wykonywać rozkazy, za odmowę groziła im śmierć – a Polakom nie groziło nic, angażowali się w wyłapywanie Żydów ochotniczo. Może nie lubili Niemców, ale Żydów nienawidzili znacznie bardziej – okupację niemiecką traktowali jako mniejsze zło, niezbędne, by pozbyć się Żydów i skraść ich mienie. Często przywoływanym „dowodem" na poparcie owych upowszechnionych stereotypów są prace „jedynego sprawiedliwego" wśród Polaków, za jakiego uznają wspomniane środowiska Jana Tomasza Grossa.

Z niezliczonych przykładów wybierzmy tylko jeden: dziennik „Fakt" zebrał w przeddzień tegorocznej rocznicy opinie licznych luminarzy z zachodnich uniwersytetów (można je znaleźć na stronie internetowej gazety). Profesor Johan Chapoutot z paryskiej Sorbony, prof. Roque Monero Fonseret z Alicante, prof. Norman Naimark z Uniwersytetu Stanforda, prof. Reiner Liedtke z uniwersytetu w Regensburgu i wielu innych profesorów uważanych na swoich uczelniach za specjalistów od

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Polskę

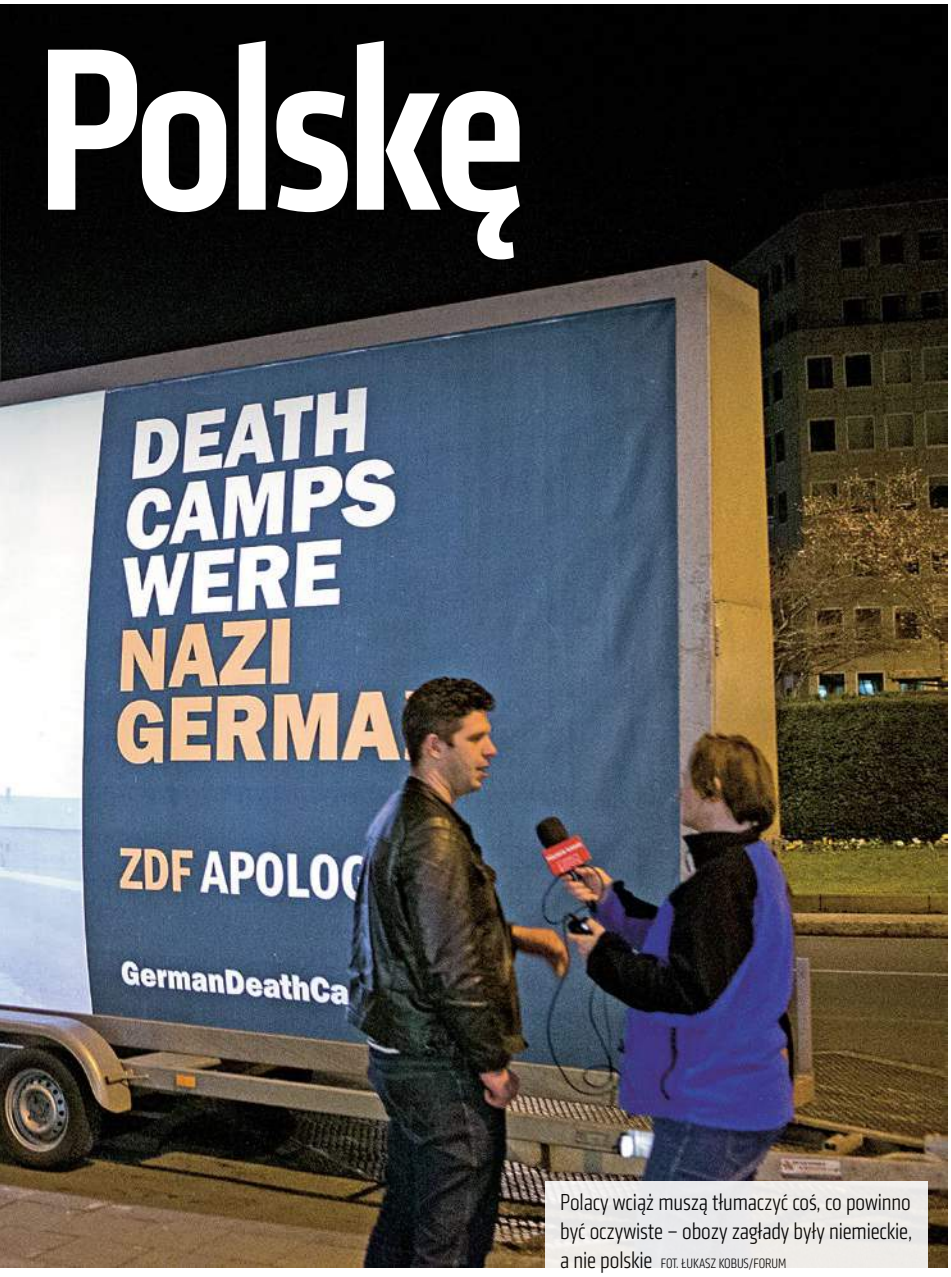

Polacy wciąż muszą tłumaczyć coś, co powinno być oczywiste – obozy zagłady były niemieckie, a nie polskie FOT. ŁUKASZ KOBUS/FORUM

II wojny światowej oraz nazizmu, najprawdopodobniej nieuprzedzonych, że udzielają wypowiedzi gazecie wydawanej w Polsce, opowiadają tam przeraźliwe, pełne nienawiści do nas androny, wykazując się przy tym dużą niewiedzą np. o tym, jak bardzo okupacja w Polsce, która nigdy nie podpisała kapitulacji i przez sześć lat była zarządzana przez okupacyjne władze wojskowe, różniła się od sytuacji w Belgii, Francji, Danii i wszystkich krajach zachodnich, gdzie rządziły kolaboracyjne władze miejscowe, a Niemcy zajmowali się jedynie ich niezbyt pilnym nadzorowaniem.

Zapewne byliby bardzo zdumieni, gdyby powiedziano im, jak bardzo sytuacja nad Wisłą różniła się np. od sytuacji w 40-milionowej Francji, do której utrzymywania w posłuchu wystarczyło Niemcom (i to w okresie szczytowych niepokojów, przed inwazją w Normandii) zaledwie 40 tys. żołnierzy tyłowych jednostek, których średni wiek przekraczał 45 lat, bez broni ciężkiej. Albo od tak dumnej z uratowania swych kilkuset Żydów Danii, gdzie okupacyjny reżim polegał m.in. na obowiązku zgłaszania niemieckiej komendanturze przez armię duńską ćwiczeń poligonowych trwających dłużej niż cztery dni – i gdzie jeszcze w latach 90. wypłacano wojskowe emerytury ponad 6 tys. weteranów Waffen-SS, gdyż formalnie byli oni żołnierzami państwa duńskiego.

UGRUNTOWANY BRAK WIEDZY

Właśnie brak tej elementarnej wiedzy skutkuje „argumentami", nad którymi nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać – na czele z zarzutem, że Polacy w latach wojny nie urządzili w obronie Żydów ani jednej antyniemieckiej manifestacji ulicznej ani strajku (!). Czy jednak będziemy się śmiać, czy płakać, nie zmienia to faktu, że antypolski stereotyp został przez „historyków" podobnych wyżej przywoływanym mocno ugruntowany i dla średnio wykształconego obywatela Zachodu wina Polaków za Holokaust jest czymś tak oczywistym, iż niepodlegającym dyskusji. Stąd sytuacje takie, jak oświadczenie przewodniczącego Światowego Kongresu Żydów (światowego z nazwy, w istocie jest to organizacja amerykańska), przyjęte przez świat z pełnym zrozumieniem w dniach gorączki po rzekomym odnalezieniu „złotego pociągu". Lider organizacji oznajmił światu, że skarb, jeśli zostanie znaleziony, należy się Światowemu Kongresowi Żydów – bo „Polska nie zapłaciła dotąd żadnych odszkodowań za zbrodnie dokonane na Żydach podczas wojny".

Gdy polskie przedstawicielstwa dyplomatyczne zwracają się z prośbą o sprostowanie stwierdzeń o naszej rzekomej odpowiedzialności za te zbrodnie – obojętne, w Skandynawii, Hiszpanii czy w USA, gdzie o „polskich obozach koncentracyjnych" powiedział sam prezydent Obama, i to – o ironio! – podczas wręczania pośmiertnego odznaczenia dla Jana Karskiego (tego Karskiego, któremu poprzednik Obamy, gdy ten referował mu polską wiedzę o niemieckich zbrodniach na Żydach, przerwał zniecierpliwiony i zmienił temat, czy Polska będzie zainteresowana kupnem po wojnie amerykańskich koni), nie wspominając już o byłym szefie FBI – pierwszą reakcją są zwykle odmowa i oburzenie. Jak ci Polacy śmią zaprzeczać, przecież wszyscy wiedzą! Dopiero po zbombardowaniu delikwenta historycznymi faktami można usłyszeć czasem jakieś niechętne przeprosiny, ale i to niekoniecznie.

Siłę antypolskiego stereotypu odczuł boleśnie autor książki Richard C. Lucas „Zapomniany Holokaust. Polacy pod okupacją niemiecką 1939–1944". To wydane stosunkowo niedawno (w 1986 r.)

eprasa.pl 9c18f8eb3d

pierwsze (!) anglosaskie opracowanie historyczne zawierające elementarną wiedzę o zbrodniach niemieckich na Polakach spotkało się z niezwykle silnym ostracyzmem, a samemu autorowi zadano śmierć cywilną. Zestawienie męczeństwa „jakichś tam" Polaków, powszechnie uważanych za wspólników Hitlera, ze świętością Holokaustu uznano w amerykańskim światku uniwersyteckim za niedopuszczalny rewizjonizm i umieszczono mniej więcej w okolicach prac Davida Irvinga, a autor przestał być gdziekolwiek zapraszany, odebrano mu nawet nagrody przyznane za inne książki.

POPRAWNA NIECHĘĆ

Niechęć do Polaków stała się więc elementem „politycznej poprawności". Tu pozwolę sobie na osobiste wspomnienie. Otóż podczas mojego pierwszego stażu w USA przypadała właśnie okrągła, 50. rocznica wyzwolenia obozu Auschwitz i z tej okazji w amerykańskich miastach – także w Seattle – organizowano spotkania z „survivors", ocalonymi z Holokaustu. Na jedno z nich wybrał się mój szef z Partii Republikańskiej, człowiek młody, o typowej dla Amerykanina (to znaczy: w sumie zerowej) wiedzy o wszystkim, co kiedykolwiek działo się poza samą Ameryką, ale przynajmniej ciekaw tego. Wrócił bardzo zdumiony i opowiedział mi, że bohater spotkania, blisko już 80-letni, nie mógł się nachwalić przedwojennej Polski, polskich ułanów i bohaterstwa, z jakim walczyli, a potem dużo ciepłych słów powiedział o Polakach, dzięki którym zdołał przetrwać Zagładę. Organizatorzy spotkania – młodzi ludzie z miejscowego uniwersytetu – reagowali na to najpierw demonstracyjnie okazywanym zdumieniem, potem nerwowym psykaniem, aż wreszcie odebrali staruszkowi głos, zakrzyczeli go i jeden z nich, jako lepiej od ocalonego poinformowany, wygłosił publiczności kazanie w tym duchu, że może subiektywnie usłyszane to świadectwo nie było fałszywe, jednak obiektywnie było, bo należy pamiętać, że Polska była zawsze krajem antysemickim, rasistowskim, i dlatego właśnie wybranym przez Hitlera na miejsce zbrodni, gdyż tylko tam komory oraz piece Auschwitz i innych obozów mogły działać przez nikogo nieniepokojone.

Sprawdziłem oczywiście, skąd wywodzili się owi organizatorzy – wbrew temu, co mógłby sądzić czytelnik, nie byli to wcale działacze organizacji żydowskich, lecz organizacji powiązanej z osławioną ACLU (Ligą Wolności Obywatelskich), jedną z najbardziej wpływowych lewackich organizacji w USA.

LEWICOWA PROPAGANDA

To istotne, bo docierające do Polski informacje o powtarzających się przypadkach zoologicznego antypolonizmu zaowocowały ukształtowaniem naszego, polskiego antystereotypu, każącego winę za tę propagandę przypisywać Żydom. Nie odpowiada to prawdzie, choć oczywiście w stosunkach polsko-żydowskich istnieje trudny do ominięcia problem – jest nim działalność „holocaust industry", jak nazwał to profesor Normal Finkelstein, czyli swoistego „przemysłu" wymuszania „odszkodowań dla spadkobierców ofiar Holokaustu" – przy czym za owych spadkobierców uznały się prawem kaduka i bez nich bardzo bogate organizacje z Nowego Jorku, w istocie niemające do zgłaszanych roszczeń żadnego legalnego tytułu, poza posiadaną siłą propagandową. Słowa Israela Singera, który zapowiadał, że „Polacy nigdy nie będą spadkobiercami po Żydach, nie pozwolimy na to", i że „Polska będzie atakowana i upokarzana na arenie międzynarodowej", dopóki nie zaspokoi roszczeń tych organizacji, zajmują poczesne miejsce w antologii polskich urazów wobec Żydów, tuż obok słów Icchaka Szamira, że „Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem matki". Łatwo jednak zapominamy, że zachowanie Singera i Światowego Kongresu Żydów wzbudziło krytykę także wśród samych Żydów, i to ona właśnie sprawiła, że po ujawnieniu sprzeniewierzeń „odzyskiwanego" mienia pożydowskiego Singer musiał odejść.

Antypolski mit przynieśli na Zachód byli staliniści, wyrzuceni z PRL na fali antysemickich czystek w partii komunistycznej

W istocie najaktywniejsze w szerzeniu antypolskiej propagandy są nie organizacje żydowskie, lecz lewicowe. Łatwo to zauważyć, śledząc historię antypolskiego mitu – tak naprawdę przyniosła go na Zachód fala byłych stalinistów, wyrzuconych z PRL na fali antysemickich czystek w partii komunistycznej w 1968 r. Wypchnięci z systemu, który stworzyli, szukali racjonalizacji swej złości – a także samousprawiedliwienia dla wszystkich podłości, jakie mieli na sumieniu. Budowanie mitu o rzekomym wrodzonym i nieuleczalnym antysemityzmie Polaków doskonale służyło i jednemu, i drugiemu. Usprawiedliwiało powojenne zbrodnie popełniane w UB – doskonałym przykładem jest tu pamiętnik Szmula Wasersztajna (po wojnie używającego nazwiska Stanisław Całka), konfidenta NKWD i funkcjonariusza UB, na którym bezkrytycznie oparł swą wersję wydarzeń w Jedwabnem Jan Tomasz Gross. Co więcej, pozwalało też wyjaśnić samym sobie i zachodnim goszystom „wypaczenia" realnego socjalizmu: piękna i słuszna idea komunizmu została zatruta polskim nacjonalizmem, który w miarę odchodzenia od idei Lenina doprowadził do usunięcia zdrowych, ideowych komunistów ze zbiurokratyzowanych „demokracji ludowych".

Tak zapoczątkowany dyskurs okazał się dla światowej lewicy bardzo pożyteczny z wielu powodów. Atakując Polaków, pozwala bowiem atakować wszystkie znienawidzone przez lewaków wartości (Dlaczego Polacy są antysemitami? Bo są katolikami i patrio… to znaczy, nacjonalistami). Antypolski dyskurs okazał się też bardzo poręczny do usprawiedliwiania własnych win przez kraje zachodnie. Nie jest przypadkiem, że najsilniejszy jest on, poza Niemcami, w krajach, takich jak Francja, która pobiła w czasie wojny wszelkie rekordy kolaboracji i podobnie jak inne okupowane w czasie wojny kraje światowe sama rękami swoich urzędników i policjantów, na zlecenie swoich kolaboracyjnych rządów, zorganizowała akcję katalogowania, wyłapywania i wywożenia do obozów zagłady własnych obywateli pochodzenia żydowskiego. Nie jest też przypadkiem, że ze szczególnym nasileniem antypolonizmu mamy do czynienia właśnie w USA, gdzie otoczenie prezydenta Roosevelta ze szczególnym uporem negowało świadectwa, takie jak wspomnianego Jana Karskiego czy Szmula Zygielbojma, który w bezsilnym proteście przeciw obojętności osiadłych na Zachodzie rodaków posunął się w końcu do samobójstwa. Wystarczy przejrzeć archiwalne roczniki „The New York Times", sztandarowego pisma amerykańskiej lewicy – gazety, która wtedy o świadectwach Holokaustu nie zająknęła się ani razu i teraz nie pisze także o ujawnionych archiwach ONZ, zawierających niezbite dowody, że Polacy w obliczu Holokaustu zachowali się najlepiej, jak mogli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

RMF Classic

1000 biletów

na Festiwal Muzyki Filmowej do zdobycia już teraz w RMF Classic

Szczegóły na **www.rmfclassic.pl**

Kraków 20 lat kbf fmf

Słuchaj nas on-line: **www.rmfon.pl**

Słuchaj nas w telefonie. Pobierz aplikację w App Store, Google Play, Microsoft Marketplace.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM
Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM
Kielce 99,0 FM
Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM
Opole 97,5 FM
Poznań 103,9 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM
Warszawa 98,3 FM
Włocławek 91,2 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM

eprasa.pl 9c18f8eb3d

TYLKO U NAS!

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ O ZGUBNYM KULCIE MARSZAŁKA

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Jan Pisuliński – Zbrodnia „Wisła" / **Jakub Ostromęcki** – **Zagadka śmierci Świerczewskiego** / David M. Crowe – Prawdziwe oblicze Schindlera / **Piotr Semka** – **Afera pułkownika Redla** / Aleksander Podrabinek – Koszmar sowieckich psychuszek / **Arkadiusz Karbowiak** – **Łotysze w Waffen-SS** / Łukasz Czarnecki – Historia harakiri

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 9c18f8eb3d

TYGODNIK LISCKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ **KOSZULKA** „ŻOŁNIERZE WYKLĘCI: NIEŚMIERTELNI BOHATEROWIE”
(ŁUPASZKA, ZAPORA, OLECH, RÓJ, PŁÓG)

Koszulka patriotyczna poświęcona Żołnierzom Wyklętym. Dopracowana w najdrobniejszych detalach, ilustracja przedstawia na tle klimatycznego lasu majora Łupaszkę, majora Zaporę, podporucznika Olecha, st. sierżanta Roja oraz podpułkownika Pługa. Całość została wpisana w kształt nawiązujący do polskiego orzełka wojskowego.

220 zł

oszczędność 227 zł

RED IS BAD to kultowa marka odzieży patriotycznej. Najwyższa jakość i w pełni polska produkcja.
www.redisbad.pl

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL**: prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET**: www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9c18f8eb3d

śledztwo DO RZECZY

FOT. DAREK REDOS/REPORTER

Nieznana twarz Temidy

Wojciech Wybranowski

Pułkownik Piotr Raczkowski może niebawem zostać sędzią Sądu Najwyższego. Ujawniamy bulwersujące zdarzenia z udziałem tego jednego z najważniejszych sędziów w Polsce

Lipiec 2001 r. Upalne lato. Do niewielkiej miejscowości Karwik pod Piszem jedzie grupa sędziów. Wszyscy dobrze się znają. Wśród nich jest płk Piotr Raczkowski, prezes Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie (dziś także wiceprezes Krajowej Rady Sądownictwa).

Impreza się rozwija, alkoholu nie brakuje. W pewnym momencie dochodzi do scysji pomiędzy sędzią Raczkowskim a gospodarzem spotkania – sędzią Rafałem D. Jak wynika z późniejszych ustaleń Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Poznaniu, która w latach 2007–2009 badała tę sprawę, powodem awantury miała być krytyczna ocena pracy sędziego Rafała D. Sędzia Raczkowski miał powiedzieć, że pracownicy Departamentu Sądów Wojskowych Ministerstwa Sprawiedliwości mają o nim złe zdanie. Obrażony D. zripostował, że „jest siódmym pokoleniem prawniczym" i odwrócił się, by odejść. W tym momencie prezes Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie miał wyprowadzić cios pięścią i uderzyć kolegę w twarz. „Napastnikowi nie udało się pokrzywdzonego dokładnie trafić. Pięść płk. Piotra Raczkowskiego przesunęła się po twarzy pokrzywdzonego" – ustalili śledczy.

– Nigdy nie uderzyłem ani nie znieważyłem żadnego sędziego – przekonuje „Do Rzeczy" sędzia Piotr Raczkowski. – W latach 2001–2006 mieliśmy w sądzie bardzo dobre stosunki, a sąd funkcjonował bez zarzutów. Mieliśmy wtedy bardzo dużo wizytacji przełożonych, zarówno z sądu wyższej instancji, jak i z ministerstwa. Zawsze broniłem sędziów przed zarzutami dotyczącymi prowadzonych spraw, co było powodem zastrzeżeń przełożonych i określaniem przez nich tych stosunków „fraterskimi".

Poznańska wojskowa prokuratura stwierdziła co innego: „Przedmiotowe zachowanie istotnie należy uznać jako naruszenie nietykalności cielesnej żołnierza". Sprawę jednak umorzono z powodu przedawnienia.

Sprawa sprzed 16 lat to niejedyna rysa na życiorysie sędziego Raczkowskiego. „Do Rzeczy" dotarło do materiałów prokuratorskich, sądowych, a także wojskowej „teczki" prezesa Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie. Znaleźliśmy w niej informacje i materiały, które budzą wiele pytań, niepokoją i aż nazbyt dobitnie pokazują patologiczną twarz polskiego wymiaru sprawiedliwości.

PUŁKOWNIK CHCE DO SĄDU NAJWYŻSZEGO

Pułkownik Piotr Raczkowski jest dzisiaj jednym z najważniejszych w Polsce sędziów. Jako wiceprzewodniczący KRS sygnował oświadczenie Rady, w którym stwierdzono, że orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego są ostateczne i obowiązują nawet wtedy, jeśli nie zostaną opublikowane [choć na taki wymóg wskazują przepisy konstytucji – przyp. red.]. To również on w imieniu KRS podpisał się pod protestem przeciwko ujawnianiu oświad-

eprasa.pl 9c18f8eb3d

czeń majątkowych sędziów, bronił też pracy Państwowej Komisji Wyborczej w kontrowersyjnych wyborach samorządowych w 2014 r. Niedawno prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Gersdorf wystąpiła o delegowanie Raczkowskiego do orzekania w Sądzie Najwyższym. Ten wniosek został zablokowany przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę.

Pułkownik Raczkowski ma jednak spore szanse w najbliższym czasie w Sądzie Najwyższym się znaleźć i współdecydować o kształcie wymiaru sprawiedliwości w Polsce.
– Na chwilę obecną do objęcia przewidzianych jest pięć stanowisk sędziego SN, w tym jedno w Izbie Cywilnej, trzy w Izbie Karnej i jedno w Izbie Wojskowej. Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN nie dokonało jeszcze wyboru kandydatów. Pan pułkownik Piotr Raczkowski zgłosił swoją kandydaturę na stanowisko sędziego w Izbie Wojskowej – poinformował nas Krzysztof Michałkowski z biura prasowego SN.

Jak się nam nieoficjalnie udało dowiedzieć, nad kandydaturą sędziego Raczkowskiego Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego najprawdopodobniej pochyli się w najbliższych dniach. Szanse na nominacje są spore – jako wiceprezes KRS Raczkowski stał się twarzą oporu sędziów wobec rządu. Nieoficjalnie w środowisku sędziowskim mówi się też, że ma on poparcie prof. Gersdorf.

OD PIEKARZA DO PREZESA

Kariera Piotra Raczkowskiego zaczęła się w PRL, ale rozwija się wręcz w amerykańskim tempie. Urodził się w 1961 r. w Nowym Mieście Lubawskim w dawnym województwie toruńskim, gdzie jego ojciec Jerzy był lokalnie znanym funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej i członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Do PZPR należała też jego matka Zofia. Obecny wiceprezes KRS też wstąpił w 1984 r. do PZPR i pozostał w niej aż do słynnej komendy „Sztandar wyprowadzić!". „Akceptuje ogólnospołeczne ideały socjalizmu. Wszystkie siły antysocjalistyczne uważa za wrogie narodowi" – zapisano w jednej z opinii na temat Raczkowskiego w latach 80.

Raczkowski skończył zasadniczą szkołę zawodową i trzyletnie liceum dla pracujących. Pracę rozpoczął w wyuczonym zawodzie: najpierw jako ciastkarz-piekarz, a później jako magazynier-piekarz. W 1983 r. powołano go do zasadniczej służby wojskowej – w mundurze pełnił obowiązki piekarza, kadeta i kierownika Garnizonowej Piekarni Wojskowej. Rozpoczął też naukę w Szkole Podchorążych Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu i wreszcie zaoczne studia prawnicze na UMK w Toruniu, które ukończył – choć z problemami – w 1992 r. z oceną dostateczną. Później były aplikacja sędziowska w sądzie warszawskiego okręgu wojskowego i egzamin sędziowski zaliczony na ocenę „dobry plus". Od tego momentu kariera Piotra Raczkowskiego potoczyła się błyskawicznie: od asesora Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie do prezesa tegoż sądu i stanowiska w Krajowej Radzie Sądownictwa, której od 2014 r. jest wiceprzewodniczącym. Niektórzy w środowisku sędziowskim szybkie awanse Raczkowskiego łączą z jego pierwszą żoną, sędzią SA Ireną Raczkowską (dziś w stanie spoczynku), która w latach 90. była wpływową postacią w Ministerstwie Sprawiedliwości.

– Rzeczywiście pracowałam jako specjalista w Dziale Kadr Ministerstwa Sprawiedliwości. W 1997 r. minister Kubicki powierzył mi zadanie wprowadzenia nowych przepisów dotyczących przejścia sędziów w stan spoczynku i stałam się znana w środowisku. Czy to pomogło Piotrowi? Może, nie mnie to oceniać – ucina sędzia Raczkowska. O byłym mężu z prasą rozmawiać nie chce.

W wojskowych aktach osobowych płk. Piotra Raczkowskiego przełożeni piszą pozytywne opinie. Każdy wniosek o przeniesienie umożliwiające mu dalszą karierę rekomendowany jest życzliwie. Charakteryzują go jako sumiennego, rzetelnego oficera. Jednocześnie w jego karierze sędziowskiej pojawiają się ciemne, skrupulatnie dotąd skrywane plamy. Przed nami nikt o tych sprawach publicznie nie informował.

SŁUŻBOWA JAZDA

W 2008 r. Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Poznaniu uznała, że sędzia Raczkowski jako prezes Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie nadużył uprawnień i spowodował znaczną stratę finansową, wykorzystując do celów prywatnych służbowe samochody. Zdaniem śledczych sędzia korzystał ze służbowych samochodów, jeżdżąc nimi do swojej podwarszawskiej posiadłości, a także w celach towarzyskich po stolicy. Prokuratorzy, którzy wyliczyli, że w ten sposób naraził sąd na stratę ponad 50 tys. zł, wystąpili do Wojskowego Sądu Okręgowego – Sądu Dyscyplinarnego w Warszawie o wydanie zgody na pociągnięcie płk. Raczkowskiego do odpowiedzialności karnej. To się nie udało. Tydzień później wiceszef WSO-SD płk Wiesław Pastuszak odmówił przyjęcia wniosku prokuratury, uznając go – jak czytamy w dokumentach, do których dotarliśmy – „za oczywiście bezzasadny".

Sędzia Raczkowski bagatelizuje sprawę. Argumentuje, że w 2005 r. prokuratura wszczęła podobne postępo-

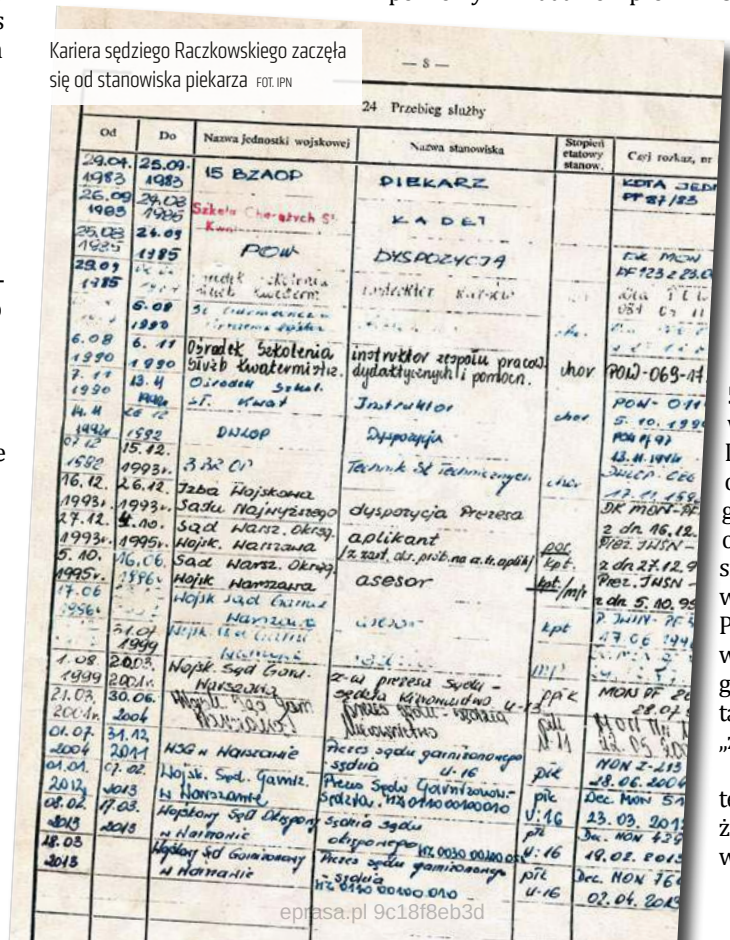

Kariera sędziego Raczkowskiego zaczęła się od stanowiska piekarza FOT. IPN

eprasa.pl 9c18f8eb3d

wania wobec prawie wszystkich prezesów sądów wojskowych, zarzucając im używanie pojazdów służbowych niezgodnie z decyzją MON. – Nie zgadzaliśmy się z tą interpretacją przepisów i wskazywaliśmy podstawy prawne naszego stanowiska. Pomimo tego prokuratura wszczęła postępowanie i zarządziła śledzenie naszych przejazdów. Sprawa zakończyła się orzeczeniem Sądu Najwyższego, który przyznał nam rację – twierdzi. Sugeruje też, że działania prokuratury mogły mieć drugie dno. – Pomimo tego orzeczenia prokuratura nadal prowadziła w stosunku do niektórych z nas postępowanie, a po umorzeniu, w stosunku do najbardziej aktywnych prezesów, w tym w stosunku do mnie, skierowała wniosek do ministra o odwołanie ze stanowiska – przekonuje wiceszef KRS.

Ówczesny minister sprawiedliwości prof. Zbigniew Ćwiąkalski tę sprawę dobrze pamięta. I ocenę ma jednoznaczną. – Z ustaleń prokuratury wynikało, że mogło dojść do rażącego naruszenia uprawnień przez sędziego Raczkowskiego – mówi „Do Rzeczy" prof. Ćwiąkalski. – Wnioskowałem wówczas – i podtrzymałbym to dzisiaj – o usunięcie go z funkcji prezesa sądu. Powinny pełnić ją wyłącznie osoby o nienagannych kwalifikacjach moralnych i etycznych – dodaje.

Dotarliśmy też do wniosku, który Ministerstwo Sprawiedliwości skierowało do Krajowej Rady Sądownictwa. „[…] Sprawowanie funkcji Prezesa Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie przez płk. Piotra Raczkowskiego nie da się pogodzić z dobrem wymiaru sprawiedliwości" – czytamy w piśmie podpisanym przez Zbigniewa Ćwiąkalskiego i ówczesnego szefa MON Bogdana Klicha.

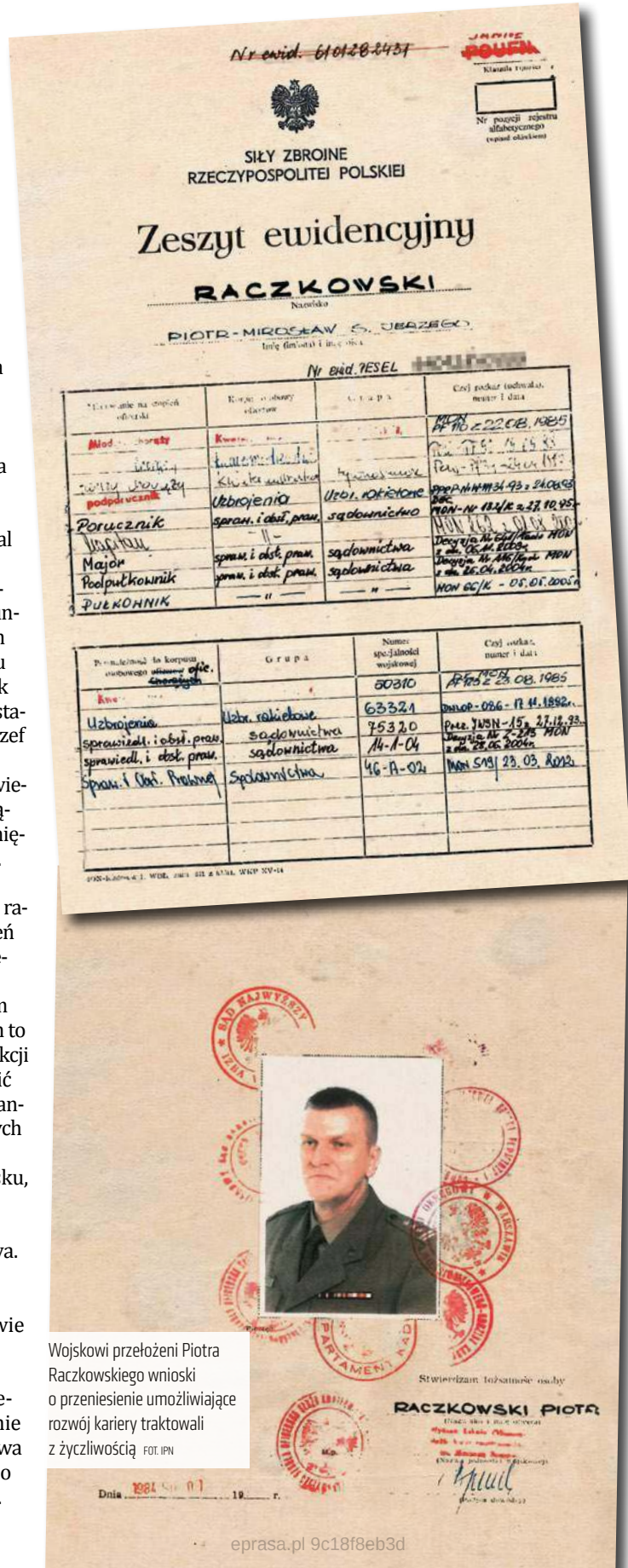

Wojskowi przełożeni Piotra Raczkowskiego wnioski o przeniesienie umożliwiające rozwój kariery traktowali z życzliwością FOT. IPN

Sędziowie KRS nie wyrazili jednak zgody na odwołanie Raczkowskiego.

O wątpliwościach i budzących sporo pytań zdarzeniach z przeszłości dzisiejszego kandydata do Sądu Najwyższego mówią też jego dawni znajomi i współpracownicy. – Ze strony sędziego Raczkowskiego, prezesa Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie, były podejmowane pewne działania, które w mojej ocenie zmierzały do tego, by doprowadzić do konkretnego rozstrzygnięcia niektórych spraw – mówi „Do Rzeczy" mecenas mjr Piotr Kamiński, były sędzia Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie. – Jedna z nich dotyczyła obwinionego o jazdę samochodem w znacznym stanie nietrzeźwości, powyżej dwóch promili. Gdy się na to nie zgodziłem, sędzia Raczkowski zmienił zarządzenie o wyznaczeniu sędziego referenta, zabrał mi tę sprawę i sam ją poprowadził.

O problemie on i jeszcze jeden z sędziów dziewięć lat temu opowiedzieli reporterom programu „Uwaga!" TVN. Po nagłośnieniu sprawy w mediach Zgromadzenie Sędziów Sądów Wojskowych wydało kuriozalną uchwałę, zarzucając „szkalowanie środowiska sędziów", a sam Kamiński został zmuszony do odejścia z pracy w sądzie. Wojskowa prokuratura, która badała sprawę domniemanych nacisków, szybko postępowanie umorzyła. Przy okazji wyszły jednak na jaw inne sytuacje pokazujące nieznane oblicze „nadzwyczajnej kasty ludzi". Jakie?

ZABAWY I SZKOLENIA

Legionowo, 2004 r. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Warszawie organizuje szkolenie dla swoich sędziów. Są też uroczysta kolacja, alkohol. W pewnym momencie głos zabiera płk Piotr Raczkowski, zwierzchnik uczestniczących w kursie praw-

eprasa.pl 9c18f8eb3d

ników. Głośno komentuje sytuację rodzinną innego z przedstawicieli warszawskiej Temidy. „Skoro nie ma małżonki, to znaczy, że jest pedałem" – rzuca ironicznie sędzia. Głos w obronie postponowanego zabiera inny z prawników. Mówi, że nie zgadza się na znieważanie kolegi. Prezes warszawskiego sądu ostro mu przerywa: „A może ty jesteś pedałem i pedofilem, skoro go bronisz".

Opis tej sytuacji jest w aktach Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Poznaniu. Część z uczestników szkolenia potwierdziła w śledztwie, że do takiego zdarzenia doszło. Sam pokrzywdzony twierdził, że nic nie słyszał. Jeden z zeznających na korzyść Raczkowskiego świadków podsumował: „Jeśli ktoś zna płk. Piotra Raczkowskiego, to wie, że wymieniony często używa słów wulgarnych jako podkreślnik jego wypowiedzi". Prokuratura sprawę umorzyła, uznając, że występki się przedawniły.

Sprawa wyzwisk, jakich miał wobec sędziów używać płk Raczkowski, lub agresywnego, aroganckiego zachowania wobec pracownic sądu pojawia się w aktach prokuratorskich postępowań kilkakrotnie w różnym kontekście (dwie z sądowych urzędniczek mówiły, że płakały z tego powodu). Zawsze jednak kończyło się decyzją o umorzeniu postępowania.

Inne szkolenie, znów w Legionowie. Wojskowi sędziowie przechodzą kurs strzelecki. Jak wynika z materiałów prokuratorskiego śledztwa, w pewnym momencie płk Raczkowski miał przewrócić na ziemię innego z uczestników szkolenia i zacząć okładać go pięściami po twarzy i brzuchu. „W ocenie świadka to nie były żarty, pokrzywdzony miał wołać, że zrobi sobie obdukcję" – czytamy w materiałach prokuratury. Przesłuchano świadków. Jeden z nich, również sędzia, zeznał, że widział, jak prezes wojskowego sądu rzucał na ziemię innego mężczyznę i go przyduszał. Zaznaczył jednak, że on sam problemu nie widzi, bo była to tylko „forma zabawy". Sam Ryszard D., wówczas starszy sekretarz w sądzie kierowanym przez Raczkowskiego, który miał go ponoć tarmosić, przyznał, że „przekomarzał się" z przełożonym, co ostatecznie doprowadziło do „zapasów siłowych". Prokuratura wojskowa uznała, że w tym, iż dwaj starsi mężczyźni, pracownicy wymiaru sprawiedliwości, w trakcie szkolenia tarzali się po ziemi, szarpiąc i okładając, nie ma nic niewłaściwego. Śledczy stwierdzili, że zarówno „Raczkowski, jak i D. przepychając się siłowo między sobą, wyrazili aprobatę dla tego rodzaju rywalizacji fizycznej". Postępowanie umorzono.

Sędziowie ciekawie bawili się też na szkoleniu w podwarszawskiej Jachrance w 2005 r. Była nauka, a także wódka. Lała się wręcz szklankami. W trakcie późniejszego śledztwa – prowadzonego w 2008 r. – część uczestników szkolenia opowiadała śledczym, że płk Raczkowski przymuszał swojego podwładnego, asesora sądowego Tomasza F., do wypicia szklanki wódki, a następnie – kolejnego dnia – do biegu za autobusem, którym jechali inni uczestnicy szkolenia. „Osobiście widziałem, jak płk Raczkowski nakazał ppor. Tomaszowi F. wypicie szklanki wódki" – zeznawał jeden z sędziów. Prokuratura przesłuchała F. Ten przyznał, że wódka na szkoleniu była, ale nikt go do picia nie musiał zmuszać, bo czynił to z własnej woli. Sprawa została umorzona, bo wniosek o ściganie mógł złożyć tylko pokrzywdzony, a tego nie zrobił.

SĘDZIA: TO ZEMSTA

O opisywane przez nas wydarzenia zapytaliśmy płk. Piotra Raczkowskiego. – Takie sytuacje w mojej ocenie nie miały miejsca – stwierdził wiceprezes KRS. – Z całą pewnością nigdy nie było wobec mnie prowadzone postępowanie karne – zaznaczył.

Przyznał, że wie, iż było wobec niego prowadzone śledztwo po zawiadomieniu, jakie – jak twierdzi w liście do „Do Rzeczy" – w prokuraturze złożyło dwóch sędziów, z którymi przed laty łączyła go zażyła przyjaźń, a którzy z osobistych powodów (jednemu miał odmówić urlopu) uznali go za wroga i zaczęli składać do prokuratury zawiadomienia „o zachowaniach, które nie miały miejsca". – Wobec odmowy przyznania mi prawa strony, nie wiem, jakie były te zarzuty i ile ich było, zaś po zakończeniu postępowania odmówiono mi możliwości zaskarżenia podstaw umorzenia – twierdzi sędzia Raczkowski. Dodaje, że jeden z tych sędziów miał mu niedawno przesłać list z pogróżkami, sugerując wycofanie z życia publicznego.

Rzeczywiście – w aktach prokuratorskiego śledztwa powtarzają się dwa nazwiska sędziów. Jednak te wydarzenia w prokuraturze opisywało też wiele innych osób, uczestników szkoleń i pracowników sądów. Czy rzeczywiście dochodziło do występków? Nie przesądzamy – jednak obraz wymiaru sprawiedliwości, który wypływa z zeznań świadków i materiałów, do których dotarliśmy, jawi się nader czarno.

O przedstawione przez nas wydarzenia zapytaliśmy prezes Sądu Najwyższego. – Pani prof. Małgorzata Gersdorf nie ma wiedzy o faktach wskazanych przez pana redaktora i z tego względu się do nich nie ustosunkuje. Pragnę natomiast poinformować, że kwestie podniesione przez pana będą badane w toku procesu kandydowania i wyboru kandydatów na stanowiska sędziów SN – odpowiedziało biuro prasowe SN.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Pod tym hasłem zbieramy pamiątki dla Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu

Dołącz do nas!

Poszukujemy pamiątek związanych z losami jeńców w niemieckiej i radzieckiej niewoli oraz internowanych w państwach neutralnych podczas II wojny światowej. Przyjmujemy dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, przedmioty, ubrania itp. Celem naszej zbiórki jest ich ratowanie, zabezpieczenie oraz upublicznienie.

zbiorkapamiatek@cmjw.pl **www.cmjw.pl**

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu
45–017 Opole, ul. Minorytów 3, tel./fax +48 77 453 78 72, 77 453 92 16

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz budżetu Województwa Opolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 9c18f8eb3d

FOT. KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM

Antoni, Antoni i jeszcze raz Antoni!

Kamila Baranowska

Relacje Antoniego Macierewicza z Jarosławem Kaczyńskim jeszcze nigdy nie były tak napięte jak dziś. Nawet jeśli kryzys uda się zażegnać, to nie będzie już jak dawniej

Mało kto zwrócił uwagę na to, że 10 kwietnia Jarosław Kaczyński podczas przemówienia przed Pałacem Prezydenckim w siódmą rocznicę katastrofy smoleńskiej po raz pierwszy ani razu nie wymienił z nazwiska Antoniego Macierewicza, ani razu mu nie podziękował. W ostentacyjny sposób dziękował za to prezydentowi Andrzejowi Dudzie za wsparcie dla pomysłu budowy dwóch pomników ofiar tragedii oraz podkomisji Wacława Berczyńskiego za jej prace. Wiadomo, że podkomisję powołał Macierewicz w obrębie MON, ale tym razem prezes o tym nie wspomniał. – Wtedy już wiedziałem, że z Antonim będzie źle – opowiada nam jeden z polityków obozu władzy.

Zgrzyt był widoczny, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie poprzednie rocznice smoleńskie. Rok temu Kaczyński mówił: „Antoni, Antoni i jeszcze raz Antoni! Dokonał cudu ze swoim zespołem". Podobnie było podczas miesięcznic i wszystkich poprzednich uroczystości rocznicowych.

Rzeczywiście, 10 kwietnia między Macierewiczem a Kaczyńskim wiało już chłodem, choć sytuacja nie wydawała się jeszcze tak napięta, jak się później okazało. – Sprawa Misiewicza długo była przez prezesa tolerowana, bo rozumiał świetnie ten mechanizm, że skoro nie ma czym uderzyć w Antoniego, to uderza się w jego zaplecze. Prezes sam to wielokrotnie przerabiał i też stanowczo bronił ludzi, których w innych okolicznościach pewnie wcale by nie bronił, jak było choćby z posłem Piotrowiczem – tłumaczy nam jeden z rozmówców z PiS. – Sytuacja jednak zaczęła wymykać się spod kontroli i gra przestała być warta świeczki. Antoni obiecał, że Misiewicz zniknie, i on tego dopilnuje.

– Kiedy prezes stracił cierpliwość? – pytamy.

– Kiedy zorientował się, że Antoni się z tej obietnicy nie wywiązuje. Wściekł się, gdy zobaczył, że to nie jest tak, iż on sobie z sytuacją nie radzi, ale zwyczajnie robi go w konia. Deklaruje mu jedno, a potem robi swoje – tłumaczy osoba znająca kulisy sprawy.

Posłowie PiS, z którymi rozmawiamy, zwracają uwagę na to, że uderzenia, które pojawiały się w mediach, nie były przypadkowe. – Wiadomo było, że informacja o tym, ile Misiewicz ma zarabiać w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, zbulwersuje Kaczyńskiego, który jest na tym punkcie wyczulony – mówi poseł PiS, sugerując, że na późniejszym etapie medialne donosy na Misiewicza mogły pochodzić także z wewnątrz obozu prawicy.

WIELOPARTYJNE DOŚWIADCZENIE

Wypadki potoczyły się szybko. Prezes na zwołanej konferencji prasowej powołał specjalną komisję, mającą wyjaśnić kwestię zatrudnienia Misiewicza w PGZ. Misiewicz został zawieszony w prawach członka PiS, po czym sam odszedł z partii i PGZ. Dla Macierewicza sam fakt powołania komisji musiał być ciosem. Dotychczas funkcjonował w PiS i w rządzie na specjalnych zasadach – był wraz z Mariuszem Błaszczakiem i Mariuszem Kamińskim w tzw. żelaznej trójce ministrów, którzy trafili do rządu w wyniku osobistej decyzji Kaczyńskiego, z którą nikt nie miał prawa dyskutować. Teraz, jak spekuluje się w PiS, Macierewicz stracił parasol ochronny i jego decyzje będą oceniane oraz kwestionowane, a nie traktowane jak nieomylne, a tak było dotychczas. Pierwsze sygnały nowego traktowania płyną chociażby z Pałacu Prezydenckiego. Kto wie, czy Jarosław Kaczyński z większą uwagą nie zacznie się wsłuchiwać w to, co do powiedzenia na temat zmian w armii mają Andrzej Duda i podległy mu BBN. Dotąd w starciu z Macierewiczem Pałac zwykle był na przegranej pozycji.

W PiS wszystkie oczy są teraz zwrócone na Macierewicza, bo od tego, co zrobi i jak się zachowa, zależą jego dalsze losy w partii i rządzie. Czy wziął tę lekcję od prezesa, czy będzie brnął w nieposłuszeństwo, narażając się na zarzut braku lojalności? Jeśli to drugie, to oznaczać to może rychłą dymisję z funkcji szefa MON, a także osłabienie jego roli w strukturach partyjnych – dziś Macierewicz jest wiceprezesem PiS. – Jarosław pozwala rosnąć swoim ludziom w siłę, ale tylko wtedy, gdy ich siła jest emanacją jego siły – komentuje polityk PiS. Ostatnio zaś postanowił utemperować Macierewicza.

Część polityków PiS naprawdę obawia się ewentualnego rozłamu w partii, który mógłby stać się następstwem dymisji Macierewicza. Mówi, że trudno byłoby to wytłumaczyć wyborcom i sympatykom. Rzeczywiście, każdy, kto kiedykolwiek obserwował wiec PiS w którymś z regionów, wie, że jest tylko jedna osoba, która wzbudza entuzjazm i wiwaty porównywalne do Jarosława Kaczyńskiego, i jest to właśnie Antoni Macierewicz. W PiS są jednak i tacy, którzy twierdzą, że jego ewentualna dymisja mogłaby pomóc PiS uwiarygodnić się w miękkim elektoracie, dzięki któremu partia wygrała przecież wybory. A najbardziej zagorzali wyznawcy raczej nie porzuciliby Kaczyńskiego na rzecz Macierewicza. – Antoni mógł budować się na Smoleńsku tylko w PiS przy Kaczyńskim, który stracił w tej tragedii brata, poza PiS traci całą legitymację do zajmowania się tym tematem – mówi nam jeden z polityków.

Poza tym sam Macierewicz musi kalkulować, jaka przyszłość czekałaby go poza PiS. Nauczony doświadczeniem przeszedł przez wiele partii – od ZChN, przez m.in. Akcję Polska, Ruch dla Rzeczypospolitej, Ruch Odbudowy Polski, Ruch Katolicko-Narodowy, do Ligi Polskich Rodzin. Wie, że budowa własnej formacji nie jest prosta. W jego przypadku zwykle kończyło się tak samo: najpierw konfliktem, potem rozłamem i odejściem do nowej partii.

POCZUCIE SIŁY

Dopiero w PiS zakotwiczył na dłużej. Jego słabością wewnątrz PiS jest fakt, że nie zbudował silnej frakcji, zawsze był politycznym singlem, co zresztą Kaczyńskiemu bardzo pasowało. Nie potrafił zbudować sieci wpływów w okręgu, z którego startował. Poza kilkoma współpracownikami, takimi jak Misiewicz, nie miał wewnątrzpartyjnych sojuszników, którzy stanęliby za nim murem w sytuacji takiej jak ta ostatnia.

– Wszystko, na czym Macierewicz budował swoje poczucie siły i pewności siebie, wzięło w łeb, nawet sprawa Smoleńska – podsumowuje jeden z jego partyjnych kolegów. – Dotąd temat wyjaśniania przyczyn tragedii smoleńskiej to był jego sprawdzony patent na Kaczyńskiego. Wiadomo było, że prezes ma emocjonalny stosunek do tej sprawy.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Tym razem to jednak nie wystarczyło. Okazuje się, że Kaczyński jest rozczarowany tempem prac podkomisji i tym, że wciąż nie ma przełomu. A przecież Antoni, zostając ministrem obrony, miał dwa zadania: przywrócić system dowodzenia sprzed reformy Komorowskiego oraz Siemoniaka i właśnie wyjaśnić Smoleńsk – tłumaczy nasz rozmówca.

I tym razem Macierewicz, widząc, że pali mu się grunt pod nogami, próbuje sprawdzonych metod. Kilka dni temu, podczas obchodów święta Dowództwa Garnizonu Warszawa, Macierewicz w swoim przemówieniu nawiązał do stojącego przez garnizonem popiersia śp. Lecha Kaczyńskiego. – Tak jak na co dzień strzeżecie wielkiej tradycji i dorobku Wojska Polskiego oraz polskich żołnierzy zaklętych w Grobie Nieznanego Żołnierza, tak od tygodnia spada na was wielki obowiązek strzeżenia popiersia tego, który poległ w obronie Rzeczypospolitej – powiedział Macierewicz do żołnierzy i dowódcy stołecznego garnizonu.

Antoni Macierewicz cieszył się specjalnymi względami Jarosława Kaczyńskiego nie tylko dlatego, że zaangażował się w sprawę wyjaśniania przyczyn katastrofy smoleńskiej. Kaczyński uważał go za człowieka do zadań specjalnych. Gdy w grę wchodziła sprawa beznadziejnie trudna, wymagająca odporności psychicznej i narażenia się wielu środowiskom naraz, wiadomo było, że tylko jeden człowiek może jej sprostać. Tak było, gdy bracia Kaczyńscy zaproponowali mu po wygranych w 2005 r. wyborach stanowisko likwidatora Wojskowych Służb Informacyjnych. Macierewicz był wtedy na politycznym aucie, jego formacja – wtedy pod nazwą Ruch Patriotyczny – nie weszła do Sejmu.

Kazimierz Marcinkiewicz, były premier w rządzie PiS, dziś zajadły krytyk tej partii, w książce „Kulisy władzy" wspominał, że zapytał kiedyś Jarosława Kaczyńskiego, dlaczego się na taki ruch zdecydował. – Usłyszałem w odpowiedzi, że przede wszystkim nikogo innego nie znalazł, nikogo, kto byłby na tyle silny, odporny na różne zewnętrzne naciski, by wykonać zadanie. Jednak powiedział mi jednocześnie, że ma świadomość, iż do budowania nowej służby będzie musiał znaleźć kogoś innego – mówił. Podobnie zresztą wspomina to Ludwik Dorn, kiedyś zwany „trzecim bliźniakiem", dziś krytycznie oceniający działania PiS. W „Polityce" opowiadał, że spory dystans wobec Macierewicza przejawiał Lech, a sam Jarosław podchodził do jego nominacji na likwidatora WSI bez większego entuzjazmu. – Mówił, że on może być dobry do zlikwidowania Wojskowych Służb Informacyjnych, bo do tego się nadaje, ale do tworzenia nowej struktury to nie bardzo. Po czym okazało się, że jednak zmienił zdanie, jesienią 2006 r. – twierdzi.

KOLEŻEŃSKIE RELACJE

Odpowiedzi, dlaczego zmienił zdanie, udzielił pośrednio sam Jarosław Kaczyński w wydanej w 2006 r. książce „Alfabet braci Kaczyńskich". Po prostu uznał, że Macierewicz w wielu kwestiach miał rację. – Popełniał błędy, ale dziś wychodzi na to, że miał rację, że diagnoza, którą postawił po pobycie w MSW w 1992 r., iż tu właściwie wszystko, co złe, wywodzi się z bezpieki, była prawdziwa. To trzeba uczciwie powiedzieć, to nieustannie wychodzi. Co nie oznacza, że zgadzaliśmy się czy zgadzamy co do recept – mówił.

Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz poznali się w latach 70., gdy Macierewicz był jednym z liderów KOR, a Kaczyński rozpoczął współpracę z „Głosem" – gazetą redagowaną wspólnie przez Macierewicza i Adama Michnika. Gdy między Michnikiem i Macierewiczem wybuchł konflikt, Kaczyński – jak sam wspomina – stał trochę z boku. – Patrzyłem na ten spór z oddali. Dochodził on do mnie przede wszystkim w postaci negatywnych komentarzy na temat Macierewicza: jaki to bałaganiarz, gaduła, wszystko rozwali, nic mu się nie udaje. Takie informacje kolportowała grupa Michnika – wspominał Kaczyński w „Alfabecie". Na pytanie, czy to prawdziwy opis, odpowiedział: – Nie. To nie jest prawda. Kłopoty i wady Macierewicza nie na tym polegają. To jest człowiek zdolny i uporządkowany.

Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz poznali się w latach 70., gdy Macierewicz był jednym z liderów KOR

W tej samej książce Kaczyński mówi także o swoich późniejszych relacjach z Macierewiczem. Nazywa je koleżeńskimi, ale nie przyjacielskimi. – On sprawiał wrażenie człowieka o wyraźnie wodzowskim zacięciu. Nie odnosiłem tego do siebie, ale to było widać. Na pewno ceniłem w nim sprawność redaktorską, oczytanie, inteligencję. Bywałem u niego w domu na Żoliborzu. Do dzisiaj tam mieszka. Początkowo to było takie badanie się, „obwąchiwanie", kontakty były obarczone pewnym dystansem. Później te kontakty stały się koleżeńskie, choć nie przyjacielskie. Jednak dość szybko zorientowałem się, że to środowisko jest hermetyczne, tworzy krąg wtajemniczonych przyjaciół z młodości i niespecjalnie chce współpracować z osobami z zewnątrz. Zresztą do dzisiaj nie zbudował żadnego trwałego sojuszu, także w LPR, z którą się szybko rozstał – mówił Kaczyński.

WSZYSTKO MOŻLIWE

Jedna z ulubionych anegdot Kaczyńskiego, którą często opowiada swoim współpracownikom, a także dziennikarzom, gdy mikrofony są wyłączone, dotyczy tego, jak Macierewicz w 1980 r. ukrywał się w mieszkaniu na Żoliborzu. Bardzo go ta historia bawi, niektórzy mogliby się pewnie przyczepić, że opowiada ją nieco złośliwie. Znalazła się także w „Alfabecie". – Przychodzę do niego, nie pali się tam światło. Żona Macierewicza, Hanka, wprowadza mnie do łazienki. Antek siedzi w zamkniętej łazience na sedesie. Podekscytowany krzyczy: „Niech mnie rozstrzelają". A żona: „Mogą cię rozstrzelać, na razie siedzisz na klozecie" – opowiadał Kaczyński. Skończyło się tym, że Macierewicza ewakuowano stamtąd w kobiecym przebraniu.

W 2006 r. dziennikarze Piotr Zaremba i Michał Karnowski zapytali Jarosława Kaczyńskiego o to, czy Macierewicz odegra jeszcze w polskiej polityce znaczącą rolę. – Pięć lat temu, na moim 50-leciu, było sporo przyjaciół i znajomych. Jednak kto mógł wtedy sądzić, że odegram jeszcze jakąś polityczną rolę? Powiedzmy szczerze, byłem nieboszczykiem politycznym, mogłem może marzyć o przedłużeniu obecności w Sejmie, ale nikt nie przypuściłby, że wrócę na pierwszy plan. A więc wszystko możliwe – stwierdził wówczas Kaczyński.

Po 11 latach Macierewicz jest w zupełnie innym miejscu, dzięki Kaczyńskiemu wrócił na pierwszy plan. Gdyby podjąć jednak próbę zarysowania jego politycznej przyszłości, odpowiedź, jaka się dziś nasuwa, brzmi tak jak ta udzielona przez Jarosława Kaczyńskiego przed 11 laty: „Wszystko możliwe".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA
NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

MECENAS:

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Państwo przestało być teoretyczne

Z Jarosławem Sellinem, wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego
rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Czy witał pan przewodniczącego Donalda Tuska na Dworcu Centralnym w Warszawie?

JAROSŁAW SELLIN: Nie witałem.

Dlaczego? Jacek Protasiewicz powiedział, że to jak przyjazd Ignacego Paderewskiego do Poznania przed wybuchem powstania. Czyli historyczne wydarzenie pana ominęło.

Tak się składa, że jestem pełnomocnikiem rządu ds. obchodów stulecia niepodległości i tym ostrzej widzę różnicę między znaczeniem politycznym, historycznym i rangą takiej postaci jak Ignacy Jan Paderewski oraz jego umiejętnością rozumienia, czym jest instynkt państwowy, a Donaldem Tuskiem.

Były premier Polski tego instynktu nie ma?

Uważam, że całe jego środowisko polityczne już od lat 80. ma duży problem z deficytem tego instynktu.

Nie obawia się pan jednak, że dziś PiS śmieje się z przemarszu Tuska do prokuratury, ale jutro pojawi się on w wyścigu o fotel prezydenta i poważnie zagrozi Andrzejowi Dudzie?

Na bezrybiu i rak ryba. Przy obecnym kryzysie przywództwa w opozycji, która potrafi licytować się tylko o to, kto jest większym „antypisem", podróż Tuska pendolino z Gdańska do Warszawy może być wydarzeniem epokowym. Proszę zwrócić uwagę na to, że Grzegorz Schetyna i „schetynowcy" byli wielkimi nieobecnymi na Dworcu Centralnym i w tym groteskowym „marszu do prokuratury". To Schetyna, a nie Andrzej Duda, może być jedną z osób najbardziej obawiających się powrotu szefa Rady Europejskiej do polityki krajowej. Nie jestem jednak zaskoczony, że po kompromitacji oraz marginalizacji KOD i Nowoczesnej, a zwłaszcza ich liderów, część wyborców „antypisu" lokuje swoje nadzieje ponownie w Tusku.

Wydaje się pan bagatelizować jego znaczenie, ale to przecież w sporze o europejskie apanaże Tuska rząd chwilowo stępił zęby, zaliczył poważne wizerunkowe potknięcie i zdecydowanie osłabł w sondażach.

Zwracam uwagę na to, że jeszcze nie było żadnego sondażu, w którym Prawo i Sprawiedliwość nie byłoby liderem.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Tyle że nie tak dawno temu procentowo „zjadało" połączone siły opozycji, dzisiaj już różowo nie jest i samodzielne rządy w drugiej kadencji znacznie się oddaliły. Nie mówiąc o możliwości zmiany konstytucji.

Jeśli Platforma zyskała w sondażach, to głównie kosztem Nowoczesnej, a nie ze względu na osłabienie PiS. Oczywiście dystans między nami zmalał, ale pogorszenie wyników po twardej postawie wobec kandydatury Tuska na szefa RE było przez Jarosława Kaczyńskiego prognozowane. Wynika ono być może z niezrozumienia przez pewną część społeczeństwa naszej strategii, ale w dłuższej perspektywie wiele rzeczy się wyjaśni. Kto wie, czy choćby ten wyreżyserowany przyjazd, podczas którego Tusk znowu pozwolił sobie na ostre polityczne komentarze wobec władzy w Polsce, nie udowodnił, że mieliśmy rację, broniąc zasady niepowierzania stanowiska europejskiego człowiekowi zwalczającemu jeden z krajów członkowskich Unii. Przecież nie pozwala sobie na to wobec żadnego innego rządu.

Może wyjaśnienie jest prostsze – nawet pomimo logicznej argumentacji rządu w warstwie komunikacyjnej coś wyraźnie zawiodło.

Jeżeli formułowane są zarzuty o zbyt mało intensywną i skuteczną komunikację, to ja je zawsze przyjmuję z pokorą i jestem w stanie przyznać panu rację.

Pokora to dobra cecha u polityka. Czy idzie za nią jakaś refleksja, jak podobnych sytuacji w przyszłości uniknąć?

Oczywiście staramy się to wszystko analizować i wyciągać wnioski, ale – jak pan wie – zaangażowanie w proces rządzenia jest dosyć skomplikowane i każdy ma swoją agendę. Codziennie każdy z nas podejmuje dziesiątki decyzji. Nie tak łatwo wszystko skoordynować i ujednolicić. Jednak to oczywiście usprawiedliwienie, które nie musi obchodzić was, dziennikarzy, i opinii publicznej. To tylko usprawiedliwiające okoliczności łagodzące, które proszę brać pod uwagę.

Nikt nie mówił, że rządzenie będzie proste. Jednak czy uważa pan, że jakimś przejawem tej „różnicy agend" była sprawa Bartłomieja Misiewicza?

Bez wątpienia. Sprawa Misiewicza – niezależnie od tego, że była sztucznie nakręcana i nie zawsze uczciwie oceniana – wizerunkowo nam szkodziła. Trwała za długo i dobrze, że się już skończyła.

Tylko co ma myśleć przeciętny wyborca, jeśli dzisiaj słyszy z ust członków komisji powołanych do zbadania kariery Misiewicza, że „nie miał on kompetencji do pełnienia funkcji publicznych", ale przez półtora roku kompetencje miał?

Panie redaktorze, ja jestem o tyle w niezręcznej sytuacji, że łatwiej wypowiadać się na ten temat członkom komisji, która sprawę badała i tego młodego człowieka poznała, niż przedstawicielowi rządu, który nigdy go osobiście nie poznał, a w rządzie ma kolegę, który odpowiadał za te decyzje.

Czyli po koleżeńsku pan zamilknie i nie odniesie się do zachowania Antoniego Macierewicza? Przecież to on był tutaj faktycznym decydentem.

Nie chcę tego komentować, bo uważam, że Antoni Macierewicz jest dobrym ministrem i dobrze mi się z nim pracuje. Mamy wspólną agendę w dziedzinie polityki historycznej, razem budujemy w Warszawie dwa ważne muzea: Muzeum Historii Polski i nowe Muzeum Wojska Polskiego.

I nie widzi pan zgrzytu, że polityczne konsekwencje za tę dobrą pracę poniósł nie minister, tylko jego podwładny?

Myślę, że pan Misiewicz wie, iż popełnił błędy. Komisja oceniała jego, a nie ministra.

A czy potrafi pan odpowiedzieć na pytanie, czy szef MON jest „ekscentryczny"?

Już byłem o to pytany i zawsze odpowiadam tak samo. Jarosław Kaczyński, który użył tego sformułowania, wie, co mówi, bo zna Macierewicza od 40 lat. Nie podejmuję się egzegezy tego określenia, bo znam pana ministra znacznie słabiej.

W takim razie jakiego użyłby pan określenia do opisu charakteru ministra obrony narodowej?

Pierwsze, jakie mi się nasuwa na myśl, to: bardzo twardy polityk.

Mówi się zupełnie otwarcie o konflikcie na linii KPRM i Ministerstwo Sprawiedliwości a Ministerstwo Rozwoju. Ustawa „Apteka dla aptekarza" dzieli ministra Morawieckiego z ministrem Radziwiłłem. Chleb powszedni polityki?

Życie byłoby nudne, gdyby wszyscy się ze sobą zgadzali. W skład naszego rządu wchodzą osoby wyraziste, z poglądami, z dorobkiem, czasami o różnych temperamentach i charyzmie. Dynamika konsultacji międzyresortowych przez nich prowadzonych to codzienność polityki i tak być powinno. Ostatecznie skrajne wizje się uśredniają i w większości przypadków podczas głosowania jesteśmy jednomyślni.

Czy w sprawie katastrofy smoleńskiej również widzi pan podobną jednomyślność w wyjaśnianiu przyczyn tej tragedii?

Tragedią jest przede wszystkim fakt, że poprzedni rząd oddał śledztwo i dowody w ręce Rosjan oraz sprawę Smoleńska zaniedbał. Dopuścił do profanacji zwłok, mówiąc rodzinom nieprawdę o obecności polskich patomorfologów podczas sekcji i plombowania trumien. Efekt jest taki, że dziś jeszcze większość społeczeństwa skazana jest na wiarę, co się wydarzyło 10 kwietnia, a nie wiedzę ugruntowaną w faktach. Zaczęliśmy to zmieniać. Państwo w tej sprawie przestało być teoretyczne.

Faktów takich jak granicząca z pewnością teza o wybuchu bomby termobarycznej przy jednoczesnym celowym spowodowaniu katastrofy lotniczej przez rosyjskich kontrolerów lotu?

Jedno drugiego nie wyklucza. Nie jestem ekspertem, cały czas czekam na dalsze ustalenia komisji, ale już wcześniej wydawało mi się zgodne ze zdrowym rozsądkiem wyjaśnienie, że rozpad samolotu na kilkadziesiąt tysięcy szczątków mógł być spowodowany tylko destrukcją już w powietrzu, a nie uderzeniem w ziemię. Kolejnym dowodem jest brak leja w miękkiej, bagnistej ziemi, który musiałby powstać po uderzeniu jednolitego, wielotonowego kadłuba. Szczególnie że podobne maszyny w Rosji też się rozbijały i takiej destrukcji tam nie było. A niezależnie od tego jest udowodnione, że naprowadzanie samolotu odbywało się w cztery osoby, a nie dwie uprawnione, w tym z Moskwy przez telefon.

Sytuacja finansowa mediów publicznych jest fatalna. Czy w tym roku doczekamy się ustawy poprawiającej ściągalność abonamentu?

W Polsce razem z TVP mamy 19 mediów publicznych i wszystkie, tak jak inne w Europie, zasługują na solidne fundamenty finansowe. Wszędzie czymś normalnym jest utrzymywanie tych mediów w 70–90 proc. ze środków publicznych, środki komercyjne (głównie reklamy) to jedynie uzupełnienie. U nas jest dokładnie odwrotnie. Stąd nasza inicjatywa uszczelnienia poboru abonamentu. Mam nadzieję, że w połowie roku wejdzie w życie i będziemy mogli mówić o powrocie do europejskiej normalności w tej dziedzinie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

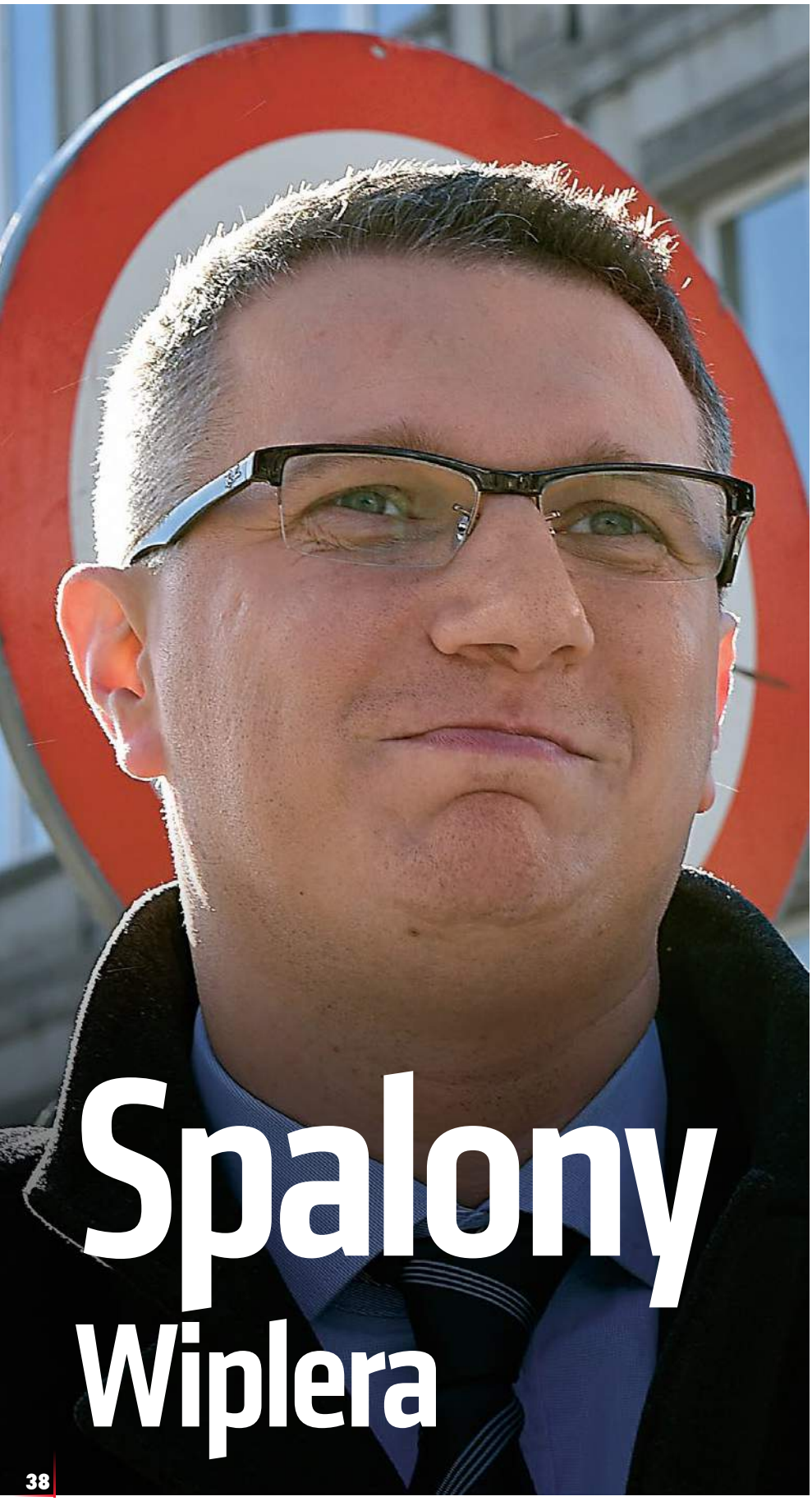

Spalony Wiplera

Agnieszka Niewińska

Przemysław Wipler w pierwszej politycznej lidze zagrał krótko. Nadzieja prawicy kończy karierę po oskarżeniach, że zdefraudował pieniądze fundacji, którą kierował

Weekend w spa w Jastarni za 2,8 tys. zł, ciuchy z ekskluzywnych sklepów warte 6,7 tys. zł, blisko 4,5 tys. zł na sushi, a 3,5 tys. wydane na wino w pobliskim sklepie, 2,8 tys. zł na iPhone'a i 8 tys. zł na przejazdy taksówkami w stolicy. To według „Faktu" wydatki Przemysława Wiplera, byłego posła, a do niedawna wiceprzewodniczącego partii Wolność. Tuż przed świętami tabloid oskarżył polityka o zdefraudowanie pieniędzy fundacji Wolność i Nadzieja, której był prezesem. Za wyliczone przez gazetę zakupy Wipler miał płacić kartą kredytową fundacji. Sprawę bada prokuratura.

FAKTURY NA WINO

O możliwości popełnienia przez Wiplera przestępstwa śledczych poinformował Łukasz Wróbel, wiceprezes fundacji Wolność i Nadzieja oraz wieloletni współpracownik polityka prawicy. – Coś mnie tknęło i sprawdziłem wyciąg z jego służbowej karty kredytowej. To, co tam zobaczyłem, mną wstrząsnęło. Można było zamieść to pod dywan albo poinformować o tym prokuraturę. Nie mogłem milczeć – mówi „Do Rzeczy" Wróbel. Zeznania w prokuraturze już złożył.

Przemysław Wipler twierdzi, że z pieniędzy fundacji rozliczył się jeszcze przed publikacjami tabloidu, korzystał z nich wyłącznie w celach związanych z jej działalnością, a sprawozdania finansowe fundacji za lata 2014 i 2015 Wróbel podpisał bez zastrzeżeń. – Czuję się winny, bo wcześniej nie sprawdzałem sprawozdań finansowych. Podpisywałem je, bo miałem do Przemka zaufanie. Jestem gotów ponieść tego konsekwencje – odpowiada Łukasz Wróbel.

Wipler wątpi, by sprawa w ogóle trafiła do sądu: – Zdaję sobie sprawę, jak wyglądają zestawienia wydatków, które podał „Fakt", ale nie ma to wiele wspólnego z prawdą. Już po publikacji sprawdzałem to w księgowości. Nie ma żadnego rachun-

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 9c18f8eb3d

ku ze sklepu z winem w pobliżu mojego zamieszkania. Wśród wydatków za ubiegły rok nie ma w ogóle faktury za „zakup wina". Kupowaliśmy je za to w 2015 r., m.in. na wieczór wyborczy czy inne spotkania osób związanych z fundacją, a łączna kwota zakupów wyniosła ok. 2 tys. zł. To wino pił zresztą też Łukasz Wróbel – mówi Wipler.

Dlaczego Wróbel miałby chcieć skompromitować wieloletniego przyjaciela? – Od dłuższego czasu przeszkadzało mu, że jest postrzegany jako „człowiek Wiplera", że ludzie pytają go, co u mnie słychać, co robię – mówi Wipler. Dodaje, że publikacja w „Fakcie" pojawiła się tuż po tym, jak zaproponował zmianę statutu fundacji, powołanie trzyosobowego zarządu bez niego samego i komisji rewizyjnej oraz powołanie pięcioosobowej rady fundacji. Każda z tych osób miała mieć pełny wgląd w dokumentację finansową. – Fundacja nie spełniała od jakiegoś czasu naszych oczekiwań. Chcieliśmy ją przekształcić w think tank, umożliwić statutowo prowadzenie działalności gospodarczej polegającej na pisaniu analiz, ekspertyz, raportów i projektów ustaw na zamówienie partii. W budżecie Wolności na ten rok zapisaliśmy konkretną kwotę na takie działania – tłumaczy.

Od kilku konserwatystów znających i Wiplera, i Wróbla słyszymy jednak, że ten drugi ma dobrą opinię. – O Wiplerze od dawna krążyły plotki, że żyje na wysokim poziomie, choć nikt nie słyszał, żeby miał jakąś intratną posadę – mówi nam jedna z osób znająca środowisko Fundacji Republikańskiej, w której obaj panowie działali. Prosi jednak o zachowanie anonimowości. – Jeśli Łukasz poszedł do prokuratury i do mediów, to znaczy, że ma ku temu powody. Z Wiplerem łączy go kilkunastoletnia przyjaźń, nie pogrzebałby jej w ten sposób – dodaje.

– Jeszcze kilka tygodni temu też uważałem Łukasza Wróbla za osobę godną zaufania – ripostuje Wipler. – Był nie tylko moim wieloletnim przyjacielem, lecz także wręcz domownikiem. Kierował moim biurem poselskim, zostawiałem mu klucze do mojego domu, znał PIN do mojej prywatnej karty płatniczej. Nie mogę pojąć, jak mógł przekazać brukowcowi wyciągi z karty kredytowej fundacji – dodaje.

BUFONADA MIERZONA W „WIPLERACH"

Po publikacji „Faktu" Wipler ogłosił jednak, że odchodzi z polityki. A jeszcze pięć lat temu był jednym z najlepiej zapowiadających się polityków młodego pokolenia. Dobrze oceniały go media, wróżono mu świetlaną przyszłość.

Wipler pochodzi z Piekar Śląskich. Skończył renomowane gdyńskie III LO im. Marynarki Wojennej, a potem prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował w wielkich korporacjach (Deloitte, Ernst & Young). Nie zdecydował się jednak na karierę prawniczą, ciągnęło go do polityki. Jeszcze w 1997 r. pracował przy kampanii Donalda Tuska w wyborach do Senatu, był działaczem UPR i rzecznikiem tej partii, potem związał się z PiS. Fundacja Republikańska, której był prezesem, stała się think tankiem dla partii Kaczyńskiego. Notowania Wiplera w PiS rosły. Pracował w Ministerstwie Gospodarki, zasiadał w zarządach kilku spółek Skarbu Państwa. W wyborach nie miał jednak powodzenia. Nie został warszawskim radnym w 2002 r. ani posłem w 2005 r.

W 1997 r. Sławomir Nowak podarował Wiplerowi książkę. Zadedykował ją: „Przyszłemu premierowi, przyszły prezydent"

Udało się dopiero w 2011 r. I wtedy jako poseł PiS zyskał medialną popularność. Pisano o jego wolnościowych poglądach na gospodarkę i o tym, że to on zaczął kreować propozycje gospodarcze PiS. Wielu dawnych kolegów partyjnych mówi, że to wtedy młodemu posłowi uderzyła do głowy woda sodowa. Nie przetarł się w samorządzie, nie nabrał pokory. Nosa jednak zadzierał ponoć dużo wcześniej. – Po raz pierwszy spotkałem go kilkanaście lat temu – opowiada nam konserwatywny warszawski przedsiębiorca. – Zaprosił mnie na spotkanie zapoznawcze, ale miałem wrażenie, że to jest raczej przesłuchanie. „Ale bufon" – pomyślałem, wychodząc. Od tamtej pory poziom bufonady mierzę w „wiplerach" – dodaje.

W 2013 r. Wipler porzucił PiS i zdecydował się na budowę własnego stronnictwa. Założył stowarzyszenie Republikanie i chciał je przekształcić w partię. Plan może by się powiódł, gdyby nie nocny wypad do warszawskiego klubu Enklawa. Zakończył się on głośną aferą – Wipler pokazał się pobity i oskarżył o napaść policjantów. Media obiegły zdjęcia z monitoringu, na którym widać idącego chwiejnym krokiem parlamentarzystę zaczepiającego policjantów interweniujących na ulicy, a potem okładanego pałką. Sieć zalały memy z Wiplerem, a „Super Express" donosił o zeznaniach policjantki w procesie Wiplera: „Nie połamałam pałki na pośle!". Ostatecznie polityk został skazany na sześć miesięcy w zawieszeniu za naruszenie nietykalności cielesnej i znieważanie policjantów.

Po tej historii Wiplerowi trudno było odbudować wizerunek. Jego stowarzyszenie flirtowało a to z Polską Razem, a to częściowo z kolejnymi partiami Janusza Korwin-Mikkego (KNP, KORWiN, potem Wolność). W ostatnich wyborach KORWiN nie wszedł do parlamentu i Wipler został bez poselskiego mandatu, za to z funkcją wiceszefa partii. Teraz się z nią pożegnał. Mówi, że już od kilku miesięcy nosił się z zamiarem odejścia z polityki. – O moich planach wiedzieli zarówno Janusz Korwin-Mikke, jak i wiele osób z władz partii. Kilka tygodni temu zrezygnowałem z ponownego kandydowania na szefa okręgu warszawskiego – tłumaczy.

Twierdzi, że działalność polityczna zabierała mu za dużo czasu. – W działalności publicznej popełniłem wiele błędów. Od 2010 r. prowadziłem bardzo intensywne życie publiczne i byłem wielokrotnie mocno atakowany. W polityce tak bywa, że winnym udaje się uniknąć konsekwencji swoich czynów, ale też i tak, że karę ponosi się za to, czego się nie zrobiło. Są jednak ważniejsze rzeczy w życiu niż polityka – przekonuje dziś.

Doktor Paweł Banasiak, prezes okręgu warszawskiego partii Wolność, żałuje, że Przemysław Wipler zadeklarował odejście z polityki, ale uważa, że to „akt cywilnej odwagi". – W momencie, kiedy ma się na głowie prokuraturę, pozostanie w partii nie byłoby wizerunkowo dobre, bo oskarżenia pod jego adresem byłyby kojarzone z partią Wolność. Nie wiem, czy w fundacji dochodziło do nieprawidłowości, ale jeśli sprawa się wyjaśni dla niego pozytywnie, to myślę, że będzie mógł wrócić. Mało który polityk przestrzega takich standardów, aby w podobnej sytuacji wycofać się z życia publicznego – mówi. I dodaje, że uważa Wiplera za dobrego polityka.

Kiedy w 1997 r. Donald Tusk został senatorem, były już polityk PO Sławomir Nowak sprezentował biorącemu udział w kampanii Wiplerowi książkę, dedykując ją: „Przyszłemu premierowi, przyszły prezydent". Obaj mocno przelicytowali.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Internetowa rewolucja

Maria Szurowska

Jeszcze kilka lat temu sieć światłowodowa obejmowała w Polsce zaledwie mały odsetek gospodarstw domowych. Dzisiaj mamy już się czym pochwalić. Firmy telekomunikacyjne wyznaczyły sobie też ambitne cele

FOT. FOTOLIA

Codziennie ściągamy i przesyłamy terabajty danych. Filmy w jakości 4K, seriale full HD, gry mające po kilkadziesiąt gigabajtów – temu każdego dnia w przeciętnym domu musi sprostać łącze internetowe. Biznes pod tym względem jest jeszcze bardziej wymagający. Rozwój telemedycyny, Internetu rzeczy, automatyzacji wytwórstwa i transportu determinuje źródło ultraszybkiego i absolutnie niezawodnego połączenia z Internetem. Oznacza to, że jakość infrastruktury telekomunikacyjnej jest podstawowym warunkiem do dalszego rozwoju gospodarczego na danym terenie.

Prędkość światła w próżni jest najwyższą, jaką zarejestrowano. Jednak wykorzystanie w tym celu cienkiego włókna szklanego – światłowodu – zapewnia wiele dodatkowych możliwości. Dzięki temu można przesłać pomiędzy dwoma bardzo odległymi punktami olbrzymie ilości danych. Przykładowo: w czasie testów przeprowadzonych w sierpniu ubiegłego roku w ramach sieci szkieletowej Orange Polska udało się przesłać jednym włóknem światłowodowym dane zawarte na kliku płytach Blu-ray w ciągu sekundy na odległość ponad 800 km – transfer wyniósł 1,5 Tb/s. Obecnie stoimy przed wyzwaniem rozwinięcia infrastruktury światłowodów tak, aby stała się standardowym medium, do jakiego podłączone są działka, dom, mieszkanie czy siedziba przedsiębiorstwa.

FOT. ORANGE

APETYT ROŚNIE...

Zapotrzebowanie na coraz szybszy transfer danych w domach kojarzy się z rozrywką. Rzeczywiście – filmy, seriale, muzyka i gry to ogromne branże. Prawdziwym wyzwaniem dla technologii transmisji danych jest coraz popularniejszy streaming, czyli korzystanie z pochodzących z sieci produktów, takich jak muzyka, filmy, czy gry w czasie rzeczywistym. W zeszłym roku w Stanach Zjednoczonych przychody branży muzycznej z abonamentów na serwisach streamingowych po raz pierwszy w historii przekroczyły te generowane ze sprzedaży plików MP3 czy muzyki na tradycyjnych nośnikach.

Na samej rozrywce nie kończy się zmiana przyzwyczajeń konsumentów, która wymaga nowoczesnej infrastruktury transmisji danych. Zainteresowanie inteligentnymi rozwiązaniami dla domów, takimi jak elektroniczne zarządzanie zużyciem prądu czy też sterowanie systemami bezpieczeństwa przy pomocy urządzeń mobilnych, jest dopiero w fazie wschodzącej. Wartość takich usług w zeszłym roku w Polsce szacowano na 100 mln zł. Pracownicy firm dostarczających te rozwiązania wskazują, że jeśli powtórzy się dynamika wzrostu zainteresowania obserwowana przed kilkoma laty na Zachodzie, to za pięć lat rynek będzie wart ok. sześć–siedem razy tyle. To wielokrotnie przekroczy możliwości przepustowości Internetu, będącą standardem jeszcze kilka lat temu.

20 Mbps

TYLE WYNOSIŁA MAKS. PRZEPUSTOWOŚĆ INTERNETU KOMERCYJNIE OFEROWANA W 2011 R.

600 Mbps

TYLE WYNOSIŁA MAKS. PRZEPUSTOWOŚĆ INTERNETU KOMERCYJNIE OFEROWANA W 2015 R.

Obok gospodarstw domowych zwiększą się też potrzeby firm. W dobie tzw. IV Rewolucji Przemysłowej, której podstawą jest cyfryzacja i automatyzacja procesów wytwórczych, bez możliwości przesyłania ogromnej ilości danych w czasie rzeczywistym, nie można mówić o rozwoju przemysłu. Usprawniana i mająca perspektywę komercjalizacji technologia autonomicznych samochodów – pojazdów, które jeżdżą po drogach bez udziału kierowcy – czy zabiegów medycznych przeprowadzanych na odległość nie obejdą się bez połączenia z Internetem w najwyższym standardzie.

Potrzeba coraz sprawniejszych sposobów transferowania danych narasta od kilku lat. Z ostatniego raportu Federalnej Komisji Łączności – amerykańskiego regulatora rynku komunikacyjnego – wynika, że w Stanach Zjednoczonych od 2011 r. oferowane przez najważniejsze firmy, dostarczające na tamtym rynku połączenie z Internetem, prędkości wzrosły z 11–20 Mbps do 100–300 Mbps. Tak ogromny wzrost możliwości transferowych stał się rzeczywistością właśnie m.in. dzięki upowszechnieniu światłowodów.

... I JEST ZASPAKAJANY...

Jeszcze w 2013 r. polska prasa rozpisywała się o wyjątkowo ubogim stanie infrastruktury światłowodowej w naszym kraju. W tamtym czasie zaledwie 0,5 proc. gospodarstw domowych miało dostęp do sieci światłowodowej. Od

eprasa.pl 9c18f8eb3d

tego czasu zmieniło się wszystko. Raport Urzędu Komunikacji Elektronicznej (UKE) z 2014 r. wskazuje, że w porównaniu rok do roku infrastruktura światłowodowa zwiększyła się o 15 proc. Dane UKE za 2015 r. są jeszcze korzystniejsze – 30-procentowy wzrost względem roku poprzedniego.

A to jeszcze nie koniec. Firma Orange Polska, która doprowadziła światłowody do 1,5 mln mieszkań i domów w 37 miastach w naszym kraju, na kolejne lata zapowiedziała dalszą intensywną rozbudowę infrastruktury. Pod koniec 2018 r. dostęp do światłowodów ma mieć 3,5 mln gospodarstw domowych, co oznacza, że do najwyższego standardu szybkości będzie mieć dostęp co czwarte gospodarstwo domowe w naszym kraju. To ogromna inwestycja. Orange planuje przeznaczyć na ten cel do 2,2 mld zł. To największe w historii firmy przedsięwzięcie związane z infrastrukturą pod dostarczenie szybkiego Internetu.

Czy to intratny biznes? Liczby mówią same za siebie – pod koniec zeszłego roku z ultraszybkiego Internetu korzystało 88 tys. klientów. W tym momencie jest ich ponad 100 tys. Firma ma ambicje, by w 2017 r. podwoić wynik z ubiegłego roku.

Przedstawiciele Orange podkreślają, że dbając o rozwój sieci światłowodów, nie zapominają o sieci mobilnej. Poza ciągłym rozszerzaniem zasięgu sieci 4G firma rozwija infrastrukturę w najbardziej wymagających tego miejscach, a w swoich laboratoriach testuje nowe rozwiązania. W zeszłym roku np. pobito rekord prędkości transferu danych w standardzie 4G, osiągając 1,91 Gbps.

FOT. ORANGE

Jean-François Fallacher prezes Orange Polska

– Zapotrzebowanie na przesył danych rośnie w zawrotnym tempie. Filmy VoD on-line to już nie są nowinki, tylko rzeczy, z których chcemy korzystać, nie zastanawiając się nad kwestiami technologicznymi. Inwestujemy w sieć, by zapewnić klientom najlepsze na rynku rozwiązania. Superszybki światłowodowy Internet w połączeniu z mobilnym Internetem 4G są w stanie sprostać oczekiwaniom użytkowników. Światłowód to technologia przyszłości – pozwala nam dziś oferować Internet o prędkości do 600 Mb/s, a za kilka lat prędkości liczone w gigabitach.

... I TO NIE TYLKO KOMERCYJNIE

Dalszy rozwój infrastruktury przez Orange nie ogranicza się do samych gospodarstw domowych i przedsiębiorstw. W porozumieniu z Ministerstwem Cyfryzacji Telekom zobowiązał się do przyłączenia 4,5 tys. szkół do sieci światłowodowej. Na koniec 2019 r. placówki mają mieć dostęp do Internetu o minimalnej prędkości 100 Mbps. To jeden z elementów Ogólnopolskiej Sieci Edukacyjnej (OSE) – projektu, którego celem jest połączenie wszystkich szkół – ok. 30,5 tys. – w Polsce z szerokopasmowym Internetem. Przy tym projekcie podmioty komercyjne, jakim jest m.in. Orange Polska, zobowiązują się do przyłączenia szkół do odpowiedniej infrastruktury z własnych zasobów, a także utrzymanie jej w dobrej kondycji, gwarantując dostęp do Internetu o przepustowości min. 100 Mbps oraz wsparcie placówek w procesach edukacyjnych związanych z wypracowywaniem umiejętności cyfrowych.

– Dzisiaj mamy przyjemność razem z Orange Polska podpisać porozumienie na podłączenie 4,5 tys. szkół do bardzo szybkiego Internetu – mówiła w marcu, podczas uroczystości podpisania porozumienia dotyczącego projektu OSE, Anna Strzeżyńska, minister cyfryzacji. – To olbrzymia część z 5,8 tys. szkół, które łącznie podłączą operatorzy z własnych środków, bez wsparcia państwowego. Dziękuję Orange Polska za podjęcie tego wysiłku, który w konsekwencji umożliwi cywilizacyjny rozwój kraju – powiedziała.

Inwestycje w infrastrukturę superszybkiego Internetu zaprocentują nie tylko w sferze potrzeb gospodarstw domowych czy umożliwienia rozwoju przemysłu w sposób korespondujący ze współczesnymi standardami. To inwestycja w przyszłość. Umożliwiając dzieciom od najmłodszych lat obcowanie ze współczesną technologią oraz dostarczając im wiedzy, w jaki sposób robić to rozważnie, twórczo i bezpiecznie, możemy być pewni, że będą potrafiły w sposób świadomy oraz umiejętny budować przyszłość. IV Rewolucja Przemysłowa nie będzie nam straszna.

FOT. ORANGE

Materiał przygotowany przy współpracy z Orange

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Problemem jest polski nacjonalizm

Z Piotrem Tymą, prezesem Związku Ukraińców w Polsce
rozmawia Maciej Pieczyński

FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jakiś czas temu szeroko komentowany był fakt, że w bibliotece szkoły z językiem ukraińskim w Bartoszycach znalazła się książka dla dzieci pt. „Bandera i ja". Czy to nie przesada, by w Polsce dzieci uczyły się o Banderze jak o bohaterze?

PIOTR TYMA: Po pierwsze, nie znam tej książki, więc trudno mi ją oceniać. Po drugie, sprawa została wyjaśniona – była reakcja kuratorium, które uznało, że to się nie mieści w normie. Wyciągnięto wnioski. Nie rozumiem problemu.

W ramach projektu Polska Lab powstał filmik, w którym ukraińskie dzieci opowiadają pełne emocji historie o tym, jak to Polacy prześladują Ukraińców. Kiedy natomiast polskie środowiska kresowe dobitnie mówią o Wołyniu, uważa pan to za manipulację. Emocje emocjom nierówne?

To nie są porównywalne rzeczy. Projekt Polska Lab jest realizowany przez organizację, która z kwestią ukraińską zetknęła się po raz pierwszy. Projekt był adresowany do uczniów z Przemyśla. Uczestnikami mieli być uczniowie bez względu na pochodzenie. To, że skorzystali w większości uczniowie przemyskich szkół pochodzenia ukraińskiego i tylko jeden Polak, dowodzi, że to nie mniejszość, ale większość ma problem z otwartością na współpracę. Pan oraz autor napastliwego tekstu w portalu Kresy.pl szukali klucza tam, gdzie go nie ma. Tak samo ks. Isakowicz-Zaleski, który w komentarzu od razu wytoczył ciężką artylerię. Ja bym sugerował, żeby ks. Isakowicz-Zaleski np. spojrzał w oczy

eprasa.pl 9c18f8eb3d

10-latkowi, autorowi jednego z filmików, spróbował zrozumieć jego strach. Ten strach to nie „antypolska ideologia", ale rezultat tego, że dzieciak, uczestnicząc w procesji religijnej, musiał oglądać kiboli, którzy wrzeszczeli do niego: „Znajdzie się kij na banderowski ryj", kazali mu wyp…ć z Polski. Przykrywanie takich zachowań płaszczykiem patriotyzmu i mówienie, że tu chodzi o co innego niż zwyczajna bandyterka czy zoologiczny antyukrainizm, jest nieporozumieniem.

To może Ukraińcy kultywujący tradycję OUN-UPA powinni spojrzeć w oczy potomkom Kresowian pomordowanych na Wołyniu.

To inna historia. Znam wielu Kresowian, którzy stracili na Wołyniu bliskich, oni zupełnie inaczej to artykułują niż przywoływane przez pana osoby.

Są jednak i tacy, którzy gorzej radzą sobie z traumą. Odbiera im pan prawo do osądzania?

W takiej sytuacji warto może też dostrzec, gdzie kończą się emocje, trauma, a zaczynają ideologia i manipulacja.

Ocenia pan przedstawicieli ruchu kresowego. Oni jednak reprezentują potomków ofiar…

Oni reprezentują przede wszystkim siebie. Kresowianie są różni, nie wszyscy agresywni i manichejscy. Jeżeli ktoś miał przodka na Kresach, to nie oznacza od razu, że jest aniołem bez skazy, autorytetem w każdej dziedzinie – Ukrainy, geopolityki, historii XX wieku. Kilka lat temu pewien polityk w rozmowie powoływał się na swoją babcię Ukrainkę, mówił, jak wiele chce zrobić dla Ukrainy. Po jakimś czasie radykalnie zmienił front, by stać się orędownikiem antyukraińskiej narracji. To kiedy jego emocje były autentyczne?

Krytykuje pan Siemaszków, a co pan powie o świadkach zbrodni, których historie zebrali Siemaszkowie? Ich przeżycia nazwie pan zmanipulowanymi?

Nikogo nie krytykuję en bloc. Jeżeli ktoś przeżył stratę, to ma prawo do pamięci, traumy. Z tym nie może być polemiki. Pytanie brzmi inaczej: Jacy ludzie zdominowali w Polsce mówienie o polskich ofiarach na Kresach? Od lat 80. uczestniczę w wydarzeniach związanych z dialogiem polsko-ukraińskim, słyszałem wiele relacji ludzi, którzy ucierpieli z rąk ukraińskich. Modele zachowań są różne, agresywny sposób wykorzystywania tych wspomnień nijak ma się do oddanych w filmiku Polska Lab przeżyć ukraińskich dzieci z Przemyśla. Te filmiki pokazały istniejący w nas, w konkretnym miejscu i czasie, problem, jakim jest polski nacjonalizm…

A ukraiński nacjonalizm?

To jest realny problem, ale nie da się też ukryć, że na różne sposoby przerysowywany. W czasach PRL w części polskich mediów nawet w latach 90. każdy przejaw ukraińskiej aktywności w sferze odrodzenia historycznej tradycji, własnej tożsamości był często traktowany jako przejaw nacjonalizmu. W spojrzeniu na ukraińską historię jest za dużo emocji. Czasami wręcz obsesji.

A obsesją nie jest przypisywanie filmowi „Wołyń" ideologicznego przesłania?

Przecież ten film ma ukryte ideologiczne przesłanie. Jeżeli w wielu scenach mamy skumulowane emocje, przez kadry naturalistycznego okrucieństwa Ukraińców rozpisaną dramaturgię, w taki sposób, że widz nie ma szansy przed tym uciec, a jednocześnie podrzuca się subtelne aluzje, to jak to inaczej nazwać? Burzenie cerkwi w 1938 r., zdarzenie, które odbiło się echem w całym świecie, jest przedstawione za pomocą sceny z ekspozycją fotografii, skwitowane narzekaniami przy kieliszku. Sądzi pan, że brakowało w tym czasie dramaturgii? A może dla ukazania ukraińskich emocji reżyser mógł zobrazować scenę, gdy żołnierze KOP karabinami przymuszają prawosławnych Wołynian do przyjęcia komunii św. i przejścia na katolicyzm? Takie wydarzenia są udokumentowane, ale takiej dramaturgii w drugą stronę w filmie nie ma. I to był świadomy wybór reżysera.

Konsultantem filmu był Grzegorz Motyka, którego ideologiem pan nie nazwie…

Przy tej produkcji pojawiali się różni konsultanci. Pytanie, na ile reżyser uległ presji konkretnych środowisk…

Sam pan przyznał, że na Wołyniu było więcej ofiar po stronie Polaków. Smarzowski pokazał tę symetrię. Tymczasem w filmiku Polska Lab przedstawione jest zło po jednej stronie, i to w chwytającej za serce formie, bo oto w rezultacie deportacji „chłopiec musiał się pożegnać ze swoim niebem". Taka narracja sugeruje, że w Przemyślu dochodzi do jakichś pogromów Ukraińców, a to bzdura.

Strzela pan z armaty do wróbla. Rozmawiamy o kilku trzyminutowych filmikach, które są projekcją wyobrażeń młodych ludzi o ich małym świecie…

W którym świat jest czarno-biały, a Polacy źli.

Polak jest współautorem jednego filmiku, konsultantami byli reżyserzy Polacy. To opowieść o konkretnym miejscu i czasie. W Przemyślu w 2016 r. miało miejsce kilka spektakularnych sytuacji. W biały dzień zaatakowano religijną procesję, sprofanowano ustanowione przez ROPWiM groby na Ukraińskim Cmentarzu Wojennym, kilkakrotnie przebijano opony w samochodach Ukraińców, w czasie publicznego przedsięwzięcia zabrzmiało zawołanie „Śmierć Ukraińcom". Do tego w Internecie znaleźć można wpisy z nazwiskami konkretnych Ukraińców ze wskazaniem: „Spalić" lub „Znaleźć i zlikwidować", a pan mówi, że nic się nie dzieje. Ma ktoś zginąć, żeby pan przyznał, że coś się złego stało? Te filmiki sygnalizują problem…

Kadr z filmiku powstałego w ramach projektu Polska Lab, w którym ukraińskie dzieci opowiadają historie o tym, jak Polacy prześladują Ukraińców

eprasa.pl 9c18f8eb3d

To samo można powiedzieć o antypolskich zdarzeniach na Ukrainie. Tyle że tam już prawie ktoś zginął od granatnika...

Według takiego schematu możemy rozmawiać o wszystkim i o niczym... Filmiki, o których rozmawiamy, nie odnoszą się do całości relacji polsko-ukraińskich, są projekcją spojrzenia konkretnych dzieciaków z Przemyśla, one nikogo nie zapewniają, jak Smarzowski, że budują swoim filmem most porozumienia między Polakami a Ukraińcami. To jest odzwierciedlenie konkretnej sytuacji. Jeśli ktoś chce polemizować, to niech jedzie do Przemyśla i przekona się na miejscu.

Działacz narodowy z Przemyśla, Mirosław Majkowski, mówi, że narracja o antyukraińskich nastrojach to prowokacja, która służy Moskwie. W gruncie rzeczy mówi to samo co Ukraińcy, którzy antypolskie incydenty na Ukrainie przypisują działaniu rosyjskich prowokatorów. Pan nie widzi analogii?

Analogie widzę od samego początku: od czasu aneksji Krymu narastają antyukraińskie działania w Polsce i antypolskie na Ukrainie…

To może niech pan postawi znak równości i osądzi Rosję zamiast polskich narodowców.

Istnieją różni narodowcy. Pan Majkowski różne rzeczy opowiada i współpracuje z ludźmi, którzy uważają, że w interesie Polski leży współpraca z Rosją i… zbudowanie muru na granicy z Ukrainą. Po 10 grudnia i marszu twierdził, że okrzyk „Śmierć Ukraińcom" to antypolska prowokacja związku. Teraz, gdy wiadomo, że taki okrzyk w trakcie współorganizowanego przez niego przedsięwzięcia padł, twierdzi co innego. Poza tym nie ma dowodów na to, że to była rosyjska prowokacja… Jakieś dowody na to są? Nie ma!

Tak samo jak nie ma dowodów na to, że antypolskie incydenty na Ukrainie są inicjowane przez rosyjskie służby, a nie przez ukraińskich nacjonalistów.

Trzymajmy się tego, co jesteśmy w stanie udowodnić. Procesję greckokatolicką 26 czerwca br. zaatakowali nie kosmici, ale konkretni ludzie, związani z konkretnymi organizacjami, ktoś wcześniej ich przygotował, „podgrzewał" atmosferę, zorganizował przyjazd ludzi spoza Przemyśla.

Dziwi się pan, że Polacy nerwowo reagują na barwy UPA?

Na procesji czerwono-czarna flaga była kilka lat temu. W tym roku to chłopcy z Młodzieży Wszechpolskiej przynieśli taką flagę i próbowali ją rozwinąć, stojąc koło uczestników procesji. Są nagrania wideo. Jeden z aktywistów nawet się tym chwalił w prasie. Jak pan myśli, z jakiego powodu oni tę flagę przynieśli na ukraińską procesję? Poza tym, wbrew głoszonym publicznie bzdurom, w trakcie procesji orkiestra nie grała „hymnu UPA" chociażby z tego powodu, że takowy nie istnieje. Jak widać, mamy do czynienia z działaniami, które zasługują na miano antyukraińskich i antypolskich prowokacji. Tylko że jakoś dotychczas nikt narodowcom atakującym procesję nie zadał pytania: W czyim interesie to zrobili?

Zakładam, że nie odpowiedzieliby: „W interesie Rosji", tylko że nie chcą propagandy banderyzmu w Polsce.

Emocje ulicy nie powinny decydować. Pytanie o konsekwencje takich incydentów powinno się zadać raczej ludziom, którzy potrafią realnie i na chłodno ocenić, czy straszenie banderowcami, którzy zaraz „zabiorą nam Przemyśl", jest dla Polski dobre, czy złe.

A może nie warto straszyć antyukraińskimi nastrojami, skoro na ponad milion napływowych Ukraińców plus mniejszość ukraińska skala incydentów jest jednak bardzo mała?

Statystyki, na które powołują się niektórzy notable, są często niewiarygodne, np. prokuratura nie wszczyna postępowań w sprawach tzw. przestępstw ściganych z urzędu. Jeżeli nikt inny ich nie zgłosi, to w statystyce ich nie ma…

Czyli nie ma dowodów.

W normalnym kraju takie sytuacje, jak nawoływanie do zabicia czy znieważanie, nie są ignorowane. Natomiast po ataku w Przemyślu poseł na Sejm RP nie widział problemu, bo przecież zatrzymano sprawców… No dobrze, a co z ich mocodawcami, co z resztą zdarzeń?

To analogicznie państwo ukraińskie już w ogóle nie działa, skoro tam nawet sprawców nie ujęto.

Żaden z moich dziadków, rodziców nie był obywatelem Ukrainy, dlatego patrzenie na Ukraińca z Polski z perspektywy Ukrainy to totalne nadużycie. Ukraińska mniejszość to autochtoni z konkretnego regionu kraju, którzy mają takie samo jak inni Polacy prawo do własnej pamięci i do własnego punktu widzenia na sprawy polskie.

Artykuł na łamach DoRzeczy.pl nazwał pan „pałkarstwem" za określenie filmiku Polska Lab mianem „propagandowego", a jak pan oceni rzetelność dziennikarską „Naszego Słowa"? Na łamach pisma Bogdan Huk nazwał Przemyśl „brunatnym miastem", a jego mieszkańców „faszystami"...

A widział pan, w jaki sposób odbywał się Marsz Orląt Przemyskich i Lwowskich? Gdy na Ukrainie maszerują kolumny z pochodniami, ocenia się to jednoznacznie… A okrzyki typu: „Od kołyski aż po grób polski Przemyśl, polski Lwów"?

Ze Lwowem to nie na miejscu, ale co jest złego w polskim Przemyślu? Nie zgadza się pan z tym hasłem?

Chodzi o całość – oprawę widowiska, uczestników, hasła.

Czy to uprawnia do mówienia o odradzającym się faszyzmie?

Nie da się ukryć – w pewnych środowiskach on zawsze był. Nie można zamykać oczu.

Mówi pan o marginesie.

Ten margines rozszerza się, bo środowiska z trybun stadionowych narzucają styl pełen różnych form agresji reszcie społeczeństwa. I władze na tę zmianę nie reagują.

Mówienie o odradzaniu się faszyzmu na podstawie bandyckich incydentów to z kolei budowanie antypolskich nastrojów.

Jeżeli zwyczajnych szowinistów, którzy uruchomienie ukraińskiej szkoły w Przemyślu określają ukrainizacją miasta, nazywa się mianem patriotów, to jest to chore.

Skoro Tarasence z Prawego Sektora wymsknęło się jakiś czas temu w wywiadzie, że Przemyśl powinien „wrócić do Ukrainy", to może strach Polaków jest uzasadniony...

A co znaczy na Ukrainie Tarasenko…

28 kwietnia odbędą się obchody rocznicowe akcji „Wisła". Czego można się spodziewać?

Po ataku na procesję można spodziewać się różnych rzeczy, wiele środowisk jest zainteresowanych destabilizacją sytuacji na pograniczu. Uroczystości będą miały charakter otwartej dyskusji o faktach, zjawiskach, będzie próba diagnozy, na ile akcja „Wisła" wpłynęła na społeczność ukraińską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Narodziny narodu

FOT. KATA VERMES/MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Serial „Upadek królestwa" łączy barwną opowieść przygodową z lekcją historii o początkach Anglii. Narodziny państwa polskiego zasługują na podobną opowieść

Ci, którzy śledzą serial „Wikingowie", zaznajomili się z nazwami takimi jak Mercja, Northumbria czy Wessex. Bohaterowie opowieści o Ragnarze Lodbroku i jego synach często odwiedzają Wyspy Brytyjskie – raz, żeby łupić, innym razem, by zawrzeć sojusz z lokalnymi władcami i wytargować ziemię dla swoich osadników. Sympatia widzów jest po stronie wojowników z Północy, to w końcu opowieść o nich i ku ich chwale.

Serial „Upadek królestwa" pokazuje drugą stronę historii. Akcja toczy się pod koniec IX stulecia, w czasach odrobinę późniejszych niż dotychczasowe sezony „Wikingów". Cztery z pięciu angielskich królestw zostały już podbite lub zhołdowane, Duńczycy triumfują. Ostatnim bastionem oporu jest Wessex, rządzony przez Alfreda, który przejdzie do historii z przydomkiem Wielki.

Polski tytuł („Upadek królestwa") jest idiotyczny, bo „The Last Kingdom" w oryginale odnosiło się właśnie do tego, że jest takie miejsce na podbijanej przez pogan ziemi, które wytrwa do końca i stanie się początkiem budowy czegoś zupełnie nowego i – jak się okaże w przyszłości – potężnego. Anglii. Zresztą wśród sloganów reklamujących serial pojawiło się także, najzupełniej słusznie, „England Is Born".

SPOD RĘKI MISTRZA

Scenariusz powstał na podstawie powieści Bernarda Cornwella, mistrza prozy historycznej, który dał światu m.in. cykl książek o Sharpie, brytyjskim żołnierzu awanturniku ery wojen napoleońskich, oraz znakomite pojedyncze „Pieśń łuków. Azincourt" czy „Waterloo". Cornwell to autor obdarzony zarówno wieloma talentami, jak i darem pracowitości, czego dowodzi, serwując a to trylogię arturiańską, a to cykl o Świętym Graalu. Cykl saksoński (w Polsce znany jako „Wojny wikingów" i wydawany przez IW Erica) zyskał szczególną popularność wśród czytelników. Liczy już 10 tomów, z czego połowę wydano dotąd także nad Wisłą. Pierwszy sezon serialu wyprodukowanego przez BBC2 i BBC America opowiada o wypadkach z dwóch pierwszych tomów serii. Edycja DVD tego sezonu właśnie trafia w Polsce do sprzedaży. Na Zachodzie tymczasem dobiega końca emisja sezonu drugiego, opartego na powieściach numer trzy i cztery.

Główny bohater „The Last Kingdom" zwie się Uhtred i jest synem lokalnego władyki (ealdormana) z Bebbanburga w Northumbrii. Dziecięciem będąc, ujrzał, jak duńscy najeźdźcy podbijają ziemie jego ojca (zabijając ich właściciela) i jak ci, którzy bali się walki z okrutnym wrogiem, woleli poddać się władzy wikingów. Mały Uhtred został przygarnięty przez jednego z duńskich wodzów i wychowany na porządnego poganina (to znaczy świetnie zaprawionego w boju i gardzącego chrześcijańskimi mięczakami oraz ich bogiem).

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Kiedy jego przybrana rodzina zginęła z rąk innego wikinga, dorosły już Uhtred poszukał schronienia na dworze pobożnego króla Alfreda. Poręczył za niego ks. Beocca, który znał go jeszcze z dawnych czasów, to znaczy z Bebbanburga.

Chociaż w recenzjach często przyrównywany do „Gry o tron" serial „Upadek królestwa" jest jednak opowieścią z innej bajki. Owszem, mamy tu manewry ambitnych królów, jarlów i biskupów, ale rzecz jest bardzo mocno osadzona w historii. Nie tylko w jakiejś „ogólnej" historii (czytaj: umownej scenografii średniowiecza), lecz także w bardzo konkretnym momencie historii. Ładnie wyjaśnia to Bernard Cornwell w posłowiu do piątej książki cyklu („Płonące ziemie"): „Wymyśloną przez siebie historię opowiadam w znacznie szerszym kontekście, jakim są początki angielskiej państwowości. Kiedy Uhtred przychodzi na świat, zjednoczona Anglia jeszcze nie istnieje, niemniej król Alfred zaczyna ją budować. A jako że zapoczątkowany przez tego władcę proces miał niebagatelny wpływ na bieg historii, stwierdziłem, że warto, aby Czytelnik znał jego początki. Wydaje mi się aż zadziwiające, że dziś tak mało mówi się o okresie, kiedy powstawała zjednoczona Anglia i formował się naród Anglików".

SMARZOWSKI I PIASTOWIE

Zatem: nie upadek królestwa, lecz narodziny narodu. Ciekawa lekcja, z której warto by skorzystać, zwłaszcza że w Polsce właśnie Wojciech Smarzowski, reżyser „Wołynia" i „Domu złego", zapowiedział, że szykuje serial o pierwszych Piastach. Media od razu okrzyknęły ten projekt „polską odpowiedzią na »Grę o tron« i »Wikingów«". – Na razie pracują szare komórki w mojej głowie i w głowie Wojtka Rzehaka, z którym razem to piszemy – zapowiedział Smarzowski na antenie Radia TOK FM. – Chyba jesteśmy ustawieni na trzy sezony i szukamy pieniędzy, ponieważ to przedsięwzięcie jest karkołomne, bardzo kosztowne, międzynarodowe, z aktorami z całej Europy.

Zdecydowanie wolałbym, żeby polski reżyser wzorował się na „Upadku królestwa" niż na „Grze o tron" czy „Wikingach", serialach niesłychanie nośnych komercyjnie, ale jednocześnie w wielu momentach nieznośnie efekciarskich. O ile ekranizacja sagi George'a R.R. Martina musiała pożeglować w tę stronę, jest to wszak epicka saga fantasy ze smokami i armią nieumarłych, o tyle „Wikingowie" z każdym kolejnym sezonem coraz bardziej odklejają się od rzeczywistości i nie ma takiej prawdy historycznej, której producenci nie decydowaliby się poświęcić dla uzyskania większego „Wow!". „Upadek królestwa", który i tak opowiada dość uproszczoną wersję fabuły powieści Cornwella, pokazuje, że nie trzeba nadmiernie kombinować i uderzać w epickie tony, żeby powstała ciekawa, trzymająca w napięciu opowieść.

Słów kilka o zaletach (i w związku z tym lekcjach dla polskich naśladowców) tej produkcji – kiedy mamy już mocny scenariusz (tu nie było kłopotu, bo Bernard Cornwell to mistrz), staramy się o to, by obsada była bardziej charakterystyczna niż gwiazdorska. Nadmiernie znane twarze nie pozwalają zanurzyć się w świecie przedstawionym – twórcy „Upadku królestwa" zanęcili widza dwoma nazwiskami (Rutger Hauer oraz Matthew MacFadyen, gwiazda serialu „Ripper Street"), ale granych przez nich bohaterów gładko uśmiercili już w pierwszym odcinku. Resztę na barkach niosą mało znany Alexander Dreymon jako Uhtred, ceniony aktor teatralny David Dawson jako król Alfred oraz pracowity (kilkadziesiąt ról w filmie i TV) król drugiego planu, czyli Ian Hart jako ojciec Beocca. Warto podkreślić, że do grania najeźdźców z Północy zatrudniono aktorów skandynawskich, zatem wikingowie mówią w serialu po angielsku z twardszym akcentem niż mieszkańcy saskich królestw.

Boję się, że z piastowskiej sagi Smarzowskiego będzie wynikało, iż wszyscy to takie same bydlęta, tyle że niektórzy bardziej okrutni od innych

Lekcja kolejna – o wielkiej historii najlepiej opowiadać mimochodem. Chociaż w serialu (tak jak i w powieściach) dzieją się rzeczy kluczowe dla przyszłości Anglii, to widzowie przede wszystkim kibicują dobrze skrojonym bohaterom. Uhtred to młodzieniec równie obiecujący i utalentowany, co niemożliwie krnąbrny, zaś napędzają go przede wszystkim chęć zemsty oraz pragnienie odzyskania rodowej siedziby. Króla Alfreda poznajemy jako człeka słabowitego i nadmiernie rozmodlonego – dopiero nadchodzące wydarzenia ukształtują go jako wizjonera i władcę.

Co do wikingów „niektórzy historycy rewizjoniści sugerują, że przybysze ze Skandynawii, wbrew powszechnie przyjętej opinii krwawych najeźdźców, byli przyjaznym, miłym dla saskich sąsiadów i miłującym pokój ludem" – kpił Cornwell, ale „byli zwykłymi łupieżcami, szukającymi niewolnych i srebra, jednak szybko zaczęli pragnąć czegoś więcej: ziemi". Mamy więc jasno zarysowane linie podziału i wyraźne wskazanie, kim są czarne charaktery. Bez tego zaś dobrej rozrywki nie ma. Linię można przekroczyć, a kluczem do znalezienia się po właściwej stronie jest wiara chrześcijańska – w powieściach i serialu pokazano, jak wielką rolę miała w jednoczeniu podzielonych krain oraz przeciąganiu na swoją drogę najeźdźców.

TRADYCJA MA ZNACZENIE

I tutaj mam sporo obaw co do kandydatury Smarzowskiego na kronikarza początków państwa polskiego, bo on akurat lubuje się w panświnizmie. Boję się więc, że z jego piastowskiej sagi będzie wynikało, iż wszyscy to takie same bydlęta, tyle że niektórzy bardziej okrutni od innych, a najbardziej okrutni to oczywiście klechy. Tymczasem „Upadek królestwa" jest nie tylko barwną opowieścią przygodowo-historyczną, lecz także historią pewnej idei. A to, po której jest się stronie, wciąż ma znaczenie.

„Amerykanie hucznie obchodzą 4 lipca, inne nacje szczycą się legendami o swoich początkach, tymczasem Anglicy zdają się nie chcieć pamiętać o bólach porodowych własnego narodu" – tłumaczył przyczyny, dla których zaczął pisać swój cykl saksoński, Bernard Cornwell. Nie wszystkie przyczyny, bo miał także prywatny interes do załatwienia – jego rodzina (ojciec nosił nazwisko Oughtred) wywodzi się wprost od Uhtredów, którzy naprawdę władali kawałkiem Northumbrii. Rodzina zatem ma znaczenie. Tradycja ma znaczenie. Idee mają znaczenie. Skądś przychodzimy i na czyichś ramionach stoimy. Jest jakiś powód, dla którego udało nam się odcisnąć piętno na minionych stuleciach. Niezależnie od tego, kto ostatecznie będzie kręcił „polską odpowiedź na »Grę o tron«", życzę mu, żeby o tym pamiętał. I żeby znalazł czas na przyjrzenie się, jak przyrządzono „Upadek królestwa".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Wojciech Engelking

Zagłada domu Blochów

Dziesięć lat czytelnicy czekali na nową powieść Jonathana Safrana Foera. „Oto jestem" to najważniejsza od ponad 20 lat książka o tym, co to znaczy dzisiaj być Żydem

Tytuł jest z Księgi Rodzaju. W jej 22. rozdziale Bóg wystawia Abrahama na próbę: rozkazuje, by na wzgórzu w krainie Moria poświęcił swojego jedynego syna. Odpowiedź przyszłego patriarchy to właśnie: „Oto jestem", powtórzone trzykrotnie. Za ostatnim razem – kiedy zjawia się anioł, który go powstrzymuje. Abraham dożywa 175 lat i staje się ojcem narodu żydowskiego, a na wzgórzu w krainie Moria – jak chce tradycja – wyrasta Bejt Ha-Mikdasz, Świątynia Jerozolimska.

W najnowszej, rozgrywającej się we współczesnym Waszyngtonie powieści Jonathana Safrana Foera patriarchą nie jest Abraham, ale imiennik jego syna: Isaac Bloch, ocalały z Holokaustu Żyd polskiego pochodzenia. 80-letni starzec umiera, desperacko starając się śmierć powstrzymać, by zdążyć na bar micwę swego prawnuka Sama. W męskiej linii jego rodu znajdziemy także Isaacowego syna, szalonego syjonistę-blogera Irva, i głównego bohatera powieści, syna Irva – Jacoba. To 40-letni scenarzysta HBO i sfrustrowany pisarz, który jedyną książkę opublikował kilkanaście lat temu. Jego żoną, a matką Sama i dwojga innych dzieci jest równie sfrustrowana Julia – architektka, która nigdy w życiu niczego nie zbudowała. Seksualne napięcie między tą dwójką dawno już wygasło; oboje przyznają, że bardziej niż siebie kochają własne dzieci. Aby zdecydowali się na rozwód, trzeba jednak, by w smartfonie męża Julia odkryła SMS-y, które wymieniał z koleżanką z pracy – pikantne i maczystowskie, chociaż Jacob w łóżku jest ofermą.

Brzmi to raczej jak scenariusz krótkiego komediodramatu aniżeli potężnego, ponad 700-stronicowego dzieła? Powinno – początkowo „Oto jestem" nazywało się „All talk" i było pisanym przez Foera serialem dla HBO, na którego reżysera wybrano Bena Stillera. Pisząc scenariusz, Foer przeszedł rozwód i załamanie nerwowe. Pojechał więc do Ziemi Świętej, tam zaś

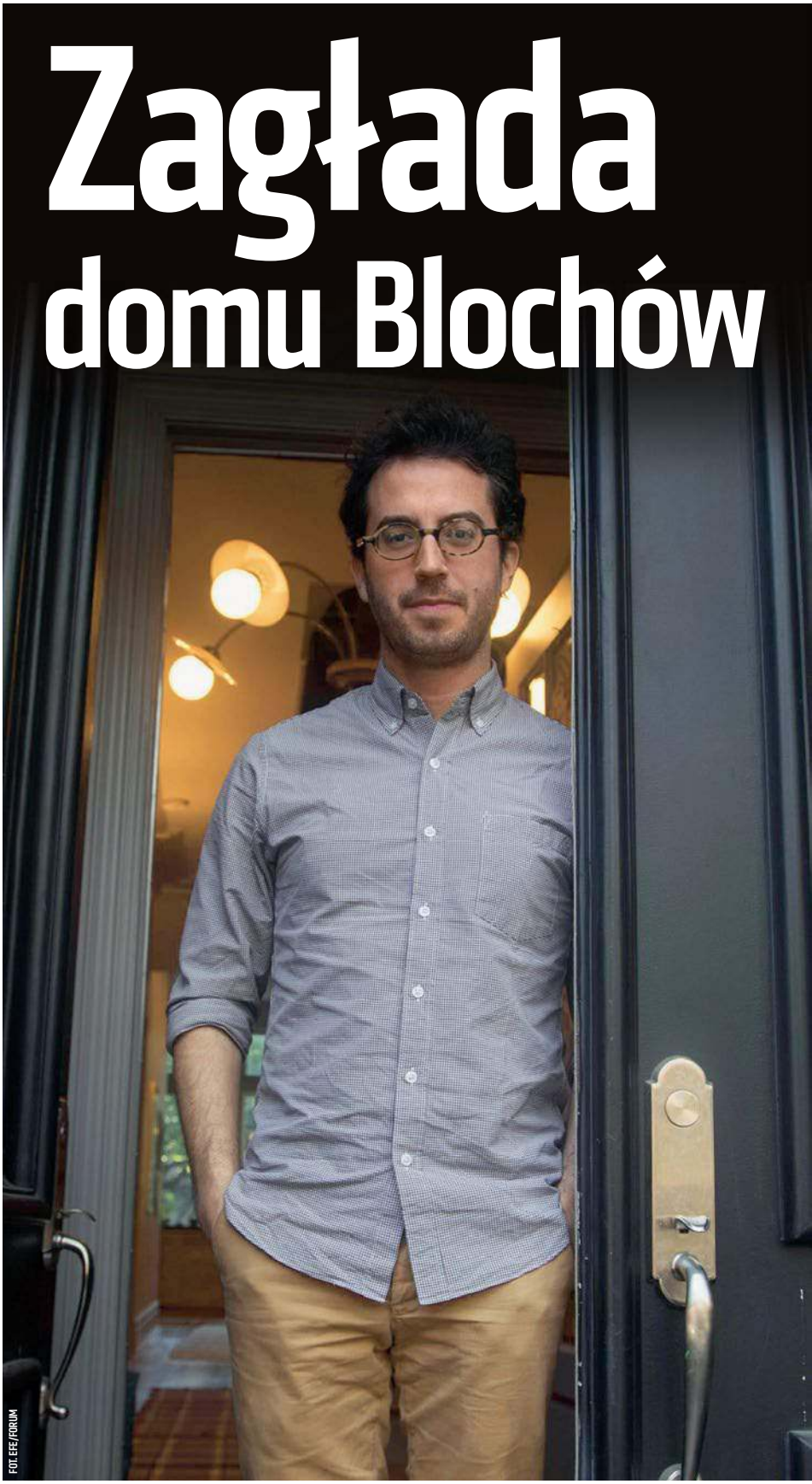

FOT. EFE/FORUM

eprasa.pl 9c18f8eb3d

odwiedził schrony zbudowane na wypadek katastrof naturalnych i tak zjawił się kluczowy element, zmieniający „All talk" w „Oto jestem". Kiedy bar micwa Sama ma już dojść do skutku, a zagłada domu Blochów postępuje – następuje zagłada inna. Oto bowiem Jerozolimę nawiedza wielkie trzęsienie ziemi, które niszczy Ścianę Płaczu i destabilizuje cały region. Prędko wybucha wojna z koalicją państw arabskich, a premier Izraela namawia rozproszonych po świecie Żydów do powrotu do ziemi przodków i wstąpienia do wojska. Traf chce, by w tym samym momencie umarł Isaac, a w Waszyngtonie znaleźli się dalecy krewni rodziny Blochów, przybyli na Samową bar micwę z Izraela właśnie. W ten sposób rozpoczyna się wielka powieść o tym, co to współcześnie znaczy być żyjącym w diasporze, niereligijnym Żydem.

CUDOWNE DZIECKO

40-letni dziś Foer – po wstukaniu tego nazwiska w Google ukazuje się brodaty mężczyzna z szopą ciemnych włosów, który w swoich okrągłych okularach, marynarkach i swetrach przypomina młodszą wersję Woody'ego Allena – nadaje się do jej napisania jak mało kto. Jest potomkiem polskich Żydów z Bielska Podlaskiego; problemowi tożsamości poświęcona była już jego pierwsza powieść – „Wszystko jest iluminacją". Początkowo odrzucona przez wydawców, po publikacji zdobyła listy bestsellerów, a Foer otrzymał za nią nagrodę „Guardiana" dla debiutantów, stając się wunderkindem anglosaskiej literatury. „Wszystko…" opowiada o podróży młodego amerykańskiego pisarza do ziemi jego przodków, dawnego kraju Polin. Równolegle Foer rozwija w niej historię XVIII-wiecznego sztetlu, świadomie ją mitologizując. Przesłanie „Wszystko…" jest jasne: potomkowie ocalałych z Holokaustu i ich dzieci nijak nie mogą dotknąć prawdy o świecie sprzed Szoah, mogą ją sobie tylko wyobrazić. Na wyobrażeniu jednak tożsamości zbudować się nie da.

Powieść została sfilmowana podobnie jak następne dzieło Foera, poświęcone amerykańskiej traumie po 11 września „Strasznie głośno, niesamowicie blisko". Foer tymczasem ożenił się z koleżanką po fachu Nicole Krauss, przeprowadził się do wartego parę milionów domu na Brooklynie i jako powieściopisarz zamilkł. Wydał manifest wegetarianizmu pt. „Zjadanie zwierząt", gdzie żydowskość sprowadził do problematyki uboju rytualnego, publikował na łamach najważniejszych gazet, podpisał paromilionowy kontrakt z nowym wydawcą – jednak wciąż nie dostarczał nowej powieści. W wywiadach wprost twierdzi, że cierpiał na twórczą blokadę, którą zdjęło dopiero zajęcie się problemem żydowskiej tożsamości – nie jednak jej korzeni i ich poszukiwania, ale aktualnej kondycji, rozpiętej między Izraelem a resztą świata.

Ostatnim amerykańskim pisarzem, który dotknął tego tematu, był nie kto inny jak Philip Roth. W wydanej w 1993 r. „Operacji Shylock" bohaterem jest jego sobowtór, prorok nowej drogi dla Żydów – diasporyzmu. Wedle tego Rotha-nie-Rotha jedynym sposobem rozwiązania problemów Państwa Izrael jest ponowne osiedlenie się jego mieszkańców w Europie. Po ponad 20 latach Foer publikuje powieść, której polityczny wydźwięk jest zupełnie inny. Napisał bowiem książkę z jednej strony radykalnie syjonistyczną, z drugiej – opowiadającą o klęsce syjonizmu właśnie.

Roth wydał „Operację Shylock" w tym samym roku, w którym w Oslo Jasir Arafat i Icchak Rabin podpisali pod okiem Billa Clintona porozumienie pokojowe. Wydawało się, że konflikt wreszcie się zakończy. „Oto jestem" Foera ukazało się w Ameryce w zeszłym roku, kilka tygodni przed zwycięstwem Donalda Trumpa, który otwarcie Izrael popiera – jako jedyny światowy przywódca mówi o przeniesieniu ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy.

A jaki jest Izrael w powieści Foera? Reprezentuje go przybyły na bar micwę Sama kuzyn Jacoba Blocha, Tamir, przed którym główny bohater – rozlazły, liberalny intelektualista w kryzysie wieku średniego, którego największym sukcesem jest to, że swego czasu załatwiał się obok Stevena Spielberga – czuje całkiem uprawnioną niższość. „Tamir pił piwo przed Jacobem, palił przed nim zioło, jako pierwszy zaliczył obciąganko. […] W wieku dziewiętnastu lat Tamir tkwił w zakopanym do połowy w ziemi posterunku w Libanie, za grubym na cztery stopy betonem. Jacob mieszkał w akademiku w New Haven". Dzisiaj kuzyn z Tel Awiwu jest rzutkim przedsiębiorcą, który zmienia kobiety jak rękawiczki i któremu trudno zrozumieć rozwodowe wątpliwości krewnego – podobnie jak trudno mu zrozumieć, że Jacob czuje się Amerykaninem, w ostateczności potomkiem Żydów z Galicji, a nie Izraelczykiem, skoro zawsze może zrobić aliję. I, co prawda, kiedy Izrael nawiedzi wielkie trzęsienie ziemi, uda mu się przekonać Jacoba, by ten pojechał z nim do Ziemi Świętej i walczył, bo wrogowie Państwa Żydowskiego jak sępy zbierają się nad jego poranionym ciałem – finalnie jednak Jacob i tak w USA zostanie. Bo dla niego tragedią nie jest zagłada kraju, z którym de facto niewiele go łączy, ale zagłada domu Blochów: rozpad własnego małżeństwa i potrzeba uśpienia wiekowego psa. Tożsamość izraelska, choć o wiele bardziej u Foera pociągająca niźli amerykańska – bo żywa, pełna energii i siły – jest tożsamością, która dla urodzonego w Ameryce Żyda nie będzie tożsamością żydowską. Będzie tożsamością zupełnie nową, z mitycznymi przodkami – Abrahamem, Mojżeszem czy Dawidem – nijak niezwiązaną.

NIE MIEĆ WYBORU

W „Oto jestem" Foer przejmuje od Philipa Rotha pałeczkę krytyka liberalnych amerykańskich Żydów – tak skupionych na problemach związanych z własnym żydostwem, że to się rozmyło, stając się li tylko gadżetem. Tym jest dla czekającego na swoją bar micwę nastoletniego Sama, który większość dnia spędza w Internecie, gdzie gra w grę „Inne życie". Występuje tam pod awatarem młodej Latynoski. Gra polega m.in. na tworzeniu w fikcyjnym świecie nowych budynków – i tak młoda Latynoska/Sam zaczyna budować synagogę, którą niechcący zniszczy Jacob, gdy zacznie się bawić iPadem syna.

Amerykański pisarz rysuje przed amerykańskimi (i szerzej – żyjącymi w diasporze w krajach Zachodu) Żydami alternatywę. Albo będą dalej rozwadniać swoją tożsamość, albo – na modłę syjonistyczną – wybiorą sobie zupełnie nową, nie żydowską, lecz izraelską, która jest silna i której serce bije w Tel Awiwie i w Jerozolimie. A że to tak naprawdę alternatywa żadna – bo oznacza albo pozostanie słabym w diasporze, albo rozpoczęcie swojego życia od nowa? Cóż… I na to jest odpowiedź – jednak nie jest nim Abrahamowe „Oto jestem", w którym wyraża się zawierzenie Bogu. Jest nią porzekadło w jidysz, które dawno temu przywiózł z Polski dziadek Isaac: „Kein briere iz oich a briere". Nie mieć wyboru to też jakiś wybór.

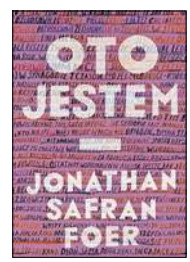

JONATHAN SAFRAN FOER
„OTO JESTEM"
W.A.B.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Co na to powiedzą nasi sąsiedzi?

★★★☆☆☆

REŻ. ASGHAR FARHADI „KLIENT" („FORUSHANDE")
IRAN 2016

wyst. Shahab Hosseini, Taraneh Alidoosti, Babak Karimi

Na złość Trumpowi dać nagrodę Irańczykowi – taka logika, jak się zdaje, rządziła ostatnim rozdaniem Oscarów. „Klienta" trudno bowiem nazwać dziełem wybitnym. I trudno uwierzyć, że nieanglojęzyczna część świata przez cały rok nie wyprodukowała czegoś lepszego. Farhadi jednym strzałem ubił dwa zające. Hollywoodzkie laury – o ironio! – umocniły jego reputację artysty kina. Reżyser zaś, odmawiając przyjazdu do Ameryki, zapunktował u ajatollahów, dzięki czemu następne filmy będzie mógł kręcić w ojczyźnie. Na czym, jak mniemam, bardzo mu zależy.

„Klient" może zrobić wrażenie pod warunkiem, że widz nie zetknął się wcześniej z twórczością irańskiego pieszczocha krytyków. Farhadi jest wierny formule, która przyniosła mu sławę. Asceza plus klaustrofobia – to jego przepis na kino. Sceneria niby egzotyczna, lecz w gruncie rzeczy całkiem swojska. Brzydkie budynki, w których pospołu gnieżdżą się chłoporobotnicy oraz inteligencja pracująca. Między wierszami reżyser przemyca informacje o cenzurze i wszechwładnych urzędnikach. System uwiera, lecz jeszcze bardziej męczy niedoskonałość ludzkiej natury.

Główny bohater, człek na pierwszy rzut oka uczynny i spolegliwy, ma duszę robaczywą. Stać go na tolerancję jedyne w sytuacjach trzeciorzędnych. W krytycznych momentach wyłazi z Emada mściwy belfer, który lubi upokarzać słabszych. I bliskowschodni macho, panicznie bojący się kompromitacji. Trochę go rozumiemy, gdyż zawsze łatwiej jest zmyć krew ze schodów, niż zapomnieć, skąd się wzięła. No i te znaczące spojrzenia sąsiadów…

Farhadi chyba czuł, że się powtarza, skoro sięgnął po dodatkową protezę w postaci dramatu „Śmierć komiwojażera", w którym Emad gra rolę tytułową. Niestety, przekombinował. Owszem, jest trochę śmiechu, gdy aktorka, zamiast w stroju Ewy, gra zapięta po szyję (przy niezmienionym tekście), lecz pomysł, by sztuka przeplatała się z życiem, będąc jednocześnie komentarzem do tego, co dzieje się poza sceną, odbiera fabule wiarygodność. Z minuty na minutę „Klient", wzorcowy produkt kina moralnego niepokoju, flaczeje niczym ponton, z którego uchodzi powietrze.

Być może przyczyny tej porażki tkwią głębiej, niż się wydaje. Pamiętam ze szkoły, że egzotyczne kultury i cywilizacje (np. perska) rozwijały się, dochodziły do pewnego poziomu, po czym następowała dekadencja. Jej objawami były niewolnicze powielanie starych, sprawdzonych rozwiązań, wyrafinowana kaligrafia, zamykanie się w kręgu dozwolonych tematów i mało zrozumiałych dla cudzoziemców obsesji. Być może Farhadi jest bardziej irański, niż się jego wrogom i wielbicielom wydaje? ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WYBAWIENIE"

Trzecie kinowe spotkanie z Departamentem Q (poprzednie to „Kobieta w klatce" i „Zabójcy bażantów"). Cykl powstaje na podstawie kryminalnych powieści Duńczyka Jussiego Adlera-Olsena (trzy powieści, trzy filmy). Historię łowów na psychopatycznego seryjnego mordercę opowiada Norweg Hans Petter Moland, twórca znany u nas m.in. z przepojonego czarnym humorem kryminału „Obywatel roku". ©℗ *Piotr Gociek*

- ***„Wybawienie" („Flaskepost fra P"), reż. Hans Petter Moland, wyst. Nikolaj Lie Kaas, Fares Fares, Pål Sverre Hagen, Norwegia/Niemcy 2016***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Strażnicy Galaktyki vol. 2", reż. James Gunn, USA 2017***
- ***„Szatan kazał tańczyć", reż. Katarzyna Rosłaniec, Polska/Holandia 2016***
- ***„U pana Marsa bez zmian", reż. Dominik Moll, Belgia/Francja 2016***
- ***„Uciekaj!" („Get Out"), reż. Jordan Peele, USA 2017***

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Północ-Południe

Tytuł filmu – „W sieci" – wywołuje sympatyczne skojarzenia, lecz nie dajmy się zwieść pozorom. Kim Ki-duk to twórca o poglądach ostrych jak brzytwa i wyobraźni czarnej jak smoła, bezkompromisowy bardziej niż Smarzowski. Tym razem mistrz z Korei raczył pochylić się nad umęczoną ojczyzną. Rzeczywistość Phenianu wydała się płaska, niedająca pola do popisu prawdziwemu artyście. Skupił się więc na Seulu, który zna z autopsji.

Przewodnikiem po krainie czeboli reżyser uczynił Nama – rybaka z Północy, który przypadkowo przekroczył granicę i marzy jedynie o tym, by wrócić do rodziny. Na widok południowego dobrobytu chłop baranieje. Ma przecież oczy i widzi, że tu też jednostka jest zerem, a wolność szczęścia nie gwarantuje. Służby poddają rybaka ideologicznej obróbce. Gdy staje okoniem, wrabiają go w szpiegostwo (sceny przesłuchań wzbudziłyby uznanie towarzysza Różańskiego). Oczywiście w imię walki z dyktaturą Kimów. W ojczyźnie, przekonanej, że odrzuci „kapitalistyczne pokusy", też nie czeka Nama nic dobrego. Z filmu wynika, że Korea po obu stronach 38. równoleżnika to takie samo piekło. Pozwolę sobie zaprotestować. Na północy ktoś taki jak Kim Ki-duk nie nakręciłby żadnego filmu. ©℗

Wiesław Chełminiak

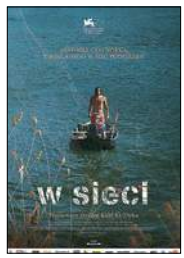

★★★★☆☆

REŻ. KIM KI-DUK
„W SIECI"
KOREA POŁUDNIOWA 2016

wyst. Ryoo Seung-bum, Lee Won-geun, Kim Young-min

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NEWT SCAMANDER, DO USŁUG

Dawno, dawno temu, kiedy na świecie nie było jeszcze Harry'ego Pottera, a Albus Dumbledore był dopiero chłystkiem, po świecie podróżował Newt Scamander, badacz i obrońca czarodziejskich stworzeń (zakochany w nich równie mocno jak Hagrid). Ten sympatyczny wstęp do potterowskiej sagi opowiada o wizycie Scamandra w Nowym Jorku, gdzie nie tylko spotka on ekscentryczny krąg miejscowych czarodziejów i wiedźm, lecz także zmierzy się z niebezpiecznym przeciwnikiem, ukrywającym swoją prawdziwą tożsamość. Filary fabuły są wtórne, ale film jest dobrze opowiedziany i zabawny. Da też wiele frajdy miłośnikom niezwykłości (wnętrze kufra głównego bohatera kryje wiele niespodzianek). Eddie Redmayne w roli głównej wypada bardzo dobrze i już w przyszłym roku powróci w kolejnym filmie serii. Łącznie zaplanowano ich pięć. Mają opowiadać o wydarzeniach z lat 1927–1945. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. DAVID YATES
„FANTASTYCZNE ZWIERZĘTA I JAK JE ZNALEŹĆ"
USA 2016, GALAPAGOS

wyst. Eddie Redmayne, Katherine Waterston, Alison Sudol

DWOJE W ŁÓDCE PLUS ROBOT

Pasażer numer jeden (Chris Pratt) budzi się z hibernacji w wyniku awarii. Statek, którym leci na kolonię Homestead II, ma przed sobą jeszcze 90 lat podróży. Na pokładzie ani żywego ducha. Dręczony samotnością nieszczęśnik wybudza sobie towarzyszkę, pasażera numer dwa (Jennifer Lawrence), ukrywając przed nią fakt, że to on jest sprawcą jej nieszczęścia. Cała wizualna atrakcyjność filmu ani sprawność techniczna jego twórców nie są w stanie przesłonić podstawowej kwestii – bohater uczynił rzecz niewybaczalną, a cała reszta to kolorowe mydlenie oczu. Stąd pierwsza część filmu nieco nudzi, a druga mocno irytuje – to nie jest science fiction, lecz melodramat, w którym bardzo dużo logiki i psychologicznej prawdy trzeba poświęcić, żeby przekonać widza, że może jednak polubić głównego bohatera. To bałamutna propozycja intelektualna, gładka niczym wnętrza statku. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆

REŻ. MORTEN TYLDUM
„PASAŻEROWIE" („PASSENGERS")
USA 2016, IMPERIAL

wyst. Jennifer Lawrence, Chris Pratt, Michael Sheen

GRA TYGODNIA: „MASS EFFECT: ANDROMEDA"

★★★☆☆☆

Są takie gry, na które czeka się latami. Wcześniej obrastają legendą, gromadzą rzesze fanów, przenikają do popkultury. Jedną z tego typu produkcji była kosmiczna trylogia „Mass Effect", która zabierała nas w podróż na krańce galaktyki i pozwalała uczestniczyć w starciu o przyszłe losy Wszechświata. Epicko do bólu, ale ciekawe misje poboczne, grafika, muzyka i relacje pomiędzy członkami drużyny dopełniały wrażenia gry niemal idealnej. Niestety, długo oczekiwana kontynuacja nie urasta do rangi pierwowzoru. Chociaż grafika (poza animacjami ruchu i twarzy) nadal powala, to warstwa fabularna i dialogi są co najwyżej poprawne. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG/TPP*
- ***Platforma:*** *PC, PS4, XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *BioWare/Electronic Arts*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 9c18f8eb3d

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Fatima i słowackie tajemnice

Piękny to album i niezwykła książka. Nic dziwnego, że do księgarń trafia już drugie wydanie. Temat wspólnego dzieła Grzegorza Górnego i Janusza Rosikonia określony jest w tytule: „Tajemnice Fatimy. Największy sekret XX wieku", ale przecież rzecz cała daleko wykracza poza problematykę objawień, samą w sobie pasjonującą. Mamy do czynienia w gruncie rzeczy z historią poprzedniego stulecia, przedstawioną za pomocą słowa i obrazu (fotografii). Nieprzypadkowo rozpoczynającą się o godz. 17.17 13 maja 1981 r. od strzałów oddanych na placu św. Piotra w Rzymie przez Alego Ağcę. Od zamachu na życie papieża Jana Pawła II.

Zaistniała koincydencja musiała zwrócić uwagę: 13 maja 1917 r. trojgu portugalskich pastuszków w Fatimie po raz pierwszy objawiła się Matka Boska. Dokładnie 64 lata później dokonano zamachu na Jana Pawła II. Polski papież odczytał ten znak. Poprosił – czytamy – by zjawił się u niego mieszkający od lat w Rzymie słowacki biskup Pavol Hmielica. Obaj znają się od czasu Soboru Watykańskiego II. Słowak jest wielkim głosicielem orędzia fatimskiego. To on kilka dni po wyborze Karola Wojtyły na papieża powiedział mu pamiętne słowa. Oznajmił, że Bóg wybrał Jana Pawła II do niezwykłej misji, której celem jest poświęcenie i nawrócenie Rosji.

I to Pavol Hmielica właśnie dostarczył Ojcu Świętemu do szpitala dokumentację objawień fatimskich. Warto może, niejako przy tej fatimskiej okazji, przybliżyć sylwetkę słowackiego arcypasterza. Jak większość duchownych w socjalistycznej Czechosłowacji poddany został represjom. Prześladowania Kościoła były tam zresztą znacznie ostrzejsze niż w Polsce. I tak w nocy z 13 na 14 kwietnia 1950 r. oddziały bezpieki wkroczyły do wszystkich męskich klasztorów w tym kraju. Zakonników wywieziono do tzw. klasztorów koncentracyjnych, czyli przymusowych obozów pracy. Jednym z aresztowanych alumnów był 29-letni wtedy Pavol Hmielica. Więziony był w obozach, a następnie skierowano go na przymusowe ćwiczenia wojskowe. To tam 29 września 1950 r. udało mu się przekraść do szpitala w Rożniawie, gdzie na badania lekarskie przybył bp Robert Pobożny. I to on, można powiedzieć, że pod okiem czekających pod drzwiami funkcjonariuszy bezpieki, wyświęcił młodego jezuitę na księdza. Pavol Hmielica wysłał później telegram do bliskich: „Operacja się udała, pacjent czuje się dobrze, przyjeżdżajcie z wizytą".

Hiacynta i Łucja, którym w Fatimie objawiła się Matka Boska FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie minie pół roku, a Pobożny oraz Hmielica znów spotkają się w tym samym szpitalu i znów tajniacy będą stali pod drzwiami, za którymi młody kapłan zostanie wyświęcony na biskupa. Nie miał wówczas jeszcze ukończonych 30 lat i był najmłodszym biskupem na świecie! „Może – dowiadujemy się z rozdziału książki zatytułowanego »Triumfalny pochód komunizmu« – wyświęcać w konspiracji kolejnych kapłanów, bez wiedzy i poza kontrolą komunistów. 24 sierpnia 1951 roku potajemnie udziela sakry biskupiej jeszcze młodszemu od siebie jezuicie, 27-letniemu Janowi Chryzostomowi Korcowi (Korec zostanie później przywódcą Kościoła katakumbowego na Słowacji, stojąc na jego czele przez niemal cztery dekady. Prawie czwartą część tego czasu spędzi w więzieniach, a na wolności zmuszony będzie pracować m.in. jako zamiatacz ulic w Bratysławie)".

Władze w końcu dowiedziały się o istnieniu i działalności nielegalnego bp. Hmielicy. Niebawem ucieczka z kraju stała się jedynym rozwiązaniem i w grudniu 1952 r. osaczany ze wszystkich stron słowacki kapłan nielegalnie przekroczy granicę z Austrią, a następnie pojedzie do Rzymu.

No dobrze – ktoś spyta – ale co wspólnego mają prześladowania Kościoła katolickiego przez komunę z tym, do czego doszło w 1917 r. w Fatimie? Otóż mają, i to bardzo wiele, o ile oczywiście potraktujemy świetne również od strony edytorskiej „Tajemnice Fatimy" jako historię walki dobra ze złem. Walki, która w minionym stuleciu przybrała w świecie wyjątkowo okrutne formy. Orędzie z Fatimy, zdaniem dwóch papieży – Jana Pawła II i Benedykta XVI – zmieniło bieg dziejów. „Weszło – czytamy – w sam środek zmagania o duszę świata, godząc wolną wolę człowieka z opieką Opatrzności".

W 2000 r. kard. Ratzinger stwierdził, że objawienie fatimskie jest dowodem na to, iż „Bóg jest panem historii, a świat nie wypadł z jego ręki". ©℗

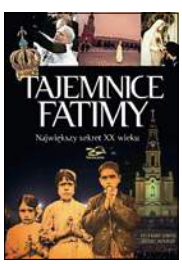

★★★★★★

GRZEGORZ GÓRNY, JANUSZ ROSIKOŃ „TAJEMNICE FATIMY. NAJWIĘKSZY SEKRET XX WIEKU" ROSIKON PRESS, WARSZAWA-IZABELIN 2017

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Fundusze Europejskie
Infrastruktura i Środowisko

WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE

Unia Europejska
Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

Opera Nova w Bydgoszczy informuje, że realizuje projekt pn. **„Modernizacja Opery Nova w Bydgoszczy”**, którego głównym celem jest zwiększenie potencjału kulturowego i turystycznego Województwa Kujawsko-Pomorskiego poprzez szersze udostępnienie oferty kulturalnej.

OPERA NOVA w Bydgoszczy ®

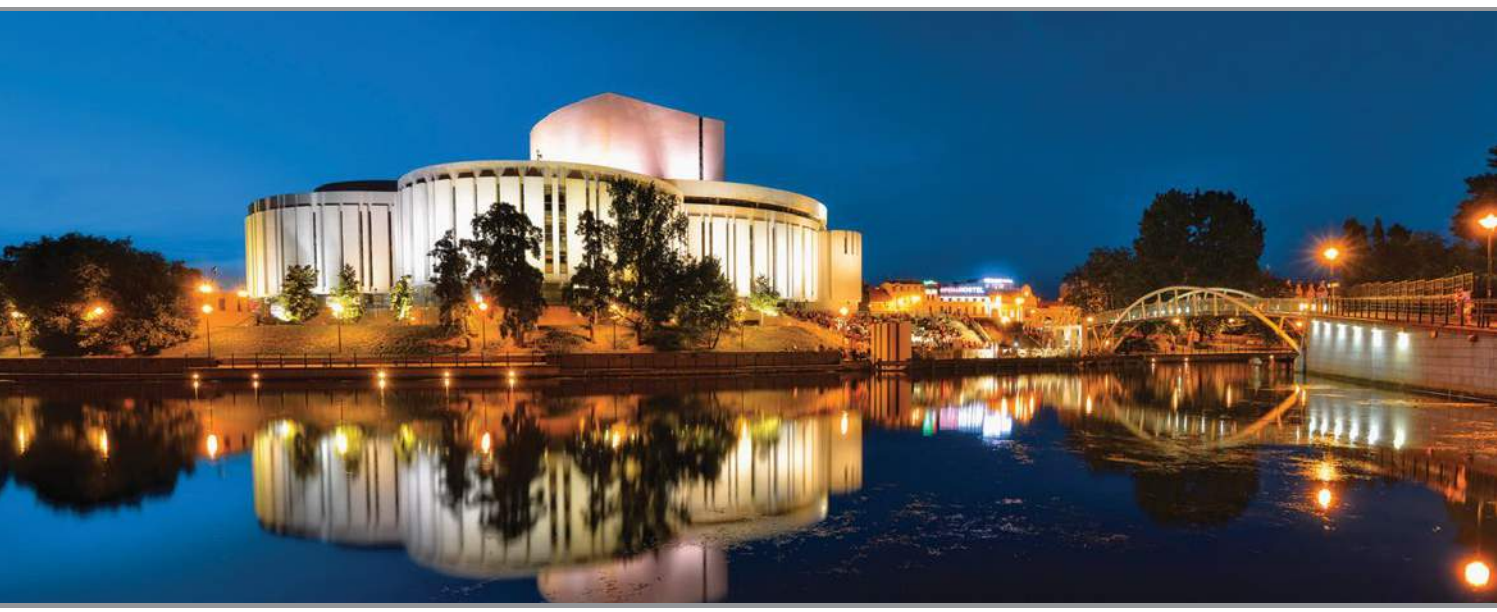

Efektem zrealizowanego zadania będzie:

dostawa nowoczesnego sprzętu oświetleniowego oraz zmodernizowane sterowanie oświetleniem roboczym i obwodami nieregulowanymi dużej sali widowiskowej,
poprawa nagłośnienia sceny głównej i sceny kameralnej,
wyposażenie orkiestry w nowe instrumenty muzyczne,
przebudowany system sterowania urządzeniami mechanicznymi sceny głównej,
wyremontowanie podłóg sceny, kieszeni scenicznych, zascenia i magazynu dekoracji wysokich,
nowa scena obrotowa,
słuchawki dla osób niedosłyszących.

Całkowita wartość projektu: 13 585 772,83 PLN
Dofinansowanie projektu z UE: 9 407 732,85 PLN
Dofinansowanie projektu z WK-P: 1 874 567,78 PLN
Realizacja projektu: IV kw. 2016 – IV kw. 2018

Projekt współfinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego oraz budżetu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko na lata 2014–2020
eprasa.pl 9c18f8eb3d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kucharzu, lecz się sam

Jestem kucharzem, który zaczął późno" – poinformował Julian Barnes w pierwszym zdaniu swej zabawnej książeczki. I od razu ją za to polubiłem. A już w prawdziwy zachwyt wpadłem, czytając kawałek dalej: „w kuchni jestem niespokojnym pedantem, bardziej niż sobie ufam przyrządom". Druhu serdeczny, chciałem zakrzyknąć, witaj bratnia duszo!

„Pedant w kuchni" to zbiór kilkunastu krótkich kulinarnych opowiastek człowieka, który nie potrafi wyrzucić do śmieci książki kucharskiej poświęconej wyłącznie sokom, chociaż nie posiada sokowirówki. I który wyznaje, że prędzej trupem padnie, niż palcem sprawdzi sprężystość szykowanego mięsa. Mimo to od wielu lat uczy się gotować. Czyli: zmaga się z niejasnymi przepisami, z nieżyciowymi poradami znajomych, z brakiem składników traktowanych przez kucharzy za oczywiste, a przede wszystkim z własnymi ograniczeniami. Jako że kucharzenia nie nauczyli go rodzice, a w profesjonalne kursy nie wierzy, nie miał innego wyjścia, jak zostać samoukiem (znowu mam ochotę krzyczeć: „Bracie mój!").

Oznaczało to, że poznaje świat gotowania poprzez góry papieru – kulinarnych przewodników, zbiorów przepisów, reprintów starych książek kucharskich i zapisków dokonywanych w podróży, kiedy uśmiechem lub podstępem udawało się zdobyć jakąś zaskakującą recepturę. W sumie to logiczne – pisarzem będąc, Barnes poznaje realny świat poprzez to, co napisali inni. Dlatego też jego książeczka zamienia się w dyskurs literacko-historyczny: jest trochę o diecie Flauberta, o tym, jak Kazuo Ishiguro jadł kangura, o sporze na temat buraków (i bardzo krytycznych opiniach na ich temat formułowanych przez autorów starożytnych). Gotowanie czyni nas lepszymi, życzliwszymi, bardziej towarzyskimi – podpowiada Barnes.

Jest i pewien smuteczek. Chociaż autor ostro wyraża się o kulinarnych książkach pisanych przez celebrytów, to sam przecież czytany jest dlatego, że to znane nazwisko (świetny pisarz, obsypany nagrodami, autor „Papugi Flauberta"). Skrzywiony to świat, w którym zamiast rozkoszować się dobrą prozą, zwracamy uwagę na tęgie umysły dopiero wtedy, kiedy efektem ich pracy jest jakaś zabawna błahostka. O czym ze wstydem informuję, bo sam nie pamiętam, kiedy czytałem ostatnio „prawdziwego" Barnesa. ©℗

★★★★★

JULIAN BARNES „PEDANT W KUCHNI" ŚWIAT KSIĄŻKI 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Jedno z najważniejszych dzieł Lewisa – obszerna, imponująca erudycją opowieść o literaturze i tradycji kulturowej średniowiecza, ze szczególnym uwzględnieniem „Powieści o Róży" oraz dzieł Chaucera.

C.S. LEWIS „ALEGORIA MIŁOŚCI" ESPRIT

„Wszystko, co chciałbyś wiedzieć o globalnej polityce" – obiecuje autor. Lekko przesadza, ale dokonuje rzetelnego przeglądu punktów zapalnych na mapie świata i tłumaczy decyzje polityczne względami geograficznymi.

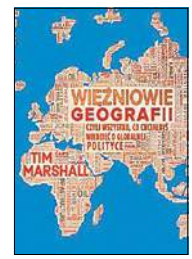

TIM MARSHALL „WIĘŹNIOWIE GEOGRAFII" ZYSK I S-KA

Walczyła w Donbasie, dwa lata przesiedziała w rosyjskim więzieniu, dziś walczy o uwolnienie innych jeńców. Swą rolę w ukraińskiej polityce określa jako „asenizator". Wywiad rzekę przeprowadził Jarosław Junko.

NADIA SAWCZENKO „UKRAINA MOJA MIŁOŚĆ" EDIPRESSE

Pół wieku małżeństwa z reżyserem Januszem Morgensternem, o którym mówiła: „My już jesteśmy jak jedna osoba". Wspomnienie niezwykłej miłości, a przy okazji kawał historii polskiego kina. ©℗

poleca Piotr Gociek

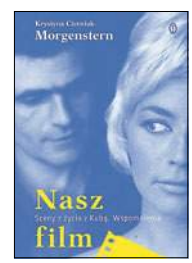

KRYSTYNA CIERNIAK-MORGENSTERN „NASZ FILM" WYDAWNICTWO LITERACKIE

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Liane Moriarty „Wielkie kłamstewka" (Prószyński i S-ka) – jeden trup, trzy przyjaciółki i sekrety życia na prowincji. Powrót na listę za sprawą serialu HBO.***
2. ***Mirosław Wlekły „Tu byłem. Tony Halik" (Agora) – pilot, dziennikarz, podróżnik i dużo więcej, czyli biografia szczegółowa. Czasem nadmiernie.***
3. ***Peter Wohlleben „Duchowe życie zwierząt" (Otwarte) – autor „Sekretnego życia drzew" w kolejnej opowieści o tajemnicach przyrody.***
4. ***Jo Nesbø „Pragnienie" (Wydawnictwo Dolnośląskie) – detektyw Harry Hole po raz 11. – sprawa zabójcy z Internetu łączy się z jego przeszłością.***
5. ***Sarah Knight „Magia olewania" (Muza) – poradnik dla nadmiernie zapracowanych: jak nauczyć się mieć wszystko w nosie i wreszcie odpocząć.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Matras)

eprasa.pl 9c18f8eb3d

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Jazz, NOSPR i zabawa

The Hot 8 Brass Band FOT. MELISSA TRUE FARGO/KATOWICE JAZZART FESTIVAL

Nie sztuką jest dziś zrobić festiwal jazzowy. W czasie, gdy zaproszenie nowojorskich gwiazd nie jest już nieosiągalnym marzeniem, a włodarze miast konkurują, przeznaczając spore budżety na kulturę, Polacy mają na wyciągnięcie ręki ofertę muzyczną nieodstającą od tego, co się dzieje na Zachodzie. Sztuką jest, by nasz festiwal nie był powieleniem koncertów tych artystów, którzy właśnie w ramach europejskiego tournée zaliczają sceny w Berlinie, Wiedniu, Pradze i na koniec wpadną jeszcze na dwa „wykony" do Polski.

Organizatorzy katowickiego JazzArt Festival chyba znaleźli własny pomysł. Tegoroczna szósta edycja (24–30 kwietnia) przypomina dobrze skomponowaną symfonię. Obok flagowych tematów są części liryczne, potem zaskakujący zwrot i w końcu taneczne szaleństwo. Odniesienie do muzyki poważnej jest zasadne, ponieważ część koncertów zaplanowano w przepięknej siedzibie Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, a finałem będzie koncert Orkiestry Muzyki Nowej z zespołem Kwadrofonik i z solistami, m.in. Agatą Zubel oraz Adamem Bałdychem. Soliści i zespół świetnych kameralistów specjalizujących się w muzyce współczesnej wykonają kompozycje Bartóka, a także młodego polskiego kompozytora (rezydenta orkiestry) Pawła Hendricha. Osobiście ze względów sentymentalnych czekam na solowy projekt Apostolisa Anthimosa (eks-SBB), który zagra 26 kwietnia w klubie Hipnoza, a 29 kwietnia polecam rewelacyjnych nowoorleańczyków – The Hot 8 Brass Band, którzy wystąpią w sali Miasto Ogrodów. Amerykanie udowodnili, że da się połączyć starą i nową muzykę ulicy – orkiestrę dętą z hip-hopem. Katowicki festiwal to nie tylko muzyka. Oprócz koncertów i jam session zaplanowano pokazy filmów, wernisaż i debaty. Zwieńczeniem szalonego tygodnia będzie bal przy dźwiękach znakomitego francuskiego kwintetu Papanosh. ©℗

Więcej na: http://jazzartfestival.eu.

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Smutno-piękne opowieści

Josh Tillman, używający od 2012 r. pseudonimu Father John Misty, jest jednym z ulubionych wykonawców Harry'ego Hole'a, bohatera kryminałów Jo Nesbø. Nie przypadkiem.

36-letni Amerykanin nagrywa smutno-piękne opowieści o miłości i życiu na marginesie, w których słychać echa klasycznych autorskich albumów z lat 70. Wyraźnie czerpie inspirację z twórczości Nicka Drake'a, Randy'ego Newmana, Johna Lennona, a ostatnio wczesnego Eltona Johna.

Zanim został Father Johnem Mistym, Tillman nagrał sześć albumów pod własnym nazwiskiem i przez trzy lata był członkiem fantastycznego zespołu Fleet Foxes. Dopiero jako FJM w pełni rozwinął skrzydła jako dojrzały autor. Jego drugi album – „I Love You, Honeybear" – uważany jest za klasyk.

Na trzeciej płycie Tillman odszedł od spraw osobistych i skupił się na polityce, mediach społecznościowych, technologiach, degradacji środowiska, kulturze celebryckiej… Tematach popularnych obecnie wśród brodatych, muzycznych hipsterów. W tym towarzystwie FJM wyróżnia się darem do pisania mocnych melodii, kompleksowych aranżacji na orkiestrę symfoniczną i fortepian oraz niebanalnych, ironiczno-mrocznych tekstów. Najdonośniej słychać to w rozbudowanych kompozycjach trwających od 6 do nawet 13 minut. Father John Misty jest postmodernistycznym trubadurem balansującym między rolą śpiewającego poety i muzyczno-słownego rzemieślnika. ©℗

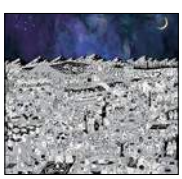

★★★★★★

FATHER JOHN MISTY
„PURE COMEDY"
BELLA UNION

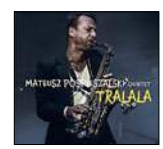

★★★★★★

MATEUSZ POSPIESZALSKI QUINTET
„TRALALA"
POLSKIE RADIO

Na siódmym albumie saksofonista Voo Voo, wspomagany m.in. przez syna Marka, brata Karola i bratanicę Barbarę, swobodnie łączy połamany jazz, pop i folk. Teksty do piosenek napisali oprócz lidera Wojciech Waglewski, Jacek Bieleński i Adam Nowak. Frapujące. ©℗

★★★★★★

BOB DYLAN
„TRIPLICATE"
SONY

Od trzech lat Dylan mierzy się z kanonem amerykańskiej piosenki rozsławionej przez Franka Sinatrę. Trzecie podejście noblisty do tematu przynosi 30 kolejnych piosenek nagranych na trzech CD. Nie ten głos, nie ten rozmach, nie ten czas. Groteskowy kaprys. ©℗

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Grunty inwestycyjne

Anna Szymczak

Agencja Nieruchomości Rolnych wbrew swojej nazwie nie ogranicza się jedynie do zarządzania gruntami rolnymi. ANR posiada również największą w Europie Środkowo-Wschodniej ofertę nieruchomości inwestycyjnych

Na inwestorów czeka ponad 5,9 tys. działek położonych na terenie całej Polski, które zajmują ok. 70 tys. ha. Od kilku lat Agencja odnotowuje rokrocznie sprzedaż nieruchomości inwestycyjnych na zbliżonym poziomie ok. 1 tys. ha. W 2016 r. Agencja sprzedała 655 ha. Wartość sprzedanych gruntów przekroczyła 200 mln zł, co stanowi ok. 14-procentowy udział w przychodach Agencji ze sprzedaży za 2016 r.

Najwięcej gruntów inwestycyjnych na Dolnym Śląsku. Prawie połowa z 70 tys. ha gruntów inwestycyjnych będących w ofercie Agencji zlokalizowana jest na Dolnym Śląsku. W tym ponad 1 tys. ha gruntów znajduje się w granicach specjalnych stref ekonomicznych (SSE), które oprócz pełnej infrastruktury zapewniają inwestorom wsparcie finansowe, organizacyjne oraz udogodnienia w procedurach administracyjnych. Obecnie Oddział Terenowy ANR we Wrocławiu prowadzi przygotowania do rozdysponowania ponad 550 ha gruntów o charakterze inwestycyjnym. Największy popyt na nieruchomości przeważa wśród terenów przeznaczonych pod aktywność gospodarczą oraz budownictwo mieszkaniowe. Dotychczas najwyższą osiągniętą ceną uzyskaną w jednej umowie sprzedaży nieruchomości była kwota rzędu 75 mln zł za ponad 26 ha gruntów zlokalizowanych w miejscowości Bielany Wrocławskie w gminie Kobierzyce. FOT. ANR

W DOBREJ CENIE I JAKOŚCI

Tak jak zróżnicowane są sprzedawane przez Agencję Nieruchomości (działki), tak zróżnicowane są ich ceny. Niemniej średnia cena dla gruntów inwestycyjnych za ubiegły rok wyniosła 283 tys. zł za hektar w przeliczeniu na 1 mkw. – 28,3 zł. Najwyższe ceny za 1 ha gruntu pod inwestycje z zasobu ANR odnotował w OT Warszawa – ponad 1,5 mln zł, przy czym to wcale nie najwyższa cena na rynku.

Niewątpliwie oprócz nieco atrakcyjniejszej ceny tym, co wyróżnia ofertę ANR spośród ofert dostępnych na rynku, są znakomita komunikacja i duża powierzchnia dziełek. Mogą na nich bez przeszkód powstawać inwestycje typu „greenfield", parki technologiczne i przemysłowe, centra biznesowe, handlowe, logistyczne, składy magazynowe, a także nowoczesne budownictwo mieszkaniowe. Niemała część tych gruntów wchodzi w skład dynamicznie rozwijających się aglomeracji i ośrodków przemysłowych, takich jak Warszawa, Wrocław, Poznań, Katowice, Opole. Warto jednak też podkreślić, że w zasobach ANR nie brak dobrze skomunikowanych gruntów w południowo-wschodniej części Polski, które cieszą się coraz większym zainteresowaniem inwestorów.

JAK KUPIĆ GRUNT?

Podstawowym trybem sprzedaży państwowych nieruchomości są przetargi nieograniczone organizowane przez Oddziały Terenowe i file ANR (obecnie jest ich 15). Udział w przetargach mogą brać zarówno osoby fizyczne i prawne, które wpłaciły wadium i stawiły się na licytację we właściwym miejscu oraz czasie. Zanim jednak dojdzie do przetargu, wszelkie informacje dotyczące ofert i przetargów, w tym harmonogramy i ogłoszenia, pojawiają się na portalu internetowym ANR (www.anr.gov.pl), a także w siedzibie właściwego OT ANR i filii. Dodatkowo informacje o planowanym przetargu rozwieszane są w miejscowości, gdzie znajduje się nieruchomość.

Po zakończonej procedurze przetargowej zwycięzca przetargu jest zobowiąza-

Z roku na rok powiększa się lista nabywców działek inwestycyjnych. Z oferty Agencji skorzystało wiele firm z Polski i zagranicy. Są wśród nich znane i uznane marki, jak np.: Ikea, McDonald's, Electrolux, Jerónimo Martins, Toyota, Zalando czy I2Development, CHEMEKO-SYSTEM, ROSIŃSKI GROUP, 4LIVING, LABOR SWTP INVESTMENT, Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego DACH-BUD, MW Projekt 1, Grupa Wróbel.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

z Agencji

Lokalizacja pierwsza liga. Jedną z ciekawszych inwestycji powstałych na przełomie lat 2016 i 2017 na zakupionych od Agencji gruntach jest nowa siedziba Grupy Wróbel – autoryzowanego dealera samochodów marki Mercedes-Benz z blisko 25-letnim stażem. Nabywca zbudował na świetnie skomunikowanym gruncie od ANR nowoczesny, designerski i jednocześnie bardzo funkcjonalny obiekt na ponad 6 tys. mkw. powierzchni użytkowej. Niewątpliwym atutem gruntu jest lokalizacja – w doskonałym sąsiedztwie lotniska, autostradowej obwodnicy Wrocławia i popularnej galerii handlowej, przy czym wciąż pozostającej w tej samej strefie miasta. FOT. ANR

Wybrani przez Mercedesa. W połowie ubiegłego roku wrocławski OT ANR, w zamian za objęcie udziałów, wniósł do Wałbrzyskiej SSE grunty o powierzchni ponad 270 ha. Wniesienie tych terenów do strefy przesądziło o powodzeniu jednej z największych w naszym kraju inwestycji motoryzacyjnych z udziałem marki Mercedes-Benz. Niemiecki gigant motoryzacyjny wybrał podwrocławski Jawor, gdzie na terenie o powierzchni ok. 50 ha za 500 mln euro zbuduje fabrykę silników. W nowym zakładzie bezpośrednio zatrudnienie znajdzie ponad pół tysiąca osób. Szacuje się jednak, że na każde nowo powstałe miejsce pracy w fabryce powstanie sześć innych miejsc pracy w ramach sieci dostawców, co daje ok. 3 tys. nowych miejsc pracy. FOT. ANR

Materiał informacyjny

ny do niezwłocznej wpłaty wylicytowanej kwoty pomniejszonej o wadium. Owszem, istnieje również możliwość nabycia nieruchomości inwestycyjnej od Agencji przy rozłożeniu płatności na raty. Ma to jednak miejsce wyłącznie w kolejnym przetargu, jeżeli poprzedzający przetarg nie został rozstrzygnięty. W takim przypadku ANR może rozłożyć cenę sprzedaży na roczne raty. Wysokość pierwszej wpłaty nie może być niższa niż 50 proc. wylicytowanej kwoty, zaś okres spłaty całej należności nie może przekroczyć pięć lat. W systemie ratalnym oprocentowanie jest zmienne i aktualnie wynosi 2,83 proc. w skali roku.

AGENCYJNA WSPÓŁPRACA I SSE

Od 2009 r. grunty inwestycyjne z zasobów Agencji Nieruchomości Rolnych również znajdują się w bazie gruntów pod inwestycje przemysłowe Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych (PAIiIZ), obecnie Polska Agencja Inwestycji i Handlu (PAIiH). Dzięki tej współpracy funkcjonuje tzw. Krajowy Zasób Nieruchomości Inwestycyjnych (KZNI), w którego skład wchodzą oferty dużych terenów (powyżej 50 ha) z obszaru całej Polski. Dlatego inwestorzy mają ułatwiony dostęp do oferty najbardziej atrakcyjnych nieruchomości inwestycyjnych w różnych obszarach kraju. ANR udostępniła PAIiH informacje dotyczące łącznie ponad 8,5 tys. ha atrakcyjnych gruntów, które trafiły do bazy KZNI, przy czym baza ofert jest na bieżąco aktualizowana.

Grunty w KZNI mogą być wykorzystane pod duże inwestycje przemysłowe, logistyczne i inne. Warto podkreślić, że wiele terenów inwestycyjnych położonych jest w specjalnych strefach ekonomicznych. A jak wiadomo, podmioty inwestujące w SSE mogą prowadzić działalność gospodarczą na preferencyjnych warunkach, m.in. podatkowych. Umożliwia to rozwój ekonomiczny w różnych regionach kraju, a przede wszystkim powstają nowe miejsca pracy w regionach, w których rynek pracy jest ograniczony.

Dzisiaj w Polsce działa 14 specjalnych stref, z czego w dziewięciu z nich Agencja posiada jeszcze ponad 1,7 tys. ha gruntów. Największą wśród wszystkich stref jest Wałbrzyska SSE, która obejmuje obszar prawie 2,7 tys. ha. Tylko tam zainwestowało z powodzeniem blisko 200 przedsiębiorstw z całego świata, co powinno być najlepszą rekomendacją dla nowych nabywców.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Inwestycja w zabytki

Agencja Nieruchomości Rolnych obok bogatej oferty gruntów rolnych i inwestycyjnych ma w „zarządzie" kilkaset zabytkowych dworków, pałaców i parków. Szuka chętnych, którzy uratują wyjątkowe obiekty od zapomnienia i zniszczenia

Anna Szymczak

Pałac Sieniawa FOT. ANR

Pałac w Ławicy FOT. ANR

Do Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa po upadku komunizmu trafiło ok. 2348 zespołów dworskich i pałacowo-parkowych oraz innych obiektów wpisanych do rejestru zabytków. Dzisiaj w Zasobie Agencji pozostaje łącznie 698 obiektów wpisanych do rejestru zabytków, w tym 530 zespołów dworskich i pałacowo-parkowych. Obecnie do sprzedaży przygotowanych jest prawie 80 pięknych zabytków (sześć jest w trakcie sprzedaży). Jest więc w czym wybierać. Z danych na koniec ubiegłego roku wynika, że trwale rozdysponowano ponad 1860 zabytkowych dworków, pałaców, a nawet zamków. Część z nich to stanowiska archeologiczne oraz inne nieruchomości zabudowane obiektami zabytkowymi (młynami, stajniami etc.), które rozdysponowane zostały wraz z nieruchomościami rolnymi. Spośród wszystkich pozostających w Zasobie obiektów 648 stanowią zabytki nieruchome oraz 50 zabytki archeologiczne. Z tego 331 obiektów to zespoły dworskie, pałacowo-parkowe i folwarczne, a 199 stanowią parki i resztówki dawnych parków, co daje łącznie 530 zespołów lub pozostałości po tych zespołach. Ponadto w Zasobie znajduje się 86 jednostkowych obiektów architektonicznych i 30 obiektów budowlanych oraz urbanistycznych.

SPA W PAŁACU

Majątki należące przed wojną do mniej lub bardziej zamożnych szlacheckich rodzin wraz z dworkami i pałacami po wojnie upaństwowiono. Odebranymi Polakom po II wojnie światowej przez komunistyczną władzę majątkami ziemskimi wraz z zabytkowymi nieruchomościami w większości podzieliły się ówczesne resorty oświaty, zdrowia, kultury i rolnictwa. Zagrabione z majątkiem dworki i pałace zaczęły pełnić funkcje bibliotek, szkół i przedszkoli, placówek ochrony zdrowia czy domów kultury. Zabytki, które znalazły się w „zarządzie" Ministerstwa Rolnictwa, przekazano pod tworzone państwowe przedsiębiorstwa gospodarki rolnej (tzw. PGR-y) i utworzono w nich biura, świetlice, lokale mieszkalne, a niekiedy hotele.

Dzisiaj Agencja stara się sprzedać zabytkowe nieruchomości inwestorom, którzy zobowiążą się przywrócić ich dawny blask i wyjątkowy charakter. Oczywiście nie jest to sprawa łatwa dla potencjalnego nabywcy zabytkowego obiektu, bo wymaga zaangażowania znacznych środków finansowych oraz aktywnej współpracy z konserwatorem zabytków.

Przed zakupem zabytkowego obiektu kluczowy jest pomysł na wykorzystanie odrestaurowanej nieruchomości. Zdarza się, że nabywca chce zamieszkać w zabytkowym domu, zdecydowana większość kupujących chce na nich zarabiać wzorem zachodnich trendów, gdzie arystokraci wynajmują swoje rodzinne posiadłości turystom, firmom, a nawet nowożeńcom na przyjęcia weselne. W Polce też nie brakuje przykładów udanych inwestycji, gdzie odrestaurowane pałace i dworki stają się popularnymi centrami hotelowymi, spa, ośrodkami konferencyjnymi oraz kulturalnymi.

NA SPECJALNYCH WARUNKACH

Podobnie jak inne nieruchomości z Zasobu ANR również obiekty zabytkowe sprzedawane są na przetargach nieograniczonych oraz w formie bezprzetargowej (pierwszeństwa w nabyciu), jak również Agencja może je nieodpłatnie przekazywać jednostkom samorządu terytorialnego na realizację zadań własnych. Przy nabywaniu nieruchomości wpisanych do rejestru zabytków cena sprzedaży nieruchomości zabytkowej może być obniżona (maksymalnie) o połowę, nie więcej jednak niż o 200 tys. euro, stosownie do obowiązujących przepisów. Aby z niej skorzystać, nabywca musi we współpracy z konserwatorem zabytków określić roboty, jakie zostaną przeprowadzone w nabywanej nieruchomości. Wartość nakła-

eprasa.pl 9c18f8eb3d

dów powinna być co najmniej równa upustowi w cenie sprzedaży nieruchomości. Nabywca zobowiązany jest do przedłożenia właściwemu oddziałowi terenowemu Agencji w terminie nie dłuższym niż pięć lat od dnia zawarcia umowy sprzedaży dokumentów potwierdzających dokonanie nakładów zgodnie z zakresem prac ustalonym z wojewódzkim konserwatorem zabytków.

Jest to o tyle ważne, że jeśli nabywca w określonym terminie nie dokona zadeklarowanych nakładów, jest zobowiązany w ciągu 30 dni zwrócić Agencji kwotę obniżki ceny wraz z ustawowymi odsetkami.

Agencja sprzedaje obiekty zabytkowe w większości w formie przetargów nieograniczonych w trybie licytacji ustnej. Każdy zainteresowany może wziąć udział w takim przetargu. Jedynym warunkiem przystąpienia do przetargu nieograniczonego na sprzedaż obiektu zabytkowego jest wpłacenie wadium w terminie podanym w ogłoszeniu przetargu i stawienie się na dany przetarg. Komisja przeprowadza przetarg, jeżeli stawi się chociażby jeden uczestnik. Przetarg wygrywa oferent, który wylicytuje najwyższą cenę.

NIE KAŻDY PAŁAC NA SPRZEDAŻ

Chociaż priorytetem dla Agencji jest sprzedaż zabytków, to nie wszystkie zabytki wchodzące w skład Zasobu ANR są na sprzedaż. Niektóre z tych obiektów stanowią część majątku spółek, nad którymi Agencja sprawuje nadzór, lub bezpośrednio wchodzą w skład Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa. Tak jest w przypadku XVIII-wiecznego pałacu w Sieniawie. Sieniawa była ukochanym miejscem księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego. W XIX w. pałac był centrum życia politycznego i kulturalnego Galicji, a budynek był systematycznie przekształcany na budowlę w stylu wersalskim, pełną misternych zdobień. Po II wojnie światowej pałac stał się przedmiotem degradacji i dewastacji, pozbawionym jakiejkolwiek opieki. Jego obecnym właścicielem jest Agencja Nieruchomości Rolnych, która przywróciła go do dawnej świetności, a dzięki gruntownej renowacji budynku i rewitalizacji okalającego go parku zabytkowy kompleks stał się ekskluzywnym hotelem – miejscem spotkań, konferencji i wypoczynku. Obecnie sieniawski pałac jest w dzierżawie.

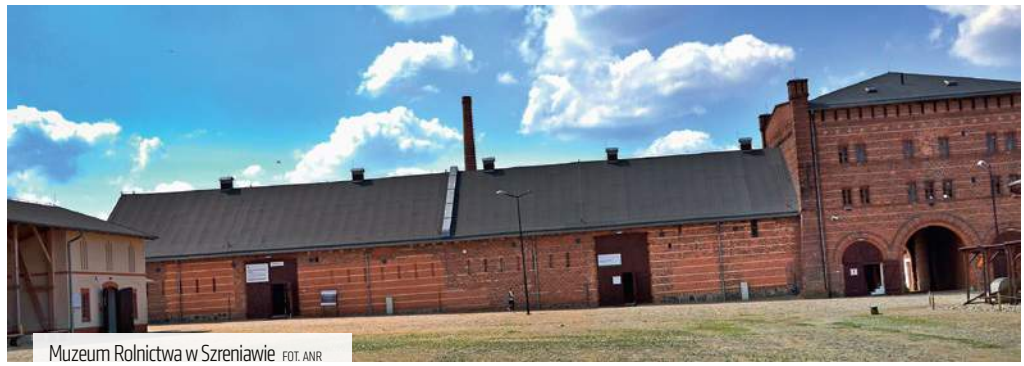
Muzeum Rolnictwa w Szreniawie FOT. ANR

Innym sposobem zagospodarowania zabytków jest nieodpłatne przekazywanie jednostkom samorządu terytorialnego lub jednostkom im podległym. Dobrym tego przykładem, zamiany wieloletniej dzierżawy na własność, jest warty ok. 10 mln zł kompleks działek o łącznej powierzchni 3,8 ha przekazany przez Agencję w 2014 r. na rzecz Muzeum Narodowego Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie w Wielkopolsce.

Na przekazanym terenie mieszczą się adaptowane na potrzeby wystawiennicze obiekty zabytkowe, budynki folwarczne, w tym obora, spichlerz i wiata. Nie bez znaczenia dla Agencji jest fakt, że muzeum prowadzi w ofiarowanych budynkach działalność kulturalno-naukową, która służy społeczności naukowej, a także lokalnej, podnosząc niewątpliwie walory turystyczne okolicy. To nie powinno dziwić, każda miejscowość zyskuje turystycznie, gdy może się pochwalić pięknym zabytkiem.

Pałac w Bobolicach FOT. ANR

W bogatej ofercie zabytków kilka miejsc zasługuje na szczególną uwagę.

Wśród nich jest pałac Ławica wraz z zespołem budynków folwarcznych (gm. Kłodzko) z II poł. XIX w. Jeden z bardziej urokliwych obiektów spośród licznych zlokalizowanych na Dolnym Śląsku.

Ławica ma jeszcze jedną zaletę – położenie w malowniczym krajobrazie Przełomu Bardzkiego w dorzeczu Nysy Kłodzkiej, w pobliżu samego Kłodzka. Oprócz gospodarstwa rolnego w latach 20. XX w. wybudowana została elektrownia wodna na miejscu dawnego młyna – dziś to zabytek techniki, choć wciąż działający.

Tuż obok Ławicy, w gminie Ząbkowice Śląskie, znajduje się inny wyjątkowy pałac. Monumentalny czteroskrzydłowy renesansowy pałac Bobolice z początku XVII w. wraz z rozległym parkiem krajobrazowym, z oczkami wodnymi oraz niezwykłą aleją lipową i kasztanową.

Pierwotnie był to dwór obronny z wewnętrznym dziedzińcem i krużgankami, który ze względu na układ podwórca można porównać do dziedzińca wawelskiego w Krakowie. Z miejscem wiąże się ciekawa historia, kiedy to na terenie pałacu przechowywano podczas II wojny światowej część zbiorów berlińskiego Muzeum Etnograficznego. Po „wyzwoleniu" przez Rosjan pałac zamieniono na magazyn zboża, a znalezione skarby szykowano do wywozu do ZSRR – na szczęście bezskutecznie… Dzisiaj nikt już nie pamięta, jak to się stało, ale zbiory udało się uchronić i zatrzymać w Polsce.

Materiał informacyjny

eprasa.pl 9c18f8eb3d

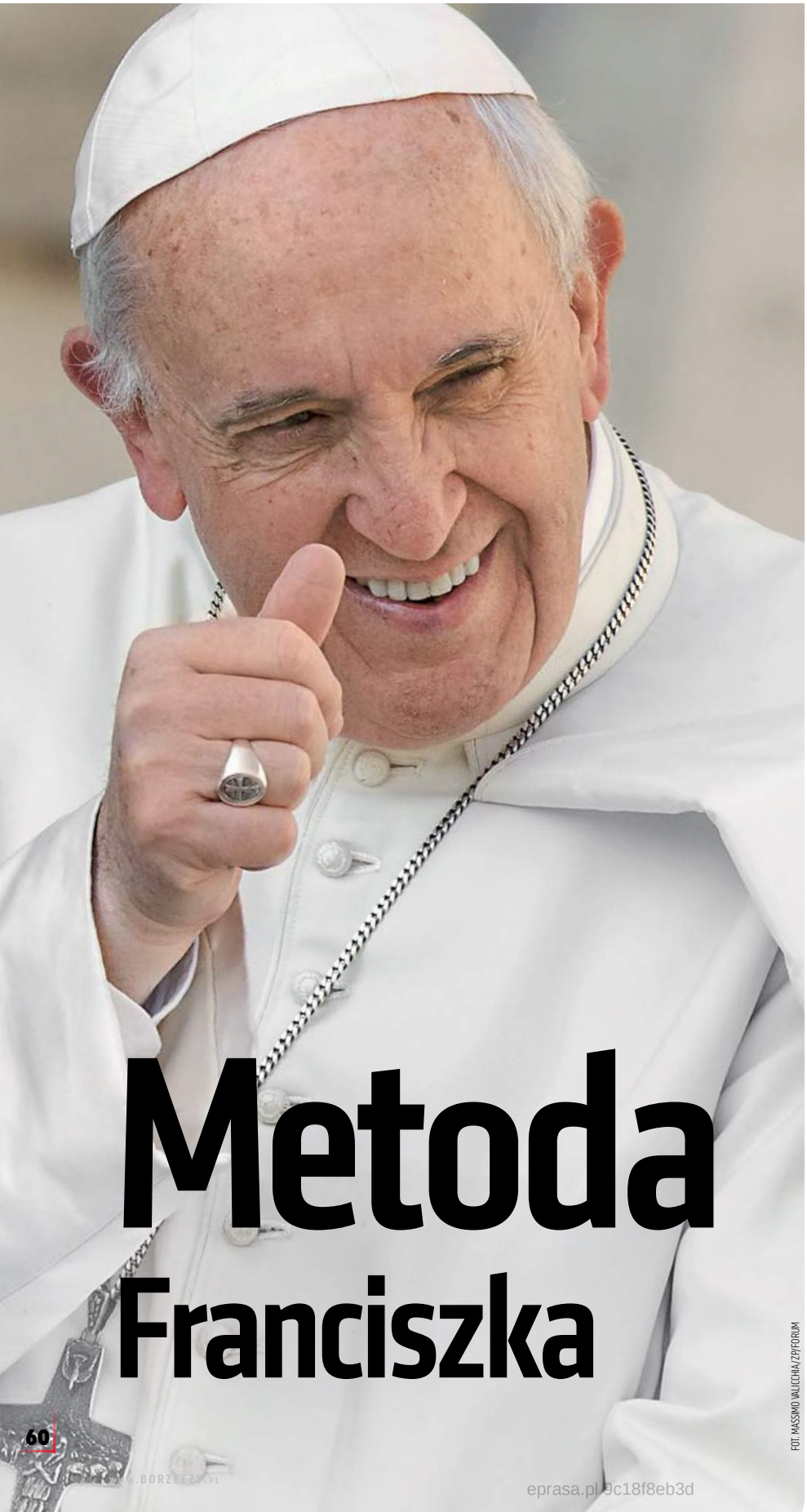

Metoda Franciszka

FOT. MASSIMO VALICCHIA/ZPFORUM

Tomasz P. Terlikowski

Kościół katolicki i Stolica Apostolska powoli się anglikanizują. Wiele wskazuje na to, że jest to sposób Franciszka na przeprowadzenie głębokiej reformy

Kilka dni przed Triduum Paschalnym znany amerykański komentator religijny, były pastor anglikański, a obecnie żonaty kapłan katolicki, opublikował znakomity tekst poświęcony „powolnej anglikanizacji" Kościoła katolickiego. Ksiądz Dwight Longenecker opisuje w nim, że gdy odchodził z Kościoła Anglii, wspólnota ta była w nieustannym dialogu „dwóch integralności". „Jeśli więc chodzi na przykład o ordynację kobiet, proponowano nam, byśmy »słuchali z uwagą i prowadzili dialog z tymi, z którymi się nie zgadzamy, sugerowano nam także, byśmy towarzyszyli im, przechodząc od jednego stanowiska do drugiego«. Ci więc, którzy byli przeciwko ordynacji kobiet, mieli być obecni, obserwować, a gdy trzeba – przestrzegać tych, którzy byli za, a ci, którzy byli za, mieli spoglądać z szacunkiem na tych, którzy byli przeciw i którzy »jeszcze nie weszli odpowiednio głęboko w świat postępu«". Mieliśmy „wspólnie zmierzać drogą we wspólnym przezwyciężaniu napięć w Ludzie Bożym. »Twórcze napięcie« dotyczyło zresztą nie tylko ordynacji kobiet, ale także kwestii seksualnych, choćby tzw. małżeństw homoseksualnych" – podkreślał ks. Longenecker.

Teraz – wskazuje były anglikanin, a obecnie ortodoksyjny do bólu ksiądz katolicki – dokładnie taką samą sytuację mamy w Watykanie. Franciszek nieustannie zachęca do dialogu, do swoich rad duszpasterskich zaprasza przedstawicieli dwóch skrzydeł (najnowszym tego przykładem jest powołanie do Papieskiej Rady ds. Komunikacji z jednej strony progresywnego i progejowskiego jezuity o. Jamesa Martina, a z drugiej konserwatysty Michaela Warsawa). Prefektami najważniejszych kongregacji oraz rad są i progresywiści (choćby prefekt Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia kard. Kevin Joseph Farrell oraz członek grupy ośmiu

eprasa.pl 9c18f8eb3d

najbliższych współpracowników papieża kard. Óscar Andrés Rodríguez Maradiaga), i konserwatyści (by wymienić tylko kard. Roberta Saraha i prefekta Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerharda Müllera). I wszyscy mają wzajemnie wsłuchiwać się w swój głos, szanować swoją drogę, szukać razem przezwyciężania trudności i kroczyć wspólną drogą w „twórczym napięciu".

ROZWÓD, PONOWNE ZWIĄZKI I ZNIESIENIE CELIBATU

Jeszcze mocniej tę sytuację widać w podejściu do kwestii, które najmocniej dzielą katolików i hierarchów na świecie. „Amoris laetitia" została tak sformułowana, by każda ze stron debaty w Kościele mogła – bez większych trudności – pozostać przy swoich poglądach. Zwolennicy postępu obyczajowego mogą więc, jak to zrobili biskupi na Malcie, w Niemczech i na Filipinach, wraz z kard. Francesco Coccopalmerio, przewodniczącym Papieskiej Rady ds. Tekstów Prawnych, głosić, że papież dopuścił osoby rozwiedzione w ponownych związkach do komunii świętej, a konserwatyści z Polski, niektórych diecezji USA i Kazachstanu, na czele z prefektem Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhardem Müllerem, mogą spokojnie utrzymywać, że nic się nie zmieniło. Sam Franciszek zaś, mimo że co jakiś „puszcza oko" do którejś ze stron, oficjalnie nie zajmuje stanowiska, ale namawia do dialogu, oczekiwania na owoce, „szczerego stawiania sprawy". „Oczywiście w Kościele konieczna jest jedność doktryny i działania, ale to nie przeszkadza, by istniały różne sposoby interpretowania pewnych aspektów nauczania lub niektórych wynikających z niego konsekwencji. Będzie się tak działo, aż Duch nie doprowadzi nas do całej prawdy (por. J 16, 13), to znaczy, kiedy wprowadzi nas w pełni w tajemnicę Chrystusa i będziemy mogli widzieć wszystko Jego spojrzeniem" – pisał Franciszek we wstępie do „Amoris laetitia".

Identyczne podejście widać w wielu innych kwestiach. Ostatnio najbliżsi współpracownicy papieża zaczęli w ten sposób stawiać kwestię obowiązkowego celibatu duchownych. Zbliża się synod na temat młodych (a to oznacza, że także na temat powołań) i powoli staje się jasne, jaki scenariusz będzie podczas niego realizowany. Poprzednie dwa synody na temat rodziny zostały wykorzystane do dyskusji i rozmywania doktryny na temat nierozerwalności małżeństwa oraz homoseksualizmu, teraz – wszystko na to wskazuje – dyskutować będziemy nad… celibatem. Scenariusz jest – nie powinno to być zaskoczeniem – realizowany dokładnie tak jak poprzednio. Najpierw wezwanie do dyskusji najbliższych współpracowników papieża, potem niejasne wypowiedzi sugerujące możliwość zmiany samego Franciszka, a na koniec do akcji wkracza kard. Walter Kasper, który wyjaśnia, co papież ma na myśli. Teraz chodzi o zniesienie obowiązkowego celibatu w Kościele łacińskim.

Kardynał Kasper na ten temat wypowiedział się w wywiadzie udzielonym portalowi Kath.de w 60. rocznicę swoich własnych święceń kapłańskich. W wywiadzie tym mówił niezwykle pozytywnie na temat święcenia tzw. viri probati (mężczyzn wypróbowanych, żonatych) na kapłanów. Jego zdaniem istnieje „pilna potrzeba działania" w tej kwestii. Jak dotąd, choć chętnie o tym dyskutowano, nie było zgody Rzymu. Teraz, dodaje kardynał, Franciszek podkreślił, że można o tym myśleć, choć zaznaczył, że nie wiadomo, czy to kiedykolwiek się

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 23.04-25.06.2017 r. oraz 25.06 - 27.08.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 9c18f8eb3d

stanie. Według kard. Kaspera dyskusja na ten temat jest pilna, bo w wielu krajach zwyczajnie brakuje kapłanów. – Gdy ja byłem święcony, było 40 wyświęcanych tylko w mojej diecezji, teraz mamy 40 kandydatów do kapłaństwa w całym kraju – mówi kard. Kasper. Odpowiedzią na ten brak może być właśnie święcenie „viri probati". Nie należy się jednak spodziewać w tej kwestii decyzji Stolicy Apostolskiej. – Papież pozostawia decyzje Konferencjom Episkopatu – mówi kard. Kasper. A konkretniej chciałby, by to one złożyły propozycje, które później Watykan rozważy i ewentualnie zatwierdzi.

Nie jest to zresztą jedyna debata, którą bliscy współpracownicy papieża zapowiadają. Ostatnio nieoficjalny organ Watykanu, jakim pozostaje jezuicka „La Civiltà Cattolica" (której naczelnym jest o. Antonio Spadaro SJ, jeden z najbliższych współpracowników papieża Franciszka), ponownie otworzyła dyskusję na ten temat. Ojciec Giancarlo Pani SJ sugeruje, że decyzja o odmowie święcenia kobiet na kapłanki powinna zostać ponownie rozpatrzona, a być może uchylona. Powodem ma być zmieniające się miejsce kobiet w społeczeństwie i rodzinie. Zmiany te sprawiają, że ludzie nie są w stanie zrozumieć, zdaniem jezuity, jak może współistnieć w Kościele odmowa wyświęcania kobiet z uznaniem ich równej godności. A do tego wśród części wiernych istnieje niepokój o kapłaństwo kobiet. Jeszcze kilka lat temu za takie poglądy Kongregacja Nauki Wiary jasno i zdecydowanie upominała kapłanów, a gdy było trzeba, ostrzegała o możliwych konsekwencjach. Teraz opinie takie publikuje się w piśmie, w którym każdy tekst musi zostać zaakceptowany przez Stolicę Apostolską.

I nic nie wskazuje na to, by papież miał w tej sprawie w jakikolwiek sposób interweniować, bo, choć sam – o czym akurat mówił zupełnie otwarcie – jest przeciwnikiem święcenia kobiet i uważa tę sprawę za zamkniętą, to jednocześnie – by posłużyć się cytatem z „Amoris laetitia" – „przypominając, że »czas jest ważniejszy niż przestrzeń«, pragnę podkreślić, iż nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium".

Na pierwszy rzut oka w samej dyskusji nie ma oczywiście niczego złego (szczególnie jeśli chodzi o celibat, który jest tylko kwestią prawną, a nie doktrynalną, inaczej jest w przypadku kapłaństwa kobiet, bo to akurat uderza w wiele katolickich prawd), ale… warto mieć świadomość, że obok właśnie komunii świętej dla rozwodników i praw homoseksualistów to właśnie celibat był zawsze na krótkiej liście tematów Kościoła otwartego czy postępowo nastawionych katolików. Jego zniesienie było zawsze niezwykle wysoko w ich hierarchii autorytetów. A jakby tego było mało, co pokazuje w cytowanym już tekście ks. Longenecker, z tego typu debat, otwartości i „wspólnego przezwyciężania trudności" korzyści mają wyłącznie zwolennicy zmian.

TOLERANCJA AŻ DO OSTATECZNEGO WYTĘPIENIA KONSERWATYSTÓW

Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Idea „dwóch integralności" (swoją drogą papież często sugeruje, że istnieje napięcie między dwoma fundamentalizmami, z których jednym jest przesadne przywiązanie do tradycji czy norm moralnych, a drugim totalny relatywizm) opiera się bowiem w istocie na teorii możliwego współistnienia dwóch prawd, a to już czysty postępowy relatywizm. „Także w kręgu Kościoła katolickiego możemy znaleźć ideę, że »ja mam swoją prawdę«, a »ty masz swoją prawdę«, a tak naprawdę ważne jest to, byśmy nie tylko wzajemnie się tolerowali, ale też słuchali i dialogowali ze sobą" – podkreśla ks. Longenecker. I dodaje, że tego typu podejście trwa do momentu, gdy postępowcy nie dojdą do wniosku, iż wojnę już w jakiejś kwestii wygrali. Wtedy debata i dialog się kończą, a zaczyna się – by posłużyć się już naszym językiem – „dorzynanie", za pomocą liberalnych mediów, konserwatywnej watahy. Tak było, gdy anglikańskim biskupem mianowano przeciwnika święcenia kobiet ks. Philipa Northa. „Kampania medialna doprowadziła do jego rezygnacji. I tyle było z »dwóch integralności«" – podkreśla duchowny.

Każda inna metoda doprowadziłaby do wybuchu, niezadowolenia, być może nawet schizmy. Tak powolna kampania ma szansę przynieść efekty

Ta ostateczna eliminacja konserwatystów dokonuje się oczywiście pod pozorem braku ich dialogiczności, niechęci do wspólnego wędrowania, ewentualnie „mowy nienawiści", jaką rzekomo mają być przepełnione ich poglądy. „Postępowcy nauczyli się sprawnie odgrywać ofiary" – podkreśla duchowny. „Ich przeciwnicy są »okrutni« i »niewrażliwi«", „surowi, a do tego legalistycznie nastawieni" – dodaje. Sami postępowcy zaś „nigdy się nie gniewają, są najwyżej zasmuceni", „nigdy nie są agresywni, a jedynie odważni", „obca jest im także manipulacja, oni są jedynie ostrożni w wyrażaniu myśli". Przemycanie przez nich nowych idei, obcych ortodoksyjnej nauce, odbywa się zaś pod pozorem „szczerości". „Gdy pojawia się ten rodzaj języka, powinna nam się zapalić lampka ostrzegawcza" – podkreśla ks. Dwight Longenecker.

I niestety, gdy uważnie przyjrzymy się nie tylko językowi najbliższych współpracowników Franciszka, lecz także wypowiedziom papieskim, to… okaże się, że pojawiają się w nich dokładnie te same sformułowania. Franciszek nieustannie walczy z „legalistami" i „doktrynerami", a jego współpracownicy ostrzegają przed niechęcią do dialogu i debaty. I wiele wskazuje na to, że w ten sposób chcą oni głęboko zmienić doktrynę katolicką. Bez pośpiechu, bez naciskania, bez wykluczania inaczej myślących, lecz jedynie przez poszerzanie pola debaty, przekonywanie, że każdy pogląd może być katolicki, a jedyną niekatolicką postawą jest niechęć do dialogu i tolerancji. Każda inna metoda doprowadziłaby do wybuchu, niezadowolenia, być może nawet schizmy – tak powolna, ale jednocześnie konsekwentna kampania, która okraszona jest co jakiś czas mocnymi sygnałami, że nic się nie zmienia, ma szansę przynieść efekty w postaci tak oczekiwanej przez postępowców zmiany. A po kilku latach będzie ją bardzo trudno odwrócić. Jak bowiem wyjaśnić ludziom w Niemczech czy Argentynie, o Malcie nie wspominając, że dokumenty ich biskupów, które opierały się na interpretacji wypowiedzi Franciszka (których nikt publicznie nie prostował), są nieortodoksyjne i pozbawione znaczenia? Jak odebrać „prawo" do komunii świętej ludziom, którzy wcześniej je „otrzymali"? Jak bez (kontr)rewolucji odwrócić ewolucyjną zmianę zapoczątkowaną w wielu kwestiach za tego pontyfikatu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Buntownik – cwaniaczek

Rzeczywistość polityczna raczej mnie nudzi. Stary jestem, więc dużo już widziałem. Jednak przyznać muszę, że tupet Mateusza Kijowskiego to coś na swój sposób imponującego.

Do tej niezbyt wyrafinowanej konstatacji pobudziła mnie wieść, że lider Komitetu Obrony Demokracji wydaje książkę pod skromnym tytułem „Buntownik". Nie w Polsce jednak, bo – jak można wyczytać na stronie internetowej dzieła – rzeczywistość tutaj przypomina tę z czasów wczesnego PRL. Nie ma zatem innego wyjścia – trzeba wydawać poza oficjalnym obiegiem. „Buntownik" ujrzy światło dzienne w Londynie, tak jak „Kultura" ukazywała się kiedyś w Paryżu. Przeciętny bojownik o demokrację może ją kupić za głupich sześć funtów. Nieprzeciętny ma szansę nabyć wersję sponsorską za 250 funtów. Ciekawe, co w tym momencie zasponsoruje, bo nie jest to precyzyjnie wyjaśnione. Raczej nie dzieci Kijowskiego, które są zapewne głównym powodem tego emigracyjnego wybiegu.

Żenada? Owszem. Jednak jej skala robi wrażenie. A nawet swego rodzaju podziw. Oszwabić własne dzieci, nie płacąc im alimentów, umówmy się, jest łatwo. Wyciągnąć dziesiątki tysięcy złotych z byłych ubeków, którzy stali się aktywistami KOD, a potem pozować na kupionym za ich kasę motocyklu to – przyznajmy – kawalerka. A kiedy wydawało się, że machlojki finansowe wykończyły już Kijowskiego na amen, że facet robi za pośmiewisko, że na jego widok twarz w rękach ukrywa nawet Jacek Żakowski (który kiedyś dowodził, że w czasach zrywów narodowych dzieci też były zostawiane przez ojców), że kucyki zostały skompromitowane do roku 2300, że kolczyki wpadają w depresję na myśl, że mógłby je sobie zainstalować w uszach lider KOD, że psychologowie otwierają terapie dla tych, którzy zaufali Kijowskiemu… Wtedy właśnie facet wydaje książkę, którą nazywa nie „Cwaniaczek", nie „Geszefciarz", nie „Lepka łapka", nie „Alimenciarz", nie „Fakturiada", tylko „Buntownik". I żąda za nią 250 funtów. Co tu dużo pisać, po prostu: Wow!

Kariera – zdychająca, ale wciąż trwająca – Kijowskiego pokazuje z zapierającą dech dosadnością, dlaczego w Polsce z imponującą regularnością pojawiają się kolejni Dyzmowie. Z grubsza dlatego, że jesteśmy głupkami.

W czasach oryginalnego Dyzmy wystarczało zrobić wrażenie na garstce wpływowych ludzi i już można było robić za absolwenta Oxfordu. Dzisiaj, wobec rozbuchanych mediów i monstrualnej potęgi portali społecznościowych, trzeba otumanić nieco więcej ludzi. Niby wystarczyło się wczytać w to, co Kijowski mówi sam z siebie, by stwierdzić, że facet jest raczej cwaniaczkiem niż intelektualistą. A jednak – widziałem latem kobietę na spływie kajakowym, która machała flagą KOD i zagłuszając ptaki, wrzeszczała „Ki-jow-ski, Ki-jow-ski!!!".

Ciekawe, czy kupi wersję za 250 funtów? ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Dwie strategie

Przeciwnicy dobrej zmiany lubią wyciągać wszystkie możliwe rozbieżności, pęknięcia i napięcia w obozie zjednoczonej prawicy. Myślę, że problem nie zasadza się na osobistych animozjach naczelnika państwa ani jego ministra czy rywalizacji koncernu medialnego Sakiewicza i organu „braci mniejszych". Uważam, że istotą sporu jest wybór strategii na najbliższe lata.

Jedna grupa sądzi, że historyczna szansa może się nie powtórzyć, a więc należy już teraz dokonać wielkiego skoku, zdruzgotać patologie III RP, wymienić elity, osądzić przeszłość i po kolejnych wyborach... zapewne zejść do konspiracji.

To, co się podoba twardemu elektoratowi, niekoniecznie cieszy resztę

Koncepcja druga wspiera rewolucje w stylu soft, chce maksymalnie zjednywać sobie ludzi z różnych stron, tak aby w kolejnej czy nawet kolejnych kadencjach doprowadzić do trwałej budowy IV Rzeczypospolitej. A może nawet IV+.

Osobiście wydaje mi się, że jest to wybór z rodzaju „Myć zęby czy nogi?".

Jestem głębokim zwolennikiem syntezy obu strategii i to nie dlatego, że współpracuję z mediami całej prawej Polski.

Po prostu uważam, że obie strony mają część racji – trwała przebudowa Polski wymaga rewolucyjnych posunięć w trzech sferach: prawnej (od Trybunału Konstytucyjnego do KRS), armii i służb (tu trzeba byłoby chirurgicznie przeciąć wszelkie związki lub nawet możliwości związków z PRL i ościennym mocarstwem), wreszcie mediów.

Ponadto trzeba pamiętać, że to, co się podoba twardemu elektoratowi (którego wsparcie władza i tak już ma), niekoniecznie cieszy resztę. A tę łatwo spłoszyć, zniechęcić, odtrącić. Uważam, że w 2007 r. PiS przegrał, bo jego wrogom udało się skutecznie przerazić Polaków, wmawiając im, że walka z korupcją czy dekomunizacja dotkną praktycznie wszystkich. Gdybyż PiS dysponował wówczas skuteczniejszą kontrpropagandą, zamiast wierzyć, że wystarczy mieć rację!

Skądinąd mając nawet upragnione 51 proc. mandatów w Sejmie, na dłuższą metę nie da się rządzić bez jakiegoś modus vivendi z pozostałymi 49 proc.

Wizja Rzeczypospolitej silnej, suwerennej, bogatej, sprawiedliwej, rosnącej demograficznie, gospodarczo, kulturalnie może być porywająca, może za jakiś czas zjednoczyć naród. Jednak na realizację potrzebuje czasu, spokoju, minimalnego konsensusu.

I niech Bóg nas strzeże przed próbą wprowadzenia jej na siłę.

Tak zwane moralne zwycięstwo w mowie potocznej nazywa się klęską. ©℗

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Orbitujący Tusk

Łukasz Warzecha

To PiS stworzył okoliczności, które mogą zmobilizować Donalda Tuska do powrotu do polskiej polityki

Marzec 2017 r. Polska zgłasza swoje wotum separatum wobec wyboru Donalda Tuska na drugą kadencję na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej. Dzieje się to jednak bez większego rozgłosu. Tusk zostaje wybrany.

Rok 2019. W czasie kampanii przed wyborami parlamentarnymi Donald Tusk jest z rzadka przywoływany. Kilkakrotnie wypowiada się na Twitterze krytycznie o rządach PiS. Dopytywany przez dziennikarzy podczas unijnych szczytów nie kryje swojego krytycyzmu wobec obecnej władzy, ale pytany o ewentualny powrót do krajowej polityki, stwierdza, że nie ma takich planów. Sondaż pokazuje, że w rankingu rozpoznawalności Tusk spadł poza pierwszą piątkę.

Rok 2020. W Polsce wybory prezydenckie, Tusk kończy kadencję. Spekulacje na temat swojej ewentualnej rywalizacji z Andrzejem Dudą ucina w wywiadzie dla „Polityki". „Jestem politykiem spełnionym i spełnionym człowiekiem – mówi Jackowi Żakowskiemu. – Polskie życie polityczne tkwi w irytującej plemienności. Nie umiałbym się do niego znów dostosować. Po pięciu latach tutaj mam całkiem inną perspektywę i mnóstwo interesujących propozycji na dalszy ciąg. Powiem wprost: nie wracam do Polski i polskiej polityki".

Rok 2021. Tusk pracuje w renomowanej międzynarodowej firmie doradczej. Zarabia dziesiątki tysięcy euro miesięcznie, jeździ z wykładami po świecie.

OCZYWISTY WYBÓR

Taki lub podobny scenariusz mógłby się zrealizować, gdyby Tuskowi pozwolono popaść w zapomnienie. Konsekwencje jego wyjazdu do Brukseli z wyprzedzeniem idealnie opisał Jacek Krawiec, wówczas prezes Orlenu, w nagranej potajemnie i opublikowanej przez „Wprost" rozmowie z Pawłem Grasiem. „Ciężka decyzja, mówię, bardzo kusząca, bo to jednak idziesz w zupełnie inną orbitę, odseparowujesz się od tego wszystkiego, od tego syfu, k..., jesteś dużym misiem, odseparowujesz się od tego folkloru, od tego syfu" – perorował szef koncernu paliwowego. Znając charakter Donalda Tuska, można było spokojnie zakładać, że z tej „innej orbity" nie będzie chciał wracać do Polski, a o podtrzymanie tej decyzji zadba Grzegorz Schetyna.

Stało się jednak coś trudnego do zrozumienia: sam PiS stworzył okoliczności, które być może skłonią Tuska do powrotu i wzięcia udziału w wyścigu prezydenckim. Wielki powrót Tuska to oczywiście tylko hipoteza, ale już nie tak nieprawdopodobna jak jeszcze na początku tego roku.

Niezrozumiała dla większości Polaków – co pokazały sondaże – decyzja o stoczeniu całkowicie absurdalnej i z góry skazanej na przegraną wojny o pozbawienie Tuska drugiej kadencji w Radzie Europejskiej sprawiła, że polityk, który dotąd pozostawał na marginesie polskich sporów, znalazł się ponownie w ich centrum. Mało tego, nie tylko zdeklarowani przeciwnicy PiS, lecz także po prostu rozczarowani nową władzą mogli w nim ponownie zobaczyć godnego przeciwnika Kaczyńskiego. Jedynego, który byłby w stanie podjąć z nim walkę. A to daje Tuskowi dobry punkt wyjścia do startu w politycznej rywalizacji. W istocie bowiem Tusk – polityk na krajowej scenie zawsze sprawny, doskonały manipulator i partyjny kombinator – na tle mizerii Petru i bezbarwności Schetyny jawi się jako oczywisty wybór.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Gdyby na samym nieskutecznym zwalczaniu Tuska w strukturach UE miało się skończyć, to można by uznać, że mimo wszystko jest to rozdział zamknięty. Tak się jednak nie stało. Przewodniczący Rady Europejskiej został bowiem wezwany na przesłuchanie do warszawskiej prokuratury, a nie jest to prawdopodobnie przesłuchanie ostatnie i to nie tylko w tej sprawie. To nie dotyczy przecież bezpośrednio katastrofy smoleńskiej. A jest jeszcze komisja do spraw Amber Gold.

Jarosław Kaczyński stwierdził jakiś czas temu, że nie wiedział o tym, iż przewodniczący Rady Europejskiej został do prokuratury wezwany. Trudno w to uwierzyć, wziąwszy pod uwagę, jaką polityczną rangę ma ta sprawa oraz że prokuratura jest podporządkowana rządowi. Ten zaś faktycznie Kaczyńskiemu.

WSZYSCY PRZECIW PIS

Sposób, w jaki Tusk postanowił tę okazję wykorzystać, daje do myślenia. Nie jest przecież przypadkiem, że były premier, zamiast dyskretnie przylecieć samolotem i pojechać taksówką do prokuratury, sprowokował coś na kształt wiecu, robiąc ze swojego przesłuchania wielki spektakl, a jako pełnomocnika zatrudniając Romana Giertycha. Ten spektakl – owszem – z bliska przybrał groteskowy wymiar, bo Tuska witali w większości zwolennicy KOD, tworzący dość pocieszną gromadkę. To jednak nie ma większego znaczenia, bo w warunkach skrajnego podziału jedna strona zobaczy w tym wydarzeniu farsę, a druga – przybycie Andersa na białym koniu, całkiem niezależnie od faktów.

To zresztą tylko pierwsze wydarzenie w zapewne długim cyklu, warto zatem patrzeć na całość, na trend i szerszy obraz, a nie tylko na pojedynczy przypadek. Kolejne przesłuchania – choć nie jest wcale powiedziane, że Tusk będzie się na nie równie chętnie stawiał – ugruntują obraz, na którym Tuskowi zależy: oto wysokiej rangi urzędnik unijny, cieszący się poparciem wszystkich rządów oprócz polskiego, z powodu osobistej niechęci Kaczyńskiego jest w Polsce ciągany po prokuraturach, które przecież są dziś w pełni dyspozycyjne i sterowane przez ministra sprawiedliwości. Niewykluczone, że w którymś momencie, aby dodać dramatyzmu, Tusk z powodu kolejnego przesłuchania opuści jakieś spotkanie RE, narzekając, że polski rząd nie pozwala mu wykonywać obowiązków. W ten sposób, wykorzystując amunicję dostarczaną przez przeciwników, Tusk może się stopniowo umacniać na pozycji lidera obozu sprzeciwu wobec obecnej władzy, nawet jeśli faktyczne przywództwo pozostanie przy przewodniczącym PO.

Można by uznać, że to makiaweliczna gra, w której Kaczyński kolejny raz zmierza do maksymalnego spolaryzowania sceny politycznej i wyborców. To jednak bardzo wątpliwa teza. Polaryzacja i tak jest już bardzo duża, a Prawu i Sprawiedliwości grozi to, że obóz jego przeciwników wreszcie zacznie się jednoczyć pod sztandarem PO. Wciągnięcie Tuska z powrotem do krajowej polityki tylko ten proces ułatwi, nawet gdyby w tle był wznowiony konflikt pomiędzy nim a Schetyną. Taki konflikt nie jest zresztą wcale pewny, gdyby pomiędzy tymi graczami doszło do umowy: Tusk nie rusza partii, a w zamian w 2020 r. dostaje jej poparcie w walce o prezydenturę. Co prawdopodobnie znacznie bardziej odpowiadałoby jego obecnym potrzebom i temperamentowi niż angażowanie się w partyjne nawalanki.

To z kolei uprawdopodabnia scenariusz powyborczy na rok 2019 według schematu „wszyscy przeciw PiS" – rządu wielkiej antypisowskiej koalicji, nawet gdyby partia Kaczyńskiego ponownie wybory wygrała, nie zdobywając jednak większości.

Jest jeszcze jedna okoliczność sprzyjająca ewentualnej zmianie planów Tuska co do swojej przyszłości: Andrzej Duda jest w sytuacji znacznie trudniejszej niż Tusk, a wyścig o prezydenturę z przewodniczącym Rady Europejskiej byłby dla obecnej głowy państwa bardzo trudny i obarczony sporym ryzykiem przegranej. Tuskowi wystarczy, że połączy wszystkich przeciwników PiS szerokim antypisowskim przekazem – nic ponadto. Andrzej Duda zaś jest między Scyllą a Charybdą: z jednej strony nie może być nielojalny wobec własnego obozu politycznego, w którym trwa walka radykałów z pragmatykami (sam Duda zalicza się do drugiej grupy), z drugiej – musi jakoś zaznaczać własną niezależność, bo w przeciwnym razie poparcie dla niego będzie się ograniczało do wyborców PiS. A to za mało, żeby zwyciężyć.

W tle tej gry jest rywalizacja pomiędzy dwoma wspomnianymi frakcjami wewnątrz obozu władzy, ujawniająca się szczególnie wyraźnie przy okazji sporu o działania Antoniego Macierewicza. Frakcja „rewolucyjna" prze do rozwiązań radykalnych w wielu dziedzinach, nie licząc się z konsekwencjami i wychodząc z utopijnego, szkodliwego założenia, że można zbudować państwo tylko dla części Polaków, i to tej szczególnie zaangażowanej we wspieranie obecnej władzy. W tej grupie jednym z żelaznych postulatów jest „wsadzenie Tuska do pierdla". Nie trzeba szczególnej wyobraźni, aby pojąć, że postawienie przewodniczącego Rady Europejskiej przed sądem, o ewentualnym wyroku pozbawienia wolności nie mówiąc, zostanie przez wszystkie skonfliktowane z Polską środowiska – w tym wielu naszych zagranicznych partnerów – odczytane jako akt politycznej zemsty w erdoğanowskim stylu, z samego Tuska zrobi zaś ostatecznie bojownika o wolność, brutalnie prześladowanego przez kaczystowski reżim.

Druga frakcja to pragmatycy, którzy rozumieją, że brnąc w radykalizm, PiS systematycznie osłabia swoje szanse na powtórzenie zwycięstwa z 2015 r. Ta grupa, skupiona wokół wicepremiera Morawieckiego, szansę na dobry wynik wyborczy dostrzega nie w symbolicznych i zbędnych działaniach, takich jak walka z Tuskiem, ale w rozkręcaniu polskiej gospodarki i utrzymaniu wprowadzonych już socjalnych rozwiązań. Jedno z drugim jest ściśle powiązane, ale nie da się pogodzić z postulatami pierwszej grupy.

Czy Tusk już podjął decyzję w sprawie swojej politycznej przyszłości? Zapewne nie. Wytrawny polityczny gracz podejmie ją, gdy uzna, że ma po temu wystarczająco klarowne przesłanki. Na razie rządzący dostarczają mu zachęt, aby wyzwanie podjął.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Filip Memches

Ciemnogrodem nie są odmawiające Różaniec mohery, ale wrogowie Kościoła, którzy kierują się neopogańskimi przesądami, a uznają za oświecone elity

Powrót druidów

Polska znalazła się w szponach ciemnoty i wstecznictwa, przesądów i nieuctwa. Tak twierdzą politycy, publicyści, naukowcy, artyści, którzy od blisko 30 lat próbują – w swoim mniemaniu – przemienić Polaków w prawdziwych Europejczyków, w ludzi światłych i wolnych. Tymczasem to właśnie środowiska, dla których deklaratywnie najwyższymi wartościami są nowoczesność i postęp, okazują się w praktyce ich głównymi wrogami.

Sprzeczność? Nie, pomieszanie pojęć, o czym wystarczy się przekonać, obserwując tendencje, którym hołdują lewicowo-liberalne salony znad Wisły. Weźmy choćby najnowszy film Agnieszki Holland „Pokot" i wizję świata w tym infantylnym gniocie. Rzeczywistość jawi się tu wyłącznie w kolorach czarnym i białym. Postaci są rysowane grubą kreską, niczym w bolszewickiej broszurze propagandowej. Po stronie zła jest patriarchalna cywilizacja białych, heteroseksualnych mężczyzn, pozbawionych respektu wobec przyrody. Po stronie dobra sytuuje się kobieta traktująca zwierzęta niemal na równi z ludźmi i w imię sprawiedliwości dokonująca krwawej rozprawy z kłusownikami, wśród których nie brakuje księdza katolickiego. Ów chciwy proboszcz prowincjonalnej parafii jest w komitywie z podatnym na korupcję komendantem policji i przede wszystkim z narzucającym lokalnej społeczności swoje porządki antypatycznym nuworyszem.

Sama artystka – cytowana przez „The Guardian" – nieco żartem oznajmiła, że jej najnowsza produkcja to „anarchistyczna, feministyczna opowieść z elementami czarnej komedii" i że odczuwa satysfakcję, gdy ktoś zarzuca jej lansowanie ekoterroryzmu. Ponadto oświadczyła, że nie zamierzała robić kina politycznego, lecz – jak się, jej zdaniem, okazało – przeczuła to, co się w Polsce stanie. A według Holland stała się rzecz straszna: górę wzięła „męska autorytarna agenda", która za cel ataków obrała sobie prawa kobiet i przyrodę.

Sytuację polityczną w Polsce reżyser określiła mianem „kulturowej kontrrewolucji" uosabianej przez Jarosława Kaczyńskiego i przejawiającej się w takich inicjatywach PiS jak całkowity zakaz aborcji oraz zmiany prawne umożliwiające wycinkę lasów. Zajęciem, które urasta w oczach Holland do symbolu bieżącego stanu rzeczy, jest myślistwo: „Mężczyźni na polowaniu czują się swobodni – tak jak Donald Trump wśród swoich przyjaciół, gdy rozmawia z nimi o władzy i kobietach".

EKSPLOZJA PRZESĄDÓW

Może berlińska nagroda dla „Pokotu" to wyróżnienie nie tyle za film, ile za tego typu deklaracje polityczne. Dojście do władzy Kaczyńskiego w Polsce i Trumpa w USA, a wcześniej Viktora Orbána na Węgrzech, wywołało na Zachodzie wzmożenie wśród hołdujących ekologicznym przesądom tamtejszych lewicowo-liberalnych elit. A te bądź co bądź rozdają karty także w światowej kinematografii.

Oczywiście Holland pomija niuanse zadające kłam zawartym w jej opinii uproszczeniom. Myślistwo to pasja nie Jarosława Kaczyńskiego, lecz byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego. A prezes PiS znany jest z sympatii do zwierząt, a zwłaszcza do kotów. Popiera rozwiązania prawne zaostrzające kary za znęcanie się nad czworonogami.

Inna rzecz, że polska premiera „Pokotu" zbiegła się z nagonką na Jana Szyszkę. Minister środowiska stał się dla lewicowo-liberalnych salonów w Polsce wrogiem publicznym z powodu ustawy, która zezwala ścinać drzewa na własnej posesji. W kampanii przeciwko ministrowi środowiska zaczęli dawać o sobie znać różni wyznawcy Matki Ziemi. Uaktywniły się grupy, dla których zwierzęta i rośliny są równe ludziom.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Kadr z filmu „Pokot" Agnieszki Holland
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wywodzący się z kręgów „Gazety Wyborczej" i „Polityki" serwis OKO.press przedstawia pole jednego z toczących się w Polsce konfliktów następująco: „Spór o to, jak traktować las, a zwłaszcza ostatni w Europie las pierwotny, jakim jest Puszcza Białowieska, trwa między leśnikami a ekologami od zawsze. Pierwsi (wraz z miejscową ludnością) są zwolennikami permanentnej wycinki i prowadzenia tzw. gospodarki leśnej. Ekolodzy chcą ograniczyć do minimum wszelką interwencję człowieka".

Ten radykalny podział zaznaczył się w niedawnej debacie sejmowej nad wnioskiem PO o wyrażenie wotum nieufności wobec Jana Szyszki. Katarzyna Lubnauer z Nowoczesnej zarzuciła ministrowi środowiska, że jest „niszczycielem przyrody, zabójcą zwierząt i rzeźnikiem drzew". Skoro padły takie oskarżenia, to może trafnie Anna Siarkowska z koła poselskiego Republikanie nazwała krytyków rządu Beaty Szydło „sektą druidów", a Bartosz Jóźwiak z Kukiz'15 określił ich stanowisko mianem „druidyzmu postmodernistycznego".

KLĘSKA OŚWIECANIA

Tęsknota za druidami i innymi szamanami nieobca jest ewidentnie Holland. W tekście w „The Guardian" możemy się zapoznać ze swoistym credo reżyser. Holland powiedziała, że główna bohaterka jej najnowszego filmu reprezentuje kobiety w wieku ok. 55 lat – bardzo racjonalne, będące inżynierami lub uczonymi – odrzucające oficjalną religię, bo ta „stała się politycznie skorumpowana i ma mało wspólnego z Jezusem Chrystusem". Jednak – zdaniem artystki – w jakimś momencie u tych kobiet dochodzi do głosu potrzeba zaangażowania się w coś w rodzaju astrologii, jogi czy zen. Według Holland to pokolenie wierzyło w postęp i wolność, która nadeszła po upadku komunizmu, i w to, że może wziąć wszystko w swoje ręce, ale tę nadzieję straciło.

Czy to nie jest przyznanie się do klęski? Niesienie kaganka oświaty ciemnemu polskiemu ludowi miało przynieść rezultaty, za które pochwaliłaby Europa, ale się nie udało. Warto zapytać: Dlaczego? Odpowiedź być może zawiera się w ubiegłorocznym liście Marii Janion odczytanym na Kongresie Kultury Polskiej przez Kazimierę Szczukę.

Nestorka polskiego literaturoznawstwa wyznała: „Szczerze nienawidzę naszego mesjanizmu". A potem dodała: „Kultura państwowo-kościelna i – dodajmy – wojskowo-myśliwska czerpie z opozycyjnej piosneczki narodowej lat 80. [...] Naród, który nie umie istnieć bez cierpienia, musi sam sobie je zadawać. Stąd płyną szokujące sadystyczne fantazje o zmuszaniu kobiet do rodzenia półmartwych dzieci, stąd rycie w grobach ofiar katastrofy lotniczej, zamach na zabytki przyrody, a nawet – proszę się nie zdziwić – uparte kultywowanie energetyki węglowej, zasnuwającej miasta dymem i grożącej nadchodzącą zapaścią cywilizacyjną. Wspaniała książka »Polski węgiel«, wydana przez KP [Krytykę Polityczną – przyp. red.], dała mi wiele inspiracji do myślenia o aktualności holistycznej wizji »kuźni natury«, stworzonej przez niemieckich romantyków. Polski romantyzm: antropocentryczny, narodowy i chrystianistyczny skupiał się na czym innym. A szkoda".

Ta pochwała niemieckiego naturalizmu oznacza zwrócenie się ku neopogaństwu – także w wersji popkulturowej papki, którą stanowi New Age. Sentymentalny i zarazem bałwochwalczy stosunek do przyrody świadczy o duchowym i intelektualnym regresie ludzi aspirujących do roli wychowawców Polaków. Taki wybór czyni lewicowo-liberalne elity III RP bezsilnymi wobec wyzwań XXI w., które jednak wymagają czegoś więcej niż miłości do drzew i wiewiórek.

SALONOWY DRUIDYZM

Nowoczesność – jak można wnioskować z argumentów polskich mesjanistów – nie zaczęła się od oświecenia. To wydarzenia związane z narodzinami Jezusa Chrystusa spowodowały największą rewolucję w historii świata, a nie masakry w imię wolności, równości i braterstwa. Za sprawą chrześcijaństwa dokonał się właściwy postęp. Odczarowało ono przyrodę, zanegowało jej świętość, wskazało drogę przezwyciężenia jej fatalizmu. Jednak zarazem upomniało się o godność człowieka jako istoty stworzonej na obraz i podobieństwo Boga. I nadało dziejom ludzkości – w tym dziejom poszczególnych narodów – zbawczy sens.

Dlatego polski salonowy „druidyzm" XXI stulecia skierowany jest przeciwko i nowoczesności, i postępowi – przeciwko zawłaszczonym przez siebie pojęciom w ich głębokim, a więc także właściwym znaczeniu.

Zastanawiające jest tylko, jak Agnieszka Holland i Maria Janion godzą domaganie się prawa do aborcji z oddawaniem boskiej czci przyrodzie. Wyjaśnienie nasuwa się następujące: dziecka na dłuższą metę nie da się uprzedmiotowić, a psy i koty – owszem. Z tego punktu widzenia za wartość uchodzi tylko takie życie, które można podporządkować sobie i swoim emocjom. A skoro tak, to – zgodnie z wytycznymi eugeniki – nie ma miejsca dla ludzi, którzy są – jak ich nazwała podczas czarnych protestów pewna celebrytka – „bękartami" i „kalekami", natomiast trzeba położyć nacisk na kwestię praw czworonogów.

Tak więc okazuje się, że ciemnogrodem nie są odmawiające Różaniec mohery, ale wrogowie Kościoła, którzy kierują się neopogańskimi przesądami. „Kiedy człowiek przestaje wierzyć w Boga, może uwierzyć we wszystko" – te słowa Gilberta Keitha Chestertona okazują się po raz kolejny prorocze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą Polskiego Radia 24.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Jak się buduje trwałą

prof. Andrzej Nowak

Unia horodelska nie była – jak postrzega to część litewskich historyków – zawłaszczeniem Litwy, ale przymierzem krajów opartym na miłości

Powinniśmy pamiętać i z (za)dumą powtarzać słowa otwierające akt unii horodelskiej: „Wiadomo wszystkim, że nie dostąpi zbawienia, kto nie będzie wspierany tajemnicą miłości (misterio caritatis), która nie działa opacznie, lecz promieniejąc własną dobrocią, zwaśnionych godzi, pokłóconych łączy, odmienia nienawiści, uśmierza gniewy i daje wszystkim pokarm pokoju, rozproszone zbiera, znękane krzepi, szorstkie wyrównuje, krzywe prostuje, wszystkie cnoty wspomaga, nikogo nie krzywdzi, wszystko miłuje, tak że ktokolwiek w jej ramiona się ucieka, znajdzie bezpieczeństwo i nie będzie się obawiał niczyjej napaści. Przez nią prawa się tworzą, królestwa rządzą, miasta porządkują i stan rzeczypospolitej (status reipublice) do najlepszego końca dochodzi; ona wśród wszystkich cnót pierwsze miejsce zajmuje, a kto nią wzgardzi, wszelkie dobro utraci".

Misterium caritatis – tajemnica miłości: który związek polityczny w dziejach Europy wprowadzał takie rozważania? I który okazał się trwalszy od tego, na czterysta lat wiążącego unią Polskę z Litwą – z krajami europejskiego Wschodu? Jaka szkoda, że słów tego pięknego aktu nie uczy się już w polskich szkołach, że nie uczy się go w szkołach Unii Europejskiej, której tak głęboka duchowa preambuła więcej może by rokowała od technokratycznych formułek. Ktoś przypomni jednak, i słusznie, że unia w Horodle, zawarta 2 października

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Do dziś zachował się polski dokument aktu unii horodelskiej, litewski zaginął podczas II wojny światowej FOT. WSZECHNICA.TRYBUNAL.GOV.PL

unię?

1413 roku – po tak pięknym wstępie do aktu wystawionego przez szlachtę polską, w innym akcie, wystawionym przez króla Władysława i wielkiego księcia Witolda, przypominała surowo „wcielenie, wkorzenienie, przywłaszczenie, złączenie, przydanie, sprzymierzenie i na wieki złączenie” Litwy do Polski. A więc związek nierównoprawny? Miłość i podporządkowanie, zgoda i „przywłaszczenie”. Gdzie tu prawo głosu wolnego narodu? Wspominając po wiekach Horodło, zwłaszcza w dobie wojujących nacjonalizmów, w pięćsetną rocznicę tego aktu, część litewskich historyków wybierała z goryczą słowa o „wcieleniu, wkorzenieniu, przywłaszczeniu” jako istotę całej unii, zatruty owoc polskiej nienasyconej żądzy panowania, polskiego imperializmu. Strona polska szczyciła się szlachetną i bezinteresowną formułą „tajemnicy miłości” owej unii. By unię horodelską i jej rzeczywiście przełomowe znaczenie zrozumieć, trzeba zrezygnować z takich uproszczeń i wrócić do historycznego kontekstu jej powstania.

Jak słusznie przypomina część badaczy, w ślad za słowami aktu króla i wielkiego księcia, niezwykle ważne było w tej unii przypomnienie wciąż groźnego niebezpieczeństwa „wrogich najazdów i zdrad Krzyżaków i ich sprzymierzeńców oraz innych nieprzyjaciół, którzy ziemie Litwy i Królestwo Polskie starają się zniszczyć i knują ich zagładę”. Wielki mistrz von Plauen, który uratował Zakon po Grunwaldzie od całkowitej klęski, nie złożył przecież dyplomatycznego oręża. Rozdrażniony niekorzystnymi orzeczeniami cesarskiego sędziego-rozjemcy, Benedykta Makraia (ten miał nawet w gniewie rzucić pod adresem posłów krzyżackich znamienne słowa: niechaj królowie i książęta posiadają ziemię, Zakonowi wystarczyć powinien kawałek chleba…), był już gotów do protestu międzynarodowego. Nie chciał się pogodzić nawet z warunkami pokoju toruńskiego z roku 1411. To niebezpieczeństwo wymagało dalszego zacieśnienia polsko-litewskiego związku, a wspólna walka w ostatnich latach na pewno także bardzo temu sprzyjała. Przypomnienie w nowym, oficjalnym akcie ustalonej przecież już w pierwszej unii, w umowie z Krewa, zasady inkorporacji Litwy do Polski było znakomitym narzędziem dyplomatycznym: skoro Litwa (i Żmudź) są częścią chrześcijańskiej od dawna Polski, od wieków uznawanej za uczestniczkę europejskiej Christianitas – to jak można zwoływać krucjatę pod hasłem walki z pogaństwem litewskim czy żmudzkim? Nie ma formalnie Litwy, jest tylko Polska, która już od ćwierć wieku zajmuje się pokojowo nawracaniem „swoich wewnętrznych”, rzec można, pogan. I to z większymi od Zakonu sukcesami. Taki był podstawowy sens rzeczywiście mocno zaakcentowanej w akcie Jagiełły i Witolda zasady inkorporacji Litwy do Polski. Dyktowała go taktyka międzynarodowej rozgrywki dyplomatycznej tego ważnego momentu.

ZADBAĆ O PRZYSZŁOŚĆ

Ale nie tylko. Wspomnieliśmy, że akt ten wystawili wspólnie król Władysław i wielki książę Witold. Po raz pierwszy występowali na wspólnym dokumencie, na którym Witold użył tytułu „wielki książę” – magnus dux (Jagiełło zachowywał tytuł „księcia zwierzchniego” – supremus dux). Ostatnie lata były czasem ogromnego wzrostu prestiżu Witolda. Nie tylko wśród Litwinów, ale i wobec licznych jego polskich współpracowników, poddanych Jagiełły. Witold błyszczał nie jedynie na obrazie Matejki, ale również w historycznej rzeczywistości czasów Grunwaldu. Trzeba było na nowo sformułować zakres jego władzy, określić jego rangę inaczej, wyżej, niż to wynikało z dwanaście lat wcześniejszej formuły unii wileńsko-radomskiej. Tamta unia gwarantowała Witoldowi dożywotnią władzę na Litwie, faktycznie w roli lennika Władysława Jagiełły i Królestwa Polskiego. Witold już kilkakrotnie przed 1413 rokiem użył tytułu wielki książę. Unia horodelska utrwalała i legalizowała niejako ten tytuł, umacniając tym samym faktycznie państwowość litewską. Witold nadal nie miał jednak męskiego potomka. Jagiełło natomiast doczekał się ze związku z Anną Cylejską córki, która wiosną 1413 roku na zjeździe w Jedlni uznana została za dziedziczkę Królestwa. Skoro w procesie z Krzyżakami prokuratorzy Witolda i Jagiełły upominali się o prawa córek swoich panów, trzeba było i w stosunkach polsko-litewskich rozwiązać jakoś problem przyszłego spadkobrania wielkiego dziedzictwa. Polska miała dziedziczkę, a litewskie prawo zwyczajowe nie zakładało możliwości objęcia władzy przez kobietę – nowa sytuacja oznaczała, że po śmierci Jagiełły i Witolda może zabraknąć personalnego spoiwa unii. Stąd w 12 punkcie dokumentu wystawionego przez Jagiełłę i Witolda w Horodle pojawiła się następująca regulacja: „wspomniani baronowie i panowie Litwy po śmierci Aleksandra, inaczej Witolda, obecnego wielkiego księcia, nikogo innego nie będą mieli ani nie wybiorą na wielkiego księcia i pana Litwy, lecz tylko tego, kogo król polski lub jego następcy za radą prałatów i baronów ziem Polski i Litwy uznają za godnego wyboru”. Gdyby i w Polsce zabrakło legalnego spadkobiercy tronu (królewna Jadwiga miała dopiero 5 lat i nie musiała dożyć wieku „sprawnego”), wtedy także polscy panowie „nie powinni sobie obierać króla i pana bez wiedzy i rady naszej, to jest wielkiego księcia Aleksandra [Witolda] oraz panów i szlachty ziem rzeczonych litewskich”. A więc: w przypadku opróżnienia stolca wielkoksiążęcego lub tronu królewskiego OBIE strony polsko-litewskiego związku

eprasa.pl 9c18f8eb3d

otrzymywały prawo udziału w ELEKCJI. To było rzeczywiste zagwarantowanie prawa głosu reprezentacji narodowej – „panom i szlachcie” – nie tylko Polski, ale i Litwy.

Dokument wystawiony został w dwóch egzemplarzach, jak w traktacie międzypaństwowym: jeden dla Litwinów, drugi dla Polaków (niestety, zachował się tylko ten drugi, w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie; egzemplarz „litewski” zaginął w zawierusze II wojny światowej). Zaznaczona w nim „inkorporacja” została dosłownie zasypana idącymi zaraz za nią zmiękczającymi i zmieniającymi jej sens określeniami, takimi jak „połączenie”, „zjednoczenie”, „sprzymierzenie za jednomyślną zgodą naszą i braci naszych oraz za wolą i przyzwoleniem wszystkich panów, szlachty, wielmożów i bojarów tejże ziemi litewskiej”. Tylko ślepy na jedno oko nacjonalista mógł w XIX czy XX wieku odczytać wyłącznie hasło inkorporacji i nie dostrzec tego wewnętrznego i zewnętrznego kontekstu, który czynił w istocie z aktu horodelskiego dzieło subtelnej koncepcji umocnienia odrębności i podniesienia prestiżu Wielkiego Księstwa Litewskiego przy jednoczesnym zapewnieniu mu lepszej ochrony na arenie międzynarodowej i otwarciu perspektywy dalszego zbliżenia z Polską: nie przymusowego, ale dobrowolnego.

ADOPCJA HERBOWA

Akt królewsko-wielkoksiążęcy nadał wszystkim panom, szlachcie i bojarom Litwy (ale tylko katolickim) te prawa, którymi cieszyli się panowie szlachta w Królestwie Polskim, w tym najważniejsze: całkowitą swobodę dysponowania swoim majątkiem. Tworzył także „na wieczne czasy godności, dygnitarstwa i urzędy wedle tych, które są w Królestwie Polskim” – od wojewodów i kasztelanów wileńskich oraz trockich poczynając. Wreszcie, król i wielki książę podkreślali, że „panowie i szlachta Królestwa Polskiego i ziem Litwy będą odprawiali zjazdy i sejmy (convenciones et parlamenta), ilekroć tego zajdzie potrzeba w Lublinie albo w Parczewie lub w innych miejscach dogodnych za zgodą i wolą naszą dla większego dobra i pożytku Królestwa Polskiego i rzeczonych ziem litewskich”. Królestwo Polskie i Litwa są więc osobno – ale mają się spotykać i łączyć na wspólnych obradach, dla wspólnego dobra. Po unii wileńsko-radomskiej drugi, wielki krok w stronę jednego parlamentu, jaki ustanowiony zostanie ostatecznie w Lublinie w roku 1569, został uczyniony w Horodle w roku 1413. Żeby jednak istotnie zbliżyć nie tylko status prawny oraz system administracyjny obu części polsko-litewskiej wspólnoty i stworzyć podstawę do równoprawnego spotkania obywateli obu jej części – autorzy unii horodelskiej zaplanowali jeszcze rzecz bez precedensu w całej europejskiej praktyce prawnej: adopcję herbową, czyli przyjęcie 47 rodów bojarstwa litewskiego do tyluż rodów polskich. To miała być już nie tylko unia dynastyczna, administracyjna, ale unia dwóch politycznych narodów. Nie asymilacja, w żadnym razie (żadnych „asymilatorów” w XV wieku nie było), ale zbliżenie społeczeństw, a ściślej ich elit na gruncie prawa, obyczaju i w końcu rodowej/herbowej wspólnoty: to był cel, który wyrażały dwa akty wystawione na zjeździe w Horodle: akt szlachty Królestwa Polskiego dla panów litewskich oraz odpowiedź bojarów litewskich na ów dokument (akt polski, przekazany Litwinom, zaginął niestety w czasie II wojny, w Bibliotece Czartoryskich zachował się natomiast oryginał litewskiego dokumentu). To właśnie do deklaracji szlachty polskiej wprowadzały przytoczone wyżej słowa o „tajemnicy miłości”. Prawnie nic więcej nie da się pod tym hasłem uczynić, aniżeli przyjąć do rodziny, do „domu, rodu, herbu i klejnotu”. I tak właśnie postanowiono: do rodu Leliwitów (z którego wywodził się najpotężniejszy w Małopolsce Jan z Tarnowa) wszedł dom wojewody wileńskiego Moniwida; do Zadorów (z marszałkiem Zbigniewem z Brzezia) – dom Jawnuty Wolimuntowicza, wojewody trockiego; do Rawiczów (z kasztelanem krakowskim Krystynem z Ostrowa) – dom Michała Minigajły, kasztelana wileńskiego; do Lisów – dom Sunigajły, kasztelana trockiego; do herbu nowego arcybiskupa gnieźnieńskiego, Mikołaja Trąby – dom Krystyna Ościka, z którego wyjdzie ród Radziwiłłów, przyjmujący ten herb właśnie – Trąby. I tak dalej, i tak dalej, jak już krótko dalsze „pary” wymienia dokument: „Nałęcz z Koczanem, Łodzia z Miczusem, Jelita z Gerdutem, Korczak z Czupą”… aż po „Gerałta z Surgutem”. Jakby jedno wielkie weselisko.

Oczywiście nie ma co nad miarę tego horodelskiego ślubu idealizować. Wszyscy się od razu kochać nie musieli. Związki między niektórymi rodami były już wcześniej zadzierzgnięte. Inne pozostaną zawsze luźne. Ale po latach wspólnych bojów, zwłaszcza po wspólnym wielkim zwycięstwie grunwaldzkim – ten zwielokrotniony „mariaż” Polaków z Litwinami nie był na pewno jedynie pergaminowy. Dotyczył, tak jak nadane jednocześnie prawa i wolności, tylko katolików. To prawda. Jednak prawosławni upomną się wkrótce o swoje. Logika wolnego głosu wolność i własność ubezpieczającego ich wciągnie, jak to wkrótce zobaczymy. Ta logika właśnie, której brak zarzucił Mikołaj Cebulka krzyżackiemu panowaniu nad Żmudzią. W unii polsko-litewskiej, już w Wilnie w roku 1401 po raz pierwszy, choć jeszcze bardzo skromnie, wystąpili „społeczni” przedstawiciele strony litewskiej. Miejsce bojarów uwydatniło się jednak w międzyczasie w samej strukturze wewnętrznej państwa litewskiego, jak to najwnikliwiej przedsta-

O polsko-litewskiej unii przypomina kopiec usypany w Horodle w 1861 r.

FOT. WALDEMAR MALUGA/PAP

eprasa.pl 9c18f8eb3d

wia krakowska badaczka tego zjawiska, Lidia Korczak. W 1413 roku występują oni jako istotna reprezentacja swojej wielkiej ziemi – obok Witolda. Wielki książę, choć ich sobie jeszcze dobiera, to już nie mówi za nich. Horodelskie akty pomogą im w kształtowaniu własnej tradycji politycznej podmiotowości.

ARCHITEKCI UNII

Przedstawiwszy niezwykłe ustalenia zjazdu 2 października 1413 roku, musimy w końcu zapytać, jak do niego doszło. Kto mógł wymyślić tak zniuansowaną, tak zbalansowaną koncepcję podkreślającą zarazem wyodrębnienie Wielkiego Księstwa i jego jedność z Królestwem Polskim, koncepcję prowadzącą ku jedności narodu politycznego: polsko-litewskiego? Oczywiście największa zasługa spada na tych, którzy mieli w swoich rękach moc decydowania, a więc na Władysława Jagiełłę i Aleksandra Witolda. Przekonującą wizję drogi do Horodła przedstawiła ostatnio warszawska mediewistka, Maria Koczerska. Za nią więc powtórzmy, że najpewniej już 1412 roku, w czasie pobytu w Budzie, król Władysław zrozumiał potrzebę nowego ułożenia zasad unii, zaspokajającego ambicje Witolda i aktualną sytuację geopolityczną. Być może w czasie zjazdu z Witoldem nad Bugiem pod Hrubieszowem, w końcu września 1412 roku, a następnie w listopadzie na zjeździe z panami polskimi w Niepołomicach król mógł sondować najśmielszą ideę – adopcji herbowej. Po uzyskaniu zgody powiadomił Witolda i ten wskazał pół setki rodów bojarskich z Litwy, by rozpocząć dla nich przygotowanie pieczęci z godłami heraldycznymi. Do tego trzeba było kilku złotników. Cały ten czas urzędnicy kancelarii królewskiej (i wielkoksiążęcej także) pracowali już nad połączeniem wszystkich elementów nowej politycznej układanki, jaką stworzyć miała unia. Za właściwego autora samej myśli o adopcji herbowej wspomniana autorka uważa Mikołaja Trąbę. Niedawny podkanclerzy, jeden z najbliższych współpracowników Jagiełły, uczestnik przedgrunwaldzkiej rady wojennej, został w 1410 roku podniesiony najpierw do godności arcybiskupa halickiego, a po śmierci Mikołaja Kurowskiego został w roku 1412 arcybiskupem gnieźnieńskim. Osiągnął te najwyższe zaszczyty, choć był fatalnego – bo nieprawego – pochodzenia (przypomnijmy: naturalnym jego ojcem był ksiądz, scholastyk sandomierski, Jakub, ale adoptował go legalny mąż jego matki, sołtys z Okaliny, Wilhelm herbu Trąby). Specjalnej dyspensy papieskiej wymagały awanse Mikołaja na biskupie stolice. Sam uważał się za szlachcica, a zarazem – jak świadczą jego pieczęcie, unikające herbu Trąby – czuł dotkliwie, że nie należy w pełni do herbowego rodu. Rozumiał więc lepiej niż inni możnowładcy polscy, jak wyższej warstwie litewskich panów „musiał doskwierać w kontaktach z rycerstwem zachodnim brak w pełni wykształconych herbów". Dopiero uzyskane w Horodle „emblematy przynależności do stanu szlacheckiego umożliwiały bojarom litewskim traktowanie ich przez rycerstwo zachodnioeuropejskie zgodnie z ich wysokim statusem w Wielkim Księstwie". Autorka tego wywodu, profesor Koczerska, konkluduje: „adopcja bojarów litewskich do polskich rodów stanowiła drogę do okcydentalizacji Wielkiego Księstwa", której kierunek wskazały już chrzest Jagiełły w obrządku łacińskim i odrzucenie przezeń perspektywy chrztu w obrządku prawosławnym.

I na ten aspekt znaczenia Horodła także warto zwrócić uwagę. Szkocki historyk unii, Robert Frost, z wielkim wyczuciem kieruje jednak nasz wzrok na jeden jeszcze drobny, ale jakże znamienny szczegół. Oto w cytowanej przez nas wyżej arendze (czyli wstępie) do dokumentu adopcyjnego wystawionego przez polskich panów pojawia się pojęcie „rzeczypospolitej". To ona ma kwitnąć pod wpływem miłości, miłości wzajemnej swoich współobywateli, można by dodać w świetle tego dokumentu. Droga przez polską kulturę polityczną nie szła tylko, najogólniej rzecz biorąc, w stronę Zachodu (jak to od końca XVIII wieku dopiero nazywamy). Zachód niejedno ma imię. Droga przez Horodło prowadziła w stronę pewnego, kształtującego się już od dłuższego czasu w Polsce wariantu europejskiej, łacińskiej tradycji. To był „wariant" republikańsko-obywatelski, niekoniecznie wybierany w innych, dalej na zachód od Krakowa położonych księstwach i królestwach. To był wariant, w którym ważne są nie tylko herby, ale przede wszystkim zapisane w dokumencie Jagiełły i Witolda zaproszenie do wspólnych sejmów, do udziału w elekcji władcy, do odpowiedzialnego zabierania głosu w sprawie swojej politycznej przyszłości. W tym właśnie kierunku zaczyna być „wciągany" tworzący się polityczny naród Wielkiego Księstwa. A z niego wyprowadzona będzie w kolejnych dekadach i wiekach tradycja polityczna (w każdym razie ważna jej część) narodów-spadkobierców Wielkiego Księstwa: Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. To jest tradycja rzeczypospolitej, obywatelstwa, dobra wspólnego – tradycja, którą w stosunkach Królestwa Polskiego i Litwy otwarło i najsubtelniej połączyło właśnie Horodło, od niespełna 50 zaproszonych rodzin bojarskich poczynając.

Mikołaj Trąba odegrał w przygotowaniu tego splotu praktycznych koncepcji i wysokich idei istotną rolę. Pewnie także kanclerz Wojciech Jastrzębiec i królewski secretus notarius, czyli zaufany sekretarz – Stanisław Ciołek. Ten wykształcony w Pradze mistrz stylistyki łacińskiej, później głośny (a nawet skandalizujący) poeta, był na pewno najważniejszym redaktorem dokumentu monarszego wystawionego w Horodle. A za nimi stoi wysiłek intelektualny środowiska uniwersyteckich prawników z Krakowa, pewnie także pomoc takich urzędników-doradców wielkiego księcia, jak poznany już przez nas Cebulka. Kiedy wspominamy tę datę, 2 października 1413 roku, zatrzymujemy się przy nich wszystkich z szacunkiem. Tak jak powinniśmy z szacunkiem wspomnieć miejsce wielkiego polsko-litewskiego zjazdu, na którym owa unia się dokonała. Horodło, dziś skromna wieś nad Bugiem, na samej granicy Polski z Ukrainą, przez kilka wieków miasto na magdeburskim prawie założone, a w czasach Jagiełły pograniczny także zamek, nadany przez króla Siemowitowi IV mazowieckiemu, było miejscem spotkań polsko-litewskich. Jak to ładnie ujął autor hasła poświęconego Horodłu w „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego", to, co się tutaj, w roku 1413, wydarzyło, to „jedyny w dziejach przykład dobrowolnego zjednoczenia nieprzyjaznych przez wieki ludów, któremu historia jeszcze ściślejszego miała udzielić spoju". Bo spotkali się tutaj wyjątkowi ludzie, nauczeni już kompromisów między sobą – i spotkali się w wyjątkowym czasie, wyjątkowych okolicznościach, który tej unii sprzyjał. I ta unia, kontynuująca dzieło rozpoczęte w Krewie w roku 1385, trwać będzie aż do rozbiorów, łącznie 410 lat – dłużej niż jakakolwiek inna unia w dziejach Europy.

PROF. ANDRZEJ NOWAK
„DZIEJE POLSKI. 1340–1468", TOM III
BIAŁY KRUK 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Droga przez ciemną dolinę

Piotr Semka

Ten ruch społeczny ogarnął miliony Polaków. Dziesiątki tysięcy ludzi, działając na rzecz Polskiego Stronnictwa Ludowego na czele ze Stanisławem Mikołajczykiem, ryzykowało bezpieczeństwo, wolność, a często i życie

Polityk z Londynu dopuszczony do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w latach 1945–1947 wskutek nacisku USA i Wielkiej Brytanii został później pozostawiony samemu sobie przez zachodnich aliantów. Wszechpotężna z nadania Stalina, komunistyczna PPR w sojuszu z wykastrowanym PPS i marionetkowym Stronnictwem Ludowym niszczyła oraz terroryzowała PSL niemal od pierwszego dnia po powrocie Mikołajczyka do kraju.

Jest czymś zdumiewającym, jak bardzo ten masowy ruch społeczny z lat 1945–1947 został wyparty ze zbiorowej pamięci. Przegrał rywalizację z żołnierzami wyklętymi z wielu powodów.

Mikołajczyk zaakceptował reguły gry ustanowione przez komunistów i nie mógł w ich ramach wygrać. Na dodatek był mało charyzmatycznym politykiem, a symbolika ruchu ludowego nie porywała.

A jednak za tym ponaddwuletnim niepodległościowym ruchem społecznym stały dziesiątki tysięcy wielkich, średnich i małych bohaterów. Ludzi zabijanych i dręczonych przez UB oraz ośmieszanych przez gigantyczny aparat propagandy.

Ich epopeja niemal nie istnieje w zbiorowej świadomości. Powstały jedynie: tom wspomnień „W imieniu Kremla" Stefana Korbońskiego, o wiele mniej udane wspomnienia Mikołajczyka i kilka dość hermetycznych prac naukowych historyków po 1989 r.

Na pamięć o ruchu Mikołajczyka rzuciło się też cieniem czysto koniunkturalne przejęcie spuścizny powojennych ludowców przez postkomunistyczny PSL w 1990 r. Partia, która w epoce prezydentury Kwaśniewskiego głosowała w Sejmie przeciw cofnięciu emerytur ubeckich, pozowała na spadkobierców działaczy ludowych zamordowanych w katowniach bezpieki.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Prezydium Kongresu PSL w 1946 r. Po prawej Stanisław Mikołajczyk, nowo wybrany prezes Naczelnego Komitetu Wykonawczego FOT. CAF/PAP

Jednak wyparcie tamtej epoki z pamięci ma też charakter urazu starszych pokoleń. Czegoś, co przygniata swoją klęską tak dalece, że nawet po latach nie chce się o tym pamiętać.

To zapomnienie PSL wyraźnie męczyło od lat Piotra Zarembę, publicystę politycznego, z wykształcenia historyka. O niepodległościowych ludowcach pisywał na łamach „Rzeczpospolitej" i „Uważam Rze". Parę lat temu postanowił napisać o tamtych czasach powieść. Wyszedł bardziej reportaż historyczny pełen autentycznych źródeł, raportów UB, fragmentów stenogramów sejmowych. Ta chęć ocalenia od zapomnienia wielu mało znanych dokumentów rozdęła książkę aż do ponad 800 stron, co jej wyraźnie nie służy i zapewne ograniczy liczbę czytelników, którzy sięgną po tę pozycję. Wiele jednak wybaczam tej publikacji i zachęcam, by ruszyć wraz z autorem w tę gorzką podróż przez Polskę pierwszych powojennych lat.

GWAŁT W RUINACH

Tytuł „Zgliszcza" trafnie oddaje miejsce akcji tamtego dramatu. Na to społeczeństwo wyniszczone i wymęczone niemiecką okupacją spadła władza bezwzględnej maszynerii ekipy Bolesława Bieruta, ze swą zbrojną ręką – wszechwładną bezpieką. Groźną, sprawną i przede wszystkim bezkarną. Każdy protest przeciw jej działaniom jest odrzucany, każdy akt bezprawia tłumaczony na korzyść „uboli". U ludzi udręczonych przez wojnę natychmiast uruchamiało to stare nawyki.

„Buzie na kłódkę, bo to się źle skończy – poucza swoje domowniczki gospodarz jednego z domów na warszawskiej Pradze. – Całą wojnę cicho żeście były, a teraz się rozjadawiają. Pokorne cielę... Co, już nie pamiętacie, jak kacapy szukały mnie i Marysię? Nie będę znowu w piwnicy leżał".

Bezpieka z lubością wykorzystuje wojenne pokłady lęku, szczególnie u osób, które przeszły niemieckie kacety. Ubek Wład, który otrzymał pod swój nadzór sąd rejonowy na warszawskiej Pradze, próbuje zmusić do posłuszeństwa sędziego Stanisława Jarosza, grając na jego strasznych wspomnieniach obozowych. „Wład sięgnął do pasa do kabury. Wydobył z niej przesadnie wystudiowanym ruchem czarnego nagana z bębenkiem. Wycelował w głowę Jarosza.

– Stój prosto. Stillstanden! – ryknął, jakby wbrew swoim naturalnym warunkom. – Hände hoch! Hände hoch!, du polnische Schweine.

Jarosza od razu ogarnęło to poczucie chorobliwe, dojmujące: kompletna bezbronność, odbierająca siłę unoszonym ramionom. [...] Coś obrzydliwego, wilgotnego pełzło mu z odbytu w kierunku żołądka. Ciało! Znowu stawał się ciałem, mięsem".

Powojenny świat to mieszanka dawnych i nowych symboli. Zwykli obywatele tracą już orientację, co zostaje, a co znika. Oto pani Lechcicowa, żona inżyniera, we wrześniu 1945 r. egzaminuje córkę z wypracowania zadanego przez nauczycielkę, panią Masłowską, i z kwaśną miną słucha wywodów córki o krzywdzie klasowej i lepszym jutrze.

„– Mam nadzieję, że chociaż na 11 listopada każe się wam Pani Masłowska coś patriotycznego nauczyć.

– Ale 11 listopada to już chyba nie ma – wyraziła przypuszczenie Franka. – Kolega z pracy był w starostwie i słyszał.

– A 3 maja jest?

– Zobaczymy 3 maja".

Chociaż książka ma kilku bohaterów, których losy się zazębiają, to najważniejszym jest oczywiście Stanisław Mikołajczyk. Gdy przybywa w czerwcu 1945 r. do Warszawy, witają go gigantyczne tłumy. W Poznaniu tłum rozhuśtany entuzjazmem bierze na barki jego samochód. Wszyscy w PSL ciągle szepczą sobie, że przywiózł on z Londynu uzgodniony z Anglosasami scenariusz wyzwolenia Polski. Prezes Mikołajczyk swoją mrukliwością i tajemniczymi minami to wrażenie sprawnie podgrzewa.

„Mikołajczyk ma plan, w najmniejszych szczegółach. Niech pan pomyśli, chłopski syn, a jakżeż on rozmawia z tymi wszystkimi przywódcami po angielsku" – szepcze jeden z działaczy drugiemu.

CHŁOPSKI MOJŻESZ

Zaremba nie idealizuje swoich chłopskich bohaterów. Raczej pokazuje, jak wiejscy inteligenci w pierwszym pokoleniu szarpią się pod naciskiem PPR między idealizmem, którego nauczył ich ruch ludowy, a chłopskim realizmem, który każe nie zadzierać z silniejszymi.

Mikołajczyk i jego partia, wchodząc do jednego rządu z komunistami, znaleźli się w pułapce dwuznaczności. W czasie zebrania czołowych działaczy PSL jeden z liderów partii Stefan Korboński wylicza „monotonnym głosem, zerkając na bibułkę, domy, kamienice, magazyny, składy i stacje rozrządowe, gdzie poinstalowano więzienia, obozy, areszty i gdzie bito, zabijano bez litości".

Sędzia Jarosz porażony skalą terroru pyta: „– A te fakty wszystkie... Czy nie należałoby ich przedstawić jak najszybciej zagranicy?". Korboński odpowiada: „– No ale jak byśmy wtedy wytłumaczyli nasze miejsce, gdzie siedzi Prezes? Urzęduje na górze, a patrioci w piwnicy? I zresztą [komuniści] zniszczą nas w tydzień. Uwolnimy ich, jak dojdziemy do władzy.

Głos Korbońskiego, spokojny, precyzyjny, pewnie jak w czasach, gdy planował wojenne akcje, wydał się Jaroszowi odpychający. Mówił o zgodzie na zabijanie braci".

Jeśli PSL wydawało się, że są czymś lepszym, rozumniejszym od członków oddziałów leśnych, których Mikołajczyk potępiał z trybuny Krajowej Rady Narodowej, to UB szybko pokazał, że nie widzi różnic, i zabrał się do zabijania ludowców.

Początkowo przypadki bezczelnego, wręcz demonstracyjnego zabijania

eprasa.pl 9c18f8eb3d

działaczy PSL wywołują wzburzenie lidera. Wpada na posiedzenia rządu, aby domagać się nadzwyczajnych śledztw. Jednak szef bezpieki Stanisław Radkiewicz zawsze ma na podorędziu obietnice szczegółowego wyjaśnienia spraw, które szybko przyćmiewają kolejne skrytobójstwa. Mikołajczyk żyje jeszcze nadzieją na szybkie wybory i poparcie Polaków. Jednak i to komuniści odsuwają od niego coraz dalej. Najpierw doprowadzają do referendum „3 razy tak", które demonstracyjnie fałszują. A potem zaczyna się akcja zastraszania na całego. „Chłopski Mojżesz" odkrywa, że tłumy niegdyś wiwatujące na jego widok zaczynają traktować go jako symbol zawiedzionych nadziei. Wciąż ma nadzieję, że Moskwa w imię realizmu zechce żyrować ich legalne trwanie jako czynnik stabilizacji, ale to iluzje. Wychwytuje plotki o jakiejś pozytywnej wzmiance Stalina na swój temat. W kapitalnej scenie książki – na spotkaniu z amerykańskimi dyplomatami z udziałem Władysława Gomułki, szefa PPR – prezes PSL pozwala sobie na ryzykowny dowcip. Kpi, że gdy w kronice filmowej Stalin podaje rękę Rooseveltowi, Polacy w kinie krzyczą kpiąco: „Dawaj czasy!".

„Mikołajczyk przeraził się nagle. A jak Gomułka przekaże te śmichy-chichy Stalinowi?". W końcu nie ma co już się łudzić. Wybory w styczniu 1947 r. zostają sfałszowane, zachodni ambasadorzy rozkładają bezradnie ręce.

Moment ucieczki z Polski – i tym samym pozostawienie tysięcy działaczy PSL samym sobie – Zaremba opisuje bez taryfy ulgowej dla lidera.

Szef PSL rozmawia ze swoją sekretarką i kochanką Marią Hulewicz, wyjaśnia, że nie może jej zabrać ze sobą, i zaznacza, że decyzja o ucieczce nie jest jego pomysłem, tylko życzeniem Trumana.

„Pamiętaj, że ja tylko spytałem Amerykanów, to oni sami zdecydowali. [...] Nie prosiłem o możność uciekania. Nie prosiłem".

Zaremba puentuje: „Prosił, ale co to zmienia?".

W jednej z wcześniejszych scen Mikołajczyk mówi: „Chłopom nie pasuje męczeństwo". Być może. Jednak to uchylenie się od kaźni usunęło go z polskiego panteonu. A setki szeregowych ludowców zabitych przez UB znikają w mroku historii.

BARWA CZASU

Wyjątkową zaletą książki Zaremby jest wydłubywanie przez autora z pamiętników z tamtego czasu, z gazet i akt UB opowieści pozwalających poczuć kolor tamtego okresu.

Nie ucieka od tematu Żydów. Opisuje, jak Żydzi powracający po wojnie do miasteczka Ryki giną od skrytobójczych strzałów. Opisuje też jednak postać Eugeniusza Rosenbauma, członka PPR i kierownika Urzędu Kwaterunkowego na Pradze.

„Urząd wprowadził się mocą własnej decyzji do mieszkania pewnego małżeństwa na Środkowej, w tym momencie i tak już pełnego ludzi. Ludzie ci byli od tej pory właścicielami całej kamienicy. Rosenbaum zarekwirował jeden pokój, używał go tylko za dnia, ale zamykał na noc na klucz. [...] Ojciec rodziny, i tak mający niewiele do powiedzenia w swoim domu, oskarżył Rosenbauma o kradzież cukiernicy. [...] Wtedy kierownik kwaterunku zepchnął go ze schodów. Człowiek, który przeżył po Powstaniu pobyt w Sachsenhausen, złamał rękę, nogę i pięć żeber. Rosenbaum uderzył w twarz żonę i groził pistoletem świadkom". Rosenbaum zostaje najpierw zwolniony z aresztu przez zastraszonego przez UB sędziego, potem bezpieka wymusza wyznaczenie do rozprawy „swojego człowieka", a na koniec winy szefa kwaterunku objęte zostają amnestią. Casus Rosenbauma pokazuje, jak zwykłym ludziom nawet Żydzi na niskich stanowiskach jawili się jako reprezentanci nowej kasty nietykalnych urzędników, za którymi murem stał UB. Kto nie rozumie takich koincydencji, będzie jedynie zdumiewał się, jak ktoś po wojnie mógł krzywić się na ocalonych z Holokaustu.

Moment ucieczki z Polski Mikołajczyka – i tym samym pozostawienie tysięcy działaczy PSL samym sobie – Zaremba opisuje bez taryfy ulgowej dla lidera

Zaremba wplata w narrację dziesiątki anegdot i smaczków z epoki, takich jak np. dowcip, że premier Osóbka-Morawski ma w swoim mieszkaniu portret Stalina, ale niekiedy mu wygraża. Czerpie je z autentycznych opowieści oddających demoralizację wojenną – jak ta o katastrofie kolejowej pod Łodzią, po której okoliczni mieszkańcy rzucają się, by plądrować walizki ofiar wypadku.

Jest wreszcie Zaremba piewcą pamięci o swojej rodzinnej Pradze. W „Zgliszczach" opisuje powojenny koloryt ulic Stalowej, Czynszowej, Małej, Środkowej czy owianej złą sławą Strzeleckiej, gdzie straszyła katownia UB. To z nędznych praskich podwórek wywodzą się chłopcy ze straży PSL, która tak jak późniejszy premier Jan Olszewski będzie bronić siedziby ludowców przed napadami komunistycznych bojówek. I wreszcie ciekawe portrety członków komunistycznej elity. Agresywny Gomułka. Błyskotliwy strateg PPR Berman. Autor narusza wiele stereotypów. Lunę Brystigerową, w odróżnieniu od niedawnego filmu Ryszarda Bugajskiego, pokazuje nie jako rozdartą wewnętrznie tragiczną przedstawicielkę „heroizmu zła", ale jako sprawną architektkę systemu niewolenia milionów ludzi.

Czytając książkę, trudno uniknąć jeszcze jednego skojarzenia. Propagandy PPR przeciw PSL i dzisiejszego przemysłu pogardy TOK FM oraz „Gazety Wyborczej". Jacek Żakowski czy Wojciech Czuchnowski doskonale odnaleźliby się 70 lat temu w pamfletach na Mikołajczyka.

Powtórzę raz jeszcze – to nie jest lektura o samych herosach bez skazy. A jednocześnie ludzi mężnych nie brak na kartach powieści. To zwykli szarzy Polacy, którzy „zachowują się jak trzeba". To przypadkowa dziewczyna, której ścigany przez UB PSL-owiec powierza podpisy pod kandydaturami posłów PSL, i lista poprzez łańcuch odważnych osób trafia do centrali ludowców. To młodzi ludzie z Ryk, którzy widząc terror bezpieki, postanawiają iść do lasu, by zachować resztki godności za cenę uzyskania statusu ściganej zwierzyny.

Cała ta książka jest wreszcie rozważaniem o tym, jak złudne są pojęcia realizmu i romantyzmu. Jak realizm bywa ślepą uliczką, a walka jest niekiedy niezbędna jak haust świeżego powietrza w dusznym baraku. I że w tamtych latach nie było żadnych dobrych wyjść. Długie 870 stron. Bez przejścia przez tę książkę nie wyobrazimy sobie tamtej batalii o wolność – odległej w czasie, ale duchowo podobnej do rewolty Solidarności z lat 1980–1981.

PIOTR ZAREMBA „ZGLISZCZA. OPOWIEŚCI POJAŁTAŃSKIE" ZYSK I S-KA 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Sowieccy gwałciciele

Jednym z filmów historycznych, który wywarł na mnie największe wrażenie, jest „Róża" Wojciecha Smarzowskiego. Szczególnie w pamięć zapadła mi scena zbiorowego gwałtu dokonanego przez żołnierzy Armii Czerwonej na kobietach na terenie Prus Wschodnich. Nieszczęsne ofiary zostały ułożone rzędem na śniegu, a cała kompania sołdatów czekała na swoją kolejkę…

Taki tragiczny los spotkał setki tysięcy kobiet z Niemiec, Polski, Węgier i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które dostąpiły zaszczytu „wyzwolenia" przez Armię Czerwoną. Bolszewicy gwałcili nawet więźniarki obozów koncentracyjnych i swoje rodaczki wywiezione do Rzeszy na roboty. Nie przepuszczali kilkuletnim dziewczynkom i 80-letnim staruszkom. Był to jakiś zbiorowy, szaleńczy amok.

Książka „Dawaj czasy!" Stanisława M. Jankowskiego to wstrząsająca opowieść o tym przerażającym okresie. Autor dotarł do olbrzymiej liczby relacji świadków i ofiar sowieckich bezeceństw.

„Teraz znaleźliśmy schronienie w piwnicy naszej posiadłości klasztornej w Radogoszczy – pisała jedna z nich. – Jeden czerwonoarmista zamknął drzwi i uwięził nas. Byliśmy jeńcami Armii Czerwonej! Ogarnęła nas rozpacz. Zaraz z naszej grupy zostały zabrane na zewnątrz trzy kobiety, jak powiedzieli – do sprawdzenia dokumentów. To był rozdzierający serce widok, gdy krzyczące dzieci stały przed napastowanymi matkami. Ale one nie mogły pomóc. Byliśmy trzymani w szachu przez kolby karabinów. Dwie kobiety wróciły, szlochając, i opowiedziały mi, co je spotkało. Pełni obaw oczekiwaliśmy na Elizabeth Hoffmann. Ale ona nie wróciła…".

Odurzeni alkoholem czerwonoarmiści wyżywali swoją frustrację i strach na najbardziej bezbronnych. Gwałtom towarzyszyły grabieże, mordy i akty dewastacji na niespotykaną skalę. Symbolem tych przerażających czasów stały się zegarki ręczne. Sowieci rabowali je na skalę masową, wielu żołnierzy nosiło na nadgarstkach po kilka takich „wojennych trofeów".

„Około godziny 23.00 – wspominała Maria Bołkotowicz – do piwnicy weszli pierwsi żołnierze radzieccy. Rosjanie pozabierali wszystkim zegarki. Po około godzinie w schronie pojawiło się kolejnych trzech Rosjan. Gdy okazało się, że nikt z ukrywających się nie ma już zegarków, żołnierze ci zaczęli do nich strzelać. Maria Mocha została trafiona przez siedem pocisków w brzuch, w wyniku tych ran zmarła następnego dnia rano". ©℗

★★★★★★
STANISŁAW M. JANKOWSKI
„DAWAJ CZASY! CZYLI WYZWOLENIE PO SOWIECKU"
REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Socrealizm a szkoła polska

Epoka socrealizmu zapanowała w polskim kinie znacznie wcześniej niż w innych dziedzinach sztuki. Już w grudniu 1947 r. pojawił się na ekranach film Eugeniusza Cękalskiego „Jasne łany" z udziałem Kazimierza Dejmka, Jana Kurnakowicza i Andrzeja Łapickiego. Czego tam nie było! Pogrążona w odmętach bimbrownictwa wieś, bogaty i okrutny młynarz, bandy wrogów ustroju usiłujące zniszczyć transformator, a do tego zatruty alkohol, po którym miejscowi tracili wzrok, i dzielny nauczyciel wprowadzający nowe porządki oraz szczęśliwy finał: zdemaskowani i aresztowani sabotażyści, elektryfikacja wsi oraz ślub nauczyciela z miejscową dziewczyną.

Zdarzały się także filmy, które na stałe weszły do historii polskiego kina

Doktryna realizmu socjalistycznego trafiała również do filmów o ambicjach historycznych. W „Młodości Chopina" Aleksandra Forda kompozytor (Czesław Wołłejko) był niemal rewolucjonistą i bardziej interesował się polityką niż muzyką. Oczywiście nie mogło zabraknąć typowej dla socrealizmu tematyki, gdyż dzięki zapoznaniu się z nędzą wyzyskiwanych chłopów Frycek mógł pisać niezwykle przejmujące mazurki.

Powstała jednak stosunkowo niewielka liczba typowo socrealistycznych obrazów. Produkcja trwała dość długo (kilka miesięcy), a świat zmieniał się szybko. Zdołano jednak wyprodukować koszmarne „Dwie brygady", słusznie uchodzące za wzór kolektywnej pracy nad filmem. Scenariusz napisało trzech autorów, a do tego zatrudniono aż sześciu reżyserów. Z drugiej jednak strony kręcono także filmy o treści socrealistycznej, stosując przy tym sprawdzone przedwojenne metody. „Przygodę na Mariensztacie" ozdobiono chwytliwymi piosenkami Tadeusza Sygietyńskiego, dodając obowiązkową rywalizację dwóch ekip murarskich (żeńskiej i męskiej) oraz wątek miłosny wpleciony w socjalistyczne współzawodnictwo pracy.

Podobny zabieg zastosowano w komedii „Skarb", gdzie tematykę odbudowy Warszawy potraktowano z przymrużeniem oka, wykorzystując przy okazji talent komediowy Adolfa Dymszy i znakomitą piosenkę „Warszawa, ja i Ty".

Zdarzały się także filmy, które pomimo przestrzegania zasad obowiązującej doktryny na stałe weszły do historii polskiego kina. Należała do nich „Celuloza" Jerzego Kawalerowicza (premiera 27 kwietnia 1954 r.), będąca ekranizacją „Pamiątki z Celulozy" Igora Newerlego, „Pokolenie" Andrzeja Wajdy czy „Człowiek na torze" Andrzeja Munka. Ich pojawienie się na ekranach było zapowiedzią powstania słynnej polskiej szkoły filmowej, która niebawem miała święcić triumfy. I to nie tylko nad Wisłą. ©℗

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Wielki sułtan

Jacek Przybylski

Prezydent Turcji odniósł kluczowe zwycięstwo na drodze do uzyskania władzy absolutnej. Po kontrowersyjnym referendum kraj czekają najbardziej radykalne zmiany od czasów Atatürka

Dzień 16 kwietnia był zwycięstwem narodu, zwycięstwem całej Turcji – mówił tuż po ogłoszeniu wyników referendum w sprawie zmiany systemu parlamentarnego na prezydencki system rządów Recep Tayyip Erdoğan. Prezydent był zadowolony, chociaż według wstępnych wyników w referendum na „evet" (czyli „tak") zagłosowało 51,41 proc., a przeciwnego zdania było aż 48,59 proc. wyborców. W kraju liczącym ponad 75 mln mieszkańców o zmianie konstytucji przesądziło więc zaledwie 1,25 mln głosów.

Tureccy opozycjoniści przekonują, że duża część głosów mogła zostać sfałszowana. Również zdaniem austriackiej deputowanej z misji obserwacyjnej Rady Europy wynik głosowania mógłby być inny, gdyby nie liczne nieprawidłowości – Alev Korun oszacowała, że zmanipulowanych mogło zostać nawet 2,5 mln głosów. Chodzi m.in. o kontrowersyjną decyzję Najwyższej Komisji Wyborczej (YSK), która zgodziła się, aby ważne były zarówno koperty, jak i karty do głosowania bez oficjalnych pieczęci. Międzynarodowi obserwatorzy zwracają również uwagę na to, że zwłaszcza w mediach zdecydowanie dominowali sympatycy Erdoğana, tymczasem przeciwników poszerzenia władzy prezydenckiej niemal pozbawiono prawa do prezentacji poglądów.

Zwolennicy systemu prezydenckiego ostrzegali Turków m.in. przed zagrożeniem „sojuszem krzyżowców", pokazując spotkanie unijnych przywódców u papieża Franciszka. Na takie argumenty szczególnie podatni są m.in. mieszkańcy konserwatywnej prowincji oraz ci, którzy chętnie wróciliby do czasów imperium osmańskiego. Przeciwnicy systemu pre-

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Erdoğan

FOT. GETTY IMAGES

zydenckiego śpiewający „Marsz izmirski", zwolennicy laickiej i nowoczesnej Turcji zbudowanej przez Mustafę Kemala Atatürka dominowali zaś w trzech największych miastach: w Stambule, Izmirze i Ankarze. I to tam w zeszłym tygodniu odbywały się największe demonstracje przeciwko zmianie ustroju kraju.

ZAPACH WOJNY

Zgodnie z zatwierdzonymi w referendum zmianami prezydent będzie jednocześnie głową państwa i szefem rządu, a także – de facto – ministrem sprawiedliwości i obrony. Będzie więc mógł mianować członków własnego gabinetu (urząd premiera zostanie zlikwidowany) bez konieczności uzyskania zgody parlamentu, a także wysokiej rangi urzędników oraz sędziów. Będzie mógł też sprawować władzę za pomocą dekretów mających moc ustawy – ich obalenie przez parlament będzie niezwykle trudne, bo weto będzie możliwe tylko przy poparciu dwóch trzecich posłów. Przeciwnicy zmian w konstytucji argumentują więc, że w praktyce oznaczają one po prostu wprowadzenie dyktatury.

Oczywiście Erdoğan od lat i tak robił, co chciał, skupiając w swoich rękach władzę o wiele większą, niż sugerowałyby to zapisy konstytucji. Wyniki referendum budzą jednak ogromny niepokój: prezydent legalnie będzie bowiem sprawował zarówno władzę wykonawczą, jak i ustawodawczą oraz sądowniczą. Będzie więc nie tyle sułtanem – w imperium osmańskim musiał on jednak dzielić się faktyczną władzą z wielkim wezyrem – ile wielkim sułtanem, czyli de facto dyktatorem, który nie będzie odpowiadał przed nikim i przed niczym.

Turcy nie są przyzwyczajeni do jednowładztwa. Sprawa kompetencji muzułmańskiego prezydenta podzieliła ich więc najbardziej od wielu dekad. Atmosfera strachu i niepewności może grozić gwałtownymi protestami, a nawet wybuchem wojny domowej. I nie chodzi już tylko o toczoną na szeroką skalę walkę z Kurdami na południu i wschodzie kraju – Erdoğan zamiast załagodzić, na użytek wewnętrznej propagandy chętnie zaognił ten konflikt. Promowany przez władze w Ankarze „nacjonalizm islamski" doprowadził do nasilenia ataków terrorystycznych.

Wciąż rośnie ryzyko napięć między obozem składającym się z kemalistów (zwolenników ratowania resztek świeckiej demokracji, liberałów, sympatyków lewicy oraz części nacjonalistów) a konserwatywnymi i religijnymi zwolennikami Erdoğana oraz muzułmańskiego nacjonalizmu, marzącymi o budowie „nowej Turcji", przypominającej islamską dyktaturę. Na jej czele stanie człowiek, który w 1997 r. jako mer Stambułu publicznie cytował wiersz tureckiego poety Zii Gökalpa: „Meczety są naszymi koszarami, ich kopuły – hełmami, minarety – bagnetami, a wierzący – naszymi żołnierzami".

Prezydent Erdoğan, który od miesięcy publicznie przekonywał, że zwolennicy głosowania na „nie" to stronnicy terrorystów, sługusy Zachodu, zwolennicy zdrady i destabilizacji Turcji, szybko oficjalnie odrzucił zarzuty międzynarodowych obserwatorów. Zważywszy na to, że wszyscy członkowie YSK zostali mianowani przez rządzącą Partię Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), można było łatwo przewidzieć, iż szanse na to, że turecka opozycja przekona komisję do powtórzenia głosowania, są minimalne. 20 kwietnia YSK odrzuciła skargi ws. nieprawidłowości.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

W praktyce oznacza to, że od 2019 r. – gdy większość zmian ma wejść w życie i kiedy mają odbyć się kolejne wybory prezydenckie – Erdoğan będzie mógł sprawować niemal nieograniczone rządy do roku 2029 (jeśli będzie rządził przez dwie kadencje) albo nawet do 2034 r. (jeżeli zdecydowałby się wykorzystać kruczek prawny pozwalający prezydentowi ominąć ograniczenie do maksymalnie dwóch kadencji).

Eksperci ostrzegają też przed zgubnymi ekonomicznymi konsekwencjami skupienia całej władzy w rękach jednej osoby, nawet jeśli są to ręce Erdoğana, który w latach 90. zyskał popularność, stawiając na nogi turecką gospodarkę. Jak zauważył „Financial Times", prezydent tak bardzo prze do uzyskania pełni władzy, że wstrzymał m.in. reformy strukturalne, a także usunął z władz monetarnych osoby o poglądach innych niż swoje. Tymczasem już rok 2017 może być trudny dla tureckiej gospodarki. Wprawdzie Bank Światowy prognozuje, że wzrost gospodarczy wyniesie 2,7 proc., co oznacza delikatną poprawę (w 2016 r. wynosił 2,1 proc.), ale jeszcze w 2010 r. turecki PKB rósł w tempie ok. 9 proc. Do tego w zeszłym roku agencja ratingowa Moody's obniżyła poziom wiarygodności kredytowej Turcji do poziomu „śmieciowego".

MISS I FASZYŚCI

Recep Tayyip Erdoğan i jego zwolennicy jeszcze przed ostatnim referendum nie ukrywali, że nie zamierzają tolerować krytyki. Liczba ugrupowań uznawanych przez władze w Ankarze za „terrorystyczne" szybko się więc zwiększyła. Za „faszystów" zostały zaś uznane rządy w Berlinie i Amsterdamie – nie zgodziły się bowiem, aby Erdoğan i jego zaufani ludzie prowadzili wśród tureckiej mniejszości w ich krajach kampanię przed referendum. Mimo to przyszły sułtan może być zadowolony z tego, jak głosowali jego rodacy mieszkający w Europie. Za zwiększeniem uprawnień Erdoğana opowiedziało się 63 proc. głosujących w Niemczech, 71 proc. w Holandii, 73 proc. w Austrii, 75 proc. w Belgii oraz 65 proc. we Francji. Przeciwnicy zmiany systemu rządów na niemal autorytarne dominowali w Szwajcarii (sprzeciw wyraziło 62 proc. głosujących) i Bułgarii (gdzie „przeciw" było 71 proc.).

Ostra retoryka prezydenta, a także zamiar objęcia praktycznie autorytarnych rządów po kontrowersyjnym referendum sprawia, że drzwi do członkostwa Turcji w Unii Europejskiej wydają się już szczelnie zamknięte. Nie ma jednak co liczyć na to, że zachodni przywódcy uzależnieni od Ankary w obliczu kryzysu imigracyjnego oraz walki z Państwem Islamskim, zaczną otwarcie przyznawać się do swoich błędów (np. prezydent USA Barack Obama nazwał niegdyś rządzącego Turcją już od 14 lat Erdoğana „demokratycznym islamistą").

Wiedzą to też zresztą władze w Ankarze, które bez skrupułów od wielu miesięcy przeprowadzają wielką czystkę wśród przeciwników politycznych, nieposłusznych oficerów, nauczycieli i niepokornych dziennikarzy. Według raportu organizacji Reporterzy bez Granic właśnie w Turcji w 2016 r. do więzień trafiło ponad 100 reporterów i współpracowników mediów, przez co kraj stał się niebezpieczny dla dziennikarzy podobnie jak Chiny, Iran, Egipt czy Syria. Liczba reporterów, którzy znaleźli się za kratkami po lipcowej próbie zamachu stanu, wzrosła czterokrotnie. Poza aresztowaniami zdarzały się też tajemnicze „zaginięcia" dziennikarzy, np. 29-letniej kurdyjskiej dziennikarki Müjgan Ekin, która w październiku miała zostać zatrzymana przez policjantów po cywilnemu, po czym ślad po niej zaginął.

Dzięki zmianie konstytucji Erdoğan będzie mógł sprawować niemal nieograniczone rządy do roku 2029, a może nawet do 2034

Tureckie władze karzą jednak nie tylko za krytyczne publikacje w mediach. W ramach polowania na antyrządowe czarownice zastraszani i uciszani od lat są także naukowcy, a także zwykli mieszkańcy kraju, którzy ośmielają się zbyt głośno korzystać z „wolności słowa". W marcu tego roku na dwa lata, dziewięć miesięcy i 22 dni więzienia została skazana kurdyjska dziennikarka i malarka Zehra Doğan. Jej przestępstwo polegało na malowaniu obrazu przedstawiającego zniszczone przez turecką armię miasto Nusaybin, położone w kurdyjskim regionie kraju. Zdaniem prokuratury dzieło było dowodem na związki artystki z „kurdyjskimi terrorystami". Wcześniej, w maju 2016 r., wyrok 14 miesięcy więzienia w zawieszeniu na pięć lat usłyszała była miss Turcji. Merve Büyüksaraç wpadła w tarapaty, ponieważ udostępniła na portalu społecznościowym satyryczny wierszyk krytyczny wobec Erdoğana. Podobnych przypadków przez ostatnie lata były tysiące. Do aresztów za obrazę tureckiego przywódcy trafiali nawet uczniowie, jak choćby 16-latek, który w grudniu 2014 r. został wyprowadzony przez policjantów ze szkolnych zajęć. Chłopak ośmielił się nie tylko publicznie bronić sekularyzmu i zasad promowanych przez twórcę współczesnej republiki tureckiej Mustafę Kemala Atatürka, lecz także nazwał Erdoğana liderem przemocy, łapówek i korupcji. Aresztowanie z takiego powodu ucznia liceum już wówczas było sygnałem alarmowym, pokazującym, w którą stronę będzie podążał islamski rząd.

Walkę z przeciwnikami prezydenta ułatwia przedłużony w zeszłym tygodniu stan wyjątkowy, który po raz pierwszy został wprowadzony po nieudanym puczu w lipcu 2016 r. I chociaż teoretycznie miał on ułatwiać wojnę z terrorystami, to szacuje się, że po jego wprowadzeniu pracę straciło ponad 120 tys. osób, a ponad 50 tys. trafiło za kratki. Ośmielony „historycznym zwycięstwem" w referendum prezydent zapowiedział już kolejne: tym razem w sprawie przywrócenia w Turcji kary śmierci. To zaś narazi Ankarę na problemy nie tylko z UE, lecz także z Radą Europy.

Wbrew zapowiedziom Erdoğana trudno się spodziewać, by nad Bosforem nastały czasy stabilności. Przeciwnie. Jego osoba wywołuje niezwykle ostre podziały wśród Turków, a opozycja jest jednak zbyt słaba i za bardzo podzielona, by zatrzymać prezydencki marsz po władzę absolutną. Niewielki wpływ na tureckiego przywódcę ma również Zachód: apele europejskich elit o zmianę polityki Ankary sprawiają bowiem, że Erdoğan chętnie sięga po antyzachodnią retorykę. Za nieprzyjaciela uznawane są nawet Stany Zjednoczone. Waszyngton konsekwentnie odmawia bowiem wydania Ankarze Fethullaha Gülena, którego Erdoğan uznaje za wroga numer jeden. Turcję, USA i UE czekają więc lata napiętych stosunków. Cieszyć się z nich będą najważniejsi rywale Ankary: władze w Moskwie i Teheranie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

FOT. GETTY IMAGES

JOHAUG BOGATSZA BEZ PRACY

Jest sposób na zarabianie milionów, i to w zasadzie bez pracy. Trzeba tylko być biegaczką narciarską i zostać zdyskwalifikowaną na 13 miesięcy. Dokładnie taką karę wymierzono Therese Johaug. Norweżka za wykryty u niej doping (stosowała krem do ust, na którym było wyraźne ostrzeżenie, że zawiera substancje zakazane dla sportowców) nie mogła startować w ostatnim sezonie. Okazało się, że wartość marki Johaug wystrzeliła w górę po decyzji o zawieszeniu – a to przełożyło się na sprzedaż projektowanej przez narciarkę odzieży sportowej. Therese Johaug w sezonie, w którym była wykluczona ze startów, zarobiła wielokrotnie więcej niż jej rywalki, które ścigały się na nartach. Sezon bez nart przyniósł jej 1,1 mln euro.

ZAKAZANY KRZYŻYK NAUCZYCIELKI

Nauczycielka z państwowej szkoły w berlińskiej dzielnicy Wedding otrzymała zakaz noszenia do pracy łańcuszka z krzyżykiem. Sprawę opisał „Berliner Zeitung". Władze placówki znajdującej się w wielokulturowej dzielnicy powołały się na ustawę o neutralności – ta zakazuje policjantom, pracownikom wymiaru sprawiedliwości i nauczycielom oraz urzędnikom landowym noszenia symboli religijnych. Do tej pory te przepisy regulowały głównie noszenie muzułmańskich chust, sprawa krzyżyka jest precedensowa. Przepisy zakazujące symboli religijnych jednocześnie dopuszczają ich noszenie, gdy te mają charakter ozdoby. Na zakaz udzielony berlińskiej nauczycielce zareagowały władze Kościoła ewangelickiego.

KIBICE W BURKACH

Poprawność polityczna czasem wychodzi bokiem. Wyszła tak właśnie Szwedom. Od marca w tym kraju zaczął obowiązywać zakaz zakrywania twarzy przez kibiców piłkarskich na meczach. Cel był jak najbardziej słuszny – ograniczenie stadionowego chuligaństwa. Wszystko by się udało, gdyby nie to, że Szwedzi bardzo dbają o to, by czasem niechcący nie „represjonować" muzułmanów. No i nowy zakaz nie objął wyznawców islamu, wśród których są kobiety noszące burki. Fani AIK Sztokholm skwapliwie ten przywilej wykorzystali i na meczu ich drużyny z Hacken pojawili się w nakryciach muzułmańskich kobiet. Na transparencie napisali, że chodzą w tych strojach ze względów religijnych i podziękowali za tę możliwość szefowi MSW Andreasowi Ygemanowi.

BERLUSCONI Z OWCAMI

Dla politycznego zysku politycy gotowi są na wiele. Również na wspieranie wypierania dawnych tradycji. We Włoszech na sile przybrała moda na wegetarianizm i odchodzenie od tradycyjnego serwowania jagnięciny w czasie świąt Wielkiejnocy. Były premier Silvio Berlusconi zaangażował się w kampanię „W Wielkanoc wybierz życie". 80-letni polityk wystąpił m.in. w klipie, w którym pokazano pięć jagniąt wykupionych przez niego i w ten sposób ocalonych od przerobienia na jedzenie. Berlusconi jagnięta przytula i całuje oraz karmi z butelki. Co zjadł na Wielkanoc, nie ujawniono.

1,4 MLN EURO W FONTANNIE

Ci, którzy wiedzą, że nie dorobią się fortuny i przestali już nawet wierzyć w wygraną w Lotto, mają jeszcze szanse spełnić marzenia. Wystarczy pojechać do Rzymu z maską do nurkowania. W rok można zostać milionerem. Trzeba tylko uprzedzać ludzi z Caritasu, którzy na mocy umowy z władzami włoskiej stolicy mają prawo do wyławiania pieniędzy z Fontanny di Trevi (te trafiają potem jako pomoc do ludzi biednych). W ubiegłym roku słynna fontanna przyniosła zyski większe niż kilka znanych rzymskich muzeów – suma wyłowionych monet opiewała na 1,4 mln euro. Była większa o 100 tys. euro niż rok wcześniej. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Teresa Stylińska

Ulster, Brexit i krokodyl

Odłączanie Wielkiej Brytanii od UE wznieciło myśli o zjednoczeniu Irlandii. Czym to się może skończyć?

Jeżeli karmi się krokodyla, to nie ma się co dziwić, że wraca, domagając się coraz więcej – te słowa Arlene Foster, premier ostatniego rządu Irlandii Północnej, który upadł w styczniu, zrobiły zawrotną karierę. Nieczęsto się zdarza, by osoba kierująca rządem w tak zjadliwy sposób oceniała swego partnera. W roli nienasyconego krokodyla obsadzona bowiem została nacjonalistyczna partia Sinn Féin, najważniejsze ugrupowanie północnoirlandzkich katolików, współrządzące prowincją wraz z partią pani Foster – protestancką Demokratyczną Partią Unionistyczną (DUP).

Wypowiedź, która padła podczas kampanii przed niedawnymi wyborami do regionalnego parlamentu, miała skutki dwojakie. W kategorii zabawnych mieści się nowa rola krokodyla, który stał się nieomalże symbolem Sinn Féin. Jest też skutek poważny: to bardzo dobry wynik wyborczy tej partii, która zdobyła 27 mandatów, tylko o jeden mniej niż DUP. Arlene Foster, przepraszając za swą lekko rzuconą uwagę, przyznała nie bez żalu, że mogła ona przysporzyć głosów Sinn Féin.

Równy rozkład sił nie wróży jednak prowincji najlepiej. Cóż z tego, że obie główne partie mają razem ponad połowę mandatów w 90-osobowym Zgromadzeniu Ustawodawczym, skoro ich cele są fundamentalnie rozbieżne? Przez ostatnich 10 lat, czyli od czasu ostatecznego ukonstytuowania się władz Irlandii Północnej – po burzliwym okresie, gdy rządy autonomiczne przeplatały się z przywracaniem bezpośrednich rządów Londynu – ich współpraca układała się nadspodziewanie dobrze. Problem w tym, że perspektywa Brexitu bardzo wiele zmieniła nie tylko w odniesieniu do Szkocji i Gibraltaru, lecz także w Irlandii Północnej. Po raz pierwszy od bardzo dawna odżywa bowiem kwestia zjednoczenia podzielonej wyspy.

Przez wiele lat Irlandia Północna – czy Ulster, jak wolą mówić protestanci –

Liderka Demokratycznej Partii Unionistycznej Arlene Foster i jej zastępca Nigel Dodds

FOT. NIALL CARSON/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9c18f8eb3d

niemal nie schodziła z łamów prasy. Gdy skończył się czas terroru, zainteresowanie opadło. Jednak od początku tego roku wydarzenia niespodziewanie nabrały tempa.

Najpierw, na znak protestu przeciwko kosztownemu projektowi zachęt finansowych do stosowania odnawialnych źródeł energii, do dymisji podał się wicepremier Martin McGuinness z Sinn Féin. Jego odejście pociągnęło za sobą upadek rządu i w konsekwencji rozpisanie wyborów, które odbyły się na początku marca. Wkrótce potem McGuinness zmarł. Śmierć człowieka, który z terrorysty numer jeden stał się głównym negocjatorem w rozmowach pokojowych i wielkim orędownikiem pokoju, spowodowała istny zalew wspomnień, kondolencji oraz komentarzy, wyrazów uznania i słów krytyki, a także pytań o to, czy przemiana McGuinnessa była szczera, czy raczej podyktowana względami taktycznymi – bo terror spełnił swe zadanie i przyszedł czas na przyjęcie strategii pokojowej.

Tworzenie rządu w Irlandii Północnej bywa zadaniem niełatwym, tym razem jednak z paru powodów (o których dalej) jest jeszcze trudniejsze niż zwykle. W takiej sytuacji władzę zazwyczaj przejmuje Londyn. Rząd Theresy May, zajęty ważniejszymi sprawami związanymi z Brexitem, wolałby jednak tego uniknąć. Tym razem partiom Ulsteru dano więcej czasu na rozmowy, ustalając termin ich zakończenia na 18 kwietnia. Co będzie później, nie wiadomo.

Politycy północnoirlandzcy muszą rozstrzygnąć dwie arcytrudne sprawy. Pierwsza to postulowane przez Sinn Féin przyznanie językowi irlandzkiemu statusu oficjalnego języka Ulsteru. Arlene Foster i jej partia zdecydowanie to odrzucają. Druga sprawa jest jeszcze trudniejsza: chodzi o to, co nazywane jest w Irlandii umownie „spuścizną czasów konfliktu". Sprowadza się ona do pytania: Czy należy ścigać tych, którzy ponoszą winę za akty terroru, i w jaki sposób można wymierzyć im sprawiedliwość? Jest aż nadto oczywiste, że wyciąganie spraw, w których racje obu stron nigdy nie dadzą się pogodzić, mogłoby całkiem zrujnować szanse na współpracę.

MARZENIE POKOLEŃ

Tymczasem najważniejsze może się okazać to, co dopiero, bardzo nieśmiało, się zarysowuje. To zjednoczona Irlandia: marzenie pokoleń, przez dziesięciolecia nieziszczalne, a mimo to – czy może właśnie dlatego – warte każdej ofiary. Marzenie okupione krwią tysięcy ludzi, od tych, którzy zginęli w wojnie o niepodległość u progu lat 20., do ofiar krwawego konfliktu z lat 1966–1998. Porozumienie pokojowe, zawarte w Wielki Piątek 1998 r., mówi o możliwości zjednoczenia, obwarowując je jednak konkretnym warunkiem: głosowanie w tej sprawie będzie mogło się odbyć dopiero wówczas, gdy będzie to życzeniem większości mieszkańców prowincji. Ten warunek nie jest jeszcze spełniony, bo referendum – jak wynika z badań przeprowadzonych pod koniec ubiegłego roku – życzy sobie dzisiaj 40 proc. z nich.

Przypomnijmy, że gdy rodziła się wolna Irlandia, w jej skład weszło tylko 26 z 32 hrabstw. Kryterium podziału stanowiła religia. Sześć hrabstw Ulsteru pozostawiono w obrębie Zjednoczonego Królestwa, bo wśród mieszkańców dominowali protestanci – potomkowie dawnych osadników ze Szkocji (dwie trzecie ludności, ok. 1 mln osób). Podział stał się zarzewiem konfliktu, który z wielką siłą wybuchł w połowie lat 60. Do głosu doszły ugrupowania paramilitarne – po stronie katolickiej Irlandzka Armia Republikańska (IRA), po stronie protestanckiej kilka mniejszych, ale bardzo aktywnych grup, takich jak Bojownicy o Wolność Ulsteru (UFF). Gdy jednak okazało się, że „strategia karabinu" nie przyniosła pożądanego efektu, nadszedł czas na „strategię urny", jak ją określili przywódcy IRA i Sinn Féin.

Po porozumieniu wielkopiątkowym wydawało się, że miną lata, zanim wróci kwestia zjednoczenia Irlandii. Idea zjednoczenia wygasała po trosze samoistnie, zwłaszcza w republice, która pod koniec lat 90. nieoczekiwanie wkroczyła w okres rozkwitu gospodarczego. Jej mieszkańcy, jak to bywa, zajęli się dyskontowaniem świeżo zyskanego dobrobytu, tracąc z pola widzenia ważne niegdyś sprawy. Myśl o zjednoczeniu przetrwała żywa na północy, gdzie katolicy czuli się niemal jak żołnierze na froncie, strażnicy wiary i obrońcy sprawy narodowej.

I oto pojawiło się widmo Brexitu. Większość (blisko 56 proc.) mieszkańców Irlandii Północnej odłączenia od UE nie chce. A skoro chcą żyć w Unii, to drogą najbardziej naturalną wydaje się skorzystanie z pomocy Irlandii, na razie w formie irlandzkiego paszportu, bo porozumienie pokojowe prawo do posiadania go daje wszystkim mieszkańcom wyspy. Z tej możliwości chce dziś skorzystać niejeden ulsterski protestant, choć jeszcze niedawno nikt by w to nie uwierzył. Brexit sprawił, że myśl o zjednoczeniu Irlandii przestała być dla jednych odległa, dla innych abstrakcyjna. Co więcej, takie nastroje dają o sobie znać również w republice. Partia Fianna Fáil, jedno z dwóch głównych irlandzkich ugrupowań, dziś w opozycji, ujawniła, że pracuje nad „Białą księgą" w sprawie zjednoczenia.

NA POLU MINOWYM

Faktem jest, że w związku z Brexitem Irlandia Północna ma powody do obaw. Dotyczą one gospodarki, a także swobody poruszania się i podejmowania pracy po drugiej stronie granicy, w republice. Co przełożone na język konkretów oznacza możliwe zmniejszenie inwestycji zagranicznych, ponowne przedzielenie wyspy granicą i przywrócenie kontroli przy jej przekraczaniu. Pesymiści wieszczą, że gdyby ktoś niezadowolony z takiego obrotu rzeczy zaatakował posterunki graniczne, mogłoby to być iskrą, przez którą terror rozgorzałby na nowo.

Równie ważne jest to, że znalazłszy się poza UE, Ulster straciłby prawo do funduszy, które dostaje nie tylko na wsparcie gospodarki, lecz także na utrzymanie pokoju. To ok. 425 mln funtów rocznie.

Katolicy i protestanci nadal żyją osobno. Wejście w te trudne kwestie jest jak poruszanie się po polu minowym. Doświadczył tego brytyjski dziennikarz Peter Taylor, znawca spraw Ulsteru, gdy w niedawnej audycji radiowej, porównując IRA do terrorystów islamskich, zauważył, że choć z jej rąk zginęło wielu cywili, ich śmierć była dziełem przypadku, a nie celowej taktyki. Jego słowa wywołały istną burzę. Z niewiarą traktowane są deklaracje eksterrorystów, gdy ci – tak jak Gerry Adams, przywódca Sinn Féin – obiecują, że przed komisją prawdy, jeśli taka powstanie, opowiedzą wszystko o swej przeszłości. Czas na prawdziwe zaufanie jeszcze, jak widać, nie nadszedł.

W jakim kierunku rozwinie się sytuacja w Ulsterze, jaka będzie kolejna „odsłona dramatu", okaże się po przyspieszonych wyborach do Izby Gmin, które premier Theresa May niespodziewanie zapowiedziała na 8 czerwca. Wobec sprzeciwu, jaki wobec wyjścia z Unii zgłaszają Partia Pracy, Liberalni Demokraci i Szkocka Partia Narodowa, są one, jej zdaniem, konieczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

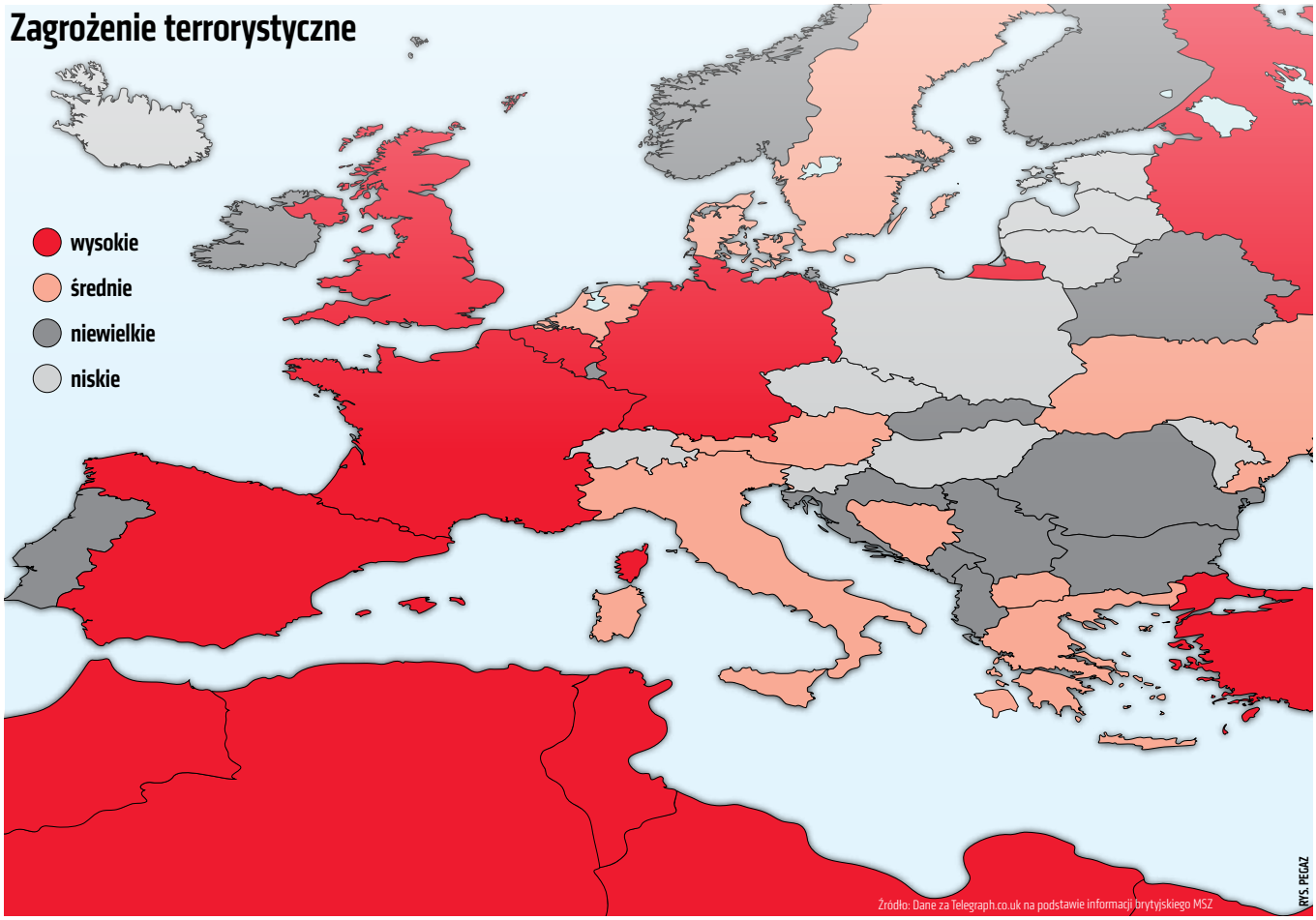

Antymajówka w Europie

Łukasz Zboralski

Majowy weekend za granicą? To może nie być dobry pomysł – z danych brytyjskiego MSZ wynika, że w Europie trudno już znaleźć kraj, w którym zagrożenie jest niższe niż w Afryce czy na Bliskim Wschodzie

W tym roku majówka wraz z weekendem to prawie tydzień wolny od pracy. Pokusa, by wyjechać i odpocząć, jest więc ogromna. W ubiegłym roku podróżowanie w tym czasie deklarowała jedna trzecia rodaków (BIG InfoMonitor). A w tym roku według Travelplanet.pl rezerwacji w biurach podróży dokonało prawie dwa razy więcej Polaków. Oprócz nich w drogę ruszą też turyści indywidualni, którzy sami kupią bilety lotnicze, kolejowe, zarezerwują hotele i pensjonaty albo pojadą do nich własnymi samochodami.

Ci ostrożni wezmą pod uwagę to, że nie wszędzie jest bezpiecznie. Ryzyko w Turcji czy Egipcie jest znane. Jednak mało kto zauważy, że w Europie terrorystyczne zagrożenie jest już równie poważne jak w Afryce czy na Bliskim Wschodzie – a przecież Berlin, Praga czy Wiedeń to częste pomysły na majówkowe wypady. Gdzie więc nie jechać i czego się wystrzegać?

FRANCJA

Po ostatnim zamachu na Polach Elizejskich w Paryżu trudno nie zacząć czarnej listy urlopowej od tego kraju. 20 kwietnia islamski radykał Karim C. w centrum stolicy ostrzelał policjantów z broni maszynowej. Jeden funkcjonariusz zginął, dwóch zostało rannych. Terrorystę zastrzelono.

Według brytyjskich urzędników w ostrzeżeniach wydawanych jeszcze przed ostatnim zamachem zagrożenie terrorystyczne w tym kraju było duże. Poprzedniego zamachu we Francji dokonano w połowie 2016 r. w Nicei. Pochodzący z Tunezji Mohamed rozjechał ciężarówką ludzi spacerujących po promenadzie (zginęło 87 osób, ponad 200 zostało rannych). A niedawno francuskie służby poinformowały, że aresztowały w Marsylii dwóch mężczyzn, którzy planowali zamach. To miasto od dawna

eprasa.pl 9c18f8eb3d

okryte jest złą sławą z powodu ogromnej skali przestępczości – zwłaszcza jego północne regiony. W Paryżu najbardziej niebezpiecznie było na przedmieściach. Teraz widać, że i w centrum bezpiecznie nie jest.

NIEMCY

Ryzyko ataku terrorystycznego jest wysokie i u naszego zachodniego sąsiada. Już w styczniu ostrzegało przed tym swoich mieszkańców brytyjskie MSZ na mapie zagrożeń. Na stronie polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie ma komunikatów dotyczących ryzyka wyjazdu do Niemiec, choć w krótkim okresie doszło tam do kilku zamachów. W lipcu 2016 r. syryjski uchodźca, który złożył przysięgę na wierność Państwu Islamskiemu, wysadził się w Ansbach przed wejściem na festiwal muzyczny (ranił kilkanaście osób). W tym samym miesiącu Niemiec irańskiego pochodzenia zastrzelił dziewięć osób w Monachium. W grudniu tego samego roku islamista zabił polskiego kierowcę ciężarówki i wjechał w tłum na jarmarku świątecznym (12 zabitych, ponad 50 rannych). A na początku kwietnia tego roku terroryści dali o sobie znać w Dortmundzie – w pobliżu autokaru wiozącego piłkarzy Borussii Dortmund eksplodowały aż trzy ładunki wybuchowe (jeden z piłkarzy został ranny). W tym przypadku – według niemieckich służb – za atakiem stał mężczyzna mający podwójne obywatelstwo (Niemiec i Rosji). Planował zarobić na spadku akcji piłkarskiego klubu.

Angela Merkel – która przyjęła zamachy islamistów jako rzecz nieodłączną z napływem imigrantów – zrzuciła winę na landy, które nie radzą sobie z rozpoznawaniem zagrożenia. Pośrednio zwróciła więc uwagę, że niebezpiecznie jest w Berlinie i Nadrenii Północnej-Westfalii. Gdy ktoś jednak pojedzie do stolicy Niemiec, powinien wystrzegać się opanowanych przez muzułmańskie gangi dzielnic: Kreuzberg, Neukölln, Moabit i Wedding (w tej ostatniej niektóre ulice przestała obsługiwać firma kurierska DHL Express, bo dla kurierów zrobiło się tam zbyt niebezpiecznie).

BELGIA

Najlepszy dowód na to, jak bezpiecznie jest w Belgii, to widok, na jaki natrafiają podróżni wysiadający z samolotów w Brukseli. Roi się tam od żołnierzy uzbrojonych w długą broń. To efekt ubiegłorocznej serii zamachów, najbardziej krwawych w historii Belgii – do dwóch z nich doszło właśnie na lotnisku, a do jednego na stacji metra Maelbeek (zginęły 32 osoby, ponad 300 zostało rannych). Tuż po rocznicy tych zamachów Belgią wstrząsnęła sprawa kolejnego – tym razem na szczęście udaremnionego – zamachu w Antwerpii. Samochód wjechał tam na deptak i usiłował rozjechać przechodniów. Za kierownicą siedział Francuz – 39-letni Mohamed. Policji udało się go zatrzymać. W bagażniku wiózł broń.

Jeśli ktoś wybierze się do stolicy Belgii, to powinien zachować dużą ostrożność i raczej trzymać się z dala od opanowanej przez muzułmanów dzielnicy Molenbeek. Nawet mieszkańcy Brukseli starają się nie zapuszczać w te rejony po zmroku.

SZWECJA

Skandynawowie dość starannie maskują problemy związane z imigrantami z krajów muzułmańskich – ze względu na poprawność polityczną nie podają np. informacji o narodowości osób popełniających przestępstwa. Nie znaczy to jednak, że jest tam spokojnie i bezpiecznie. Są oczywiście Bornholm czy Gotlandia, ale kto wybiera się na stały ląd, ten musi mieć w pamięci zamach, do którego doszło 7 kwietnia w Sztokholmie. Uzbek – poszukiwany wcześniej przez policję i mający być wydalony z kraju – ukradł ciężarówkę spod restauracji i wjechał nią w centrum handlowe na głównej handlowej ulicy miasta (cztery osoby zginęły, 15 zostało rannych). Zagrożenie zamachami w Szwecji oceniane jest przez brytyjskie służby jako znajdujące się na trzecim z czterech poziomów skali. Sama szwedzka policja przyznawała wcześniej, że jest już kilkadziesiąt miejsc, nad którymi utraciła kontrolę. W Sztokholmie przez imigrantów opanowana jest dzielnica Rinkeby. W Malmö niezbyt bezpieczne są dzielnice Rosengard i Moellevang.

WIELKA BRYTANIA

Niedawny zamach w Londynie, podczas którego Khalid Masood rozjechał ludzi na moście Westminsterskim i zaatakował nożem policjanta (w sumie zginęło troje ludzi, rannych zostało ok. 40), pokazał, że i w stolicy Wielkiej Brytanii nie można czuć się teraz zbyt pewnie. Za niezbyt bezpieczne uznawane są dzielnice wschodniej części miasta oraz Dagenham i Barking. Kłopoty z asymilacją muzułmanów dotknęły też m.in. Birmingham, zwłaszcza dzielnicę Ladywood.

Jeśli ktoś nie chce denerwować się podczas majowego wypadu, to powinien zostać w Polsce. To jeden z krajów, w którym ryzyko ataków terrorystycznych uznawane jest za niskie. Ewentualnie może pojechać do Szwajcarii czy krajów bałtyckich – na Litwę, do Łotwy i Estonii. Na południu Europy najmniej zagrożone są Czechy i Węgry. Za bezpieczną i wolną od zagrożeń zamachami uznawana jest również Mołdawia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Gabriel Michalik

Gdzie zamieszka

Rozdarcie rosyjskiego społeczeństwa na tych, którym spada coś z pańskiego stołu, i na tych, z którymi skorumpowana władza nie ma ochoty się dzielić, pogłębia się w takt narastania kryzysu ekonomicznego

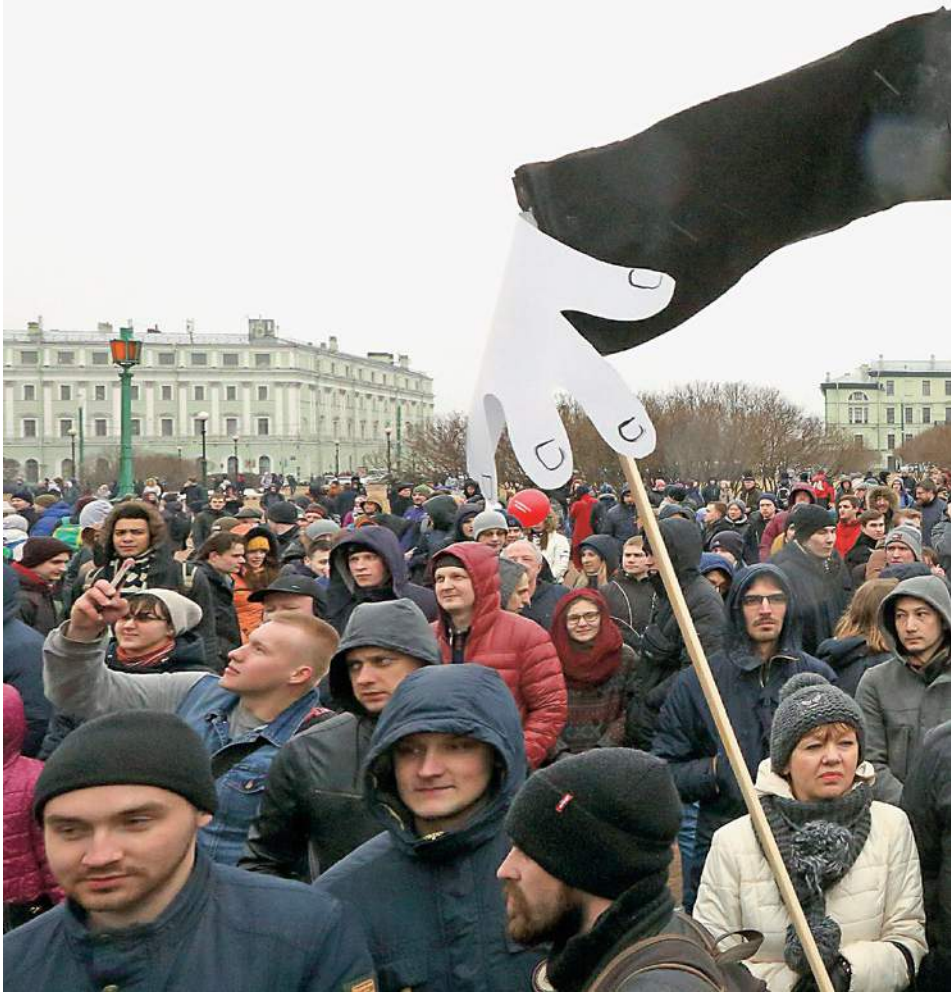

Z premierem Dmitrijem Miedwiediewem pewna część rosyjskiej liberalnej opozycji wiązała do niedawna umiarkowane nadzieje. Obecnie skompromitował się ostatecznie. Niby zawsze wiedziano, że w duecie z Putinem Miedwiediew odgrywa jedynie rolę dobrego policjanta, w istocie będąc łotrem nie mniejszym od pryncypała, choć zapewne mniej sprytnym. Gdzieś jednak w ludziach tliła się naiwna wiara, że rola ta jakoś w premiera wrosła i że Dimon, jak go familiarnie nazywają sympatycy, nie jest do końca zdegenerowany. Ostatnie złudzenia prysły kilka tygodni temu, gdy dziennikarskie śledztwo Aleksieja Nawalnego ujawniło liczony w setkach milionów dolarów majątek Miedwiediewa, w żaden sposób nieuzasadniony oficjalnymi dochodami premiera, pozostający natomiast w ścisłym związku z ofiarnością oligarchów wobec organizacji dobroczynnych zarządzanych przez rodzinę i przyjaciół premiera. Inkryminowany polityk zrazu gdzieś zniknął, potem niby się pokazał, a w niedzielę 26 marca, gdy na wezwanie Nawalnego przez całą Rosję przetoczyły się największe od pięciu lat antyreżimowe manifestacje pod hasłem sprzeciwu wobec korupcji, za punkt wyjścia mające właśnie ujawnione rewelacje o rozmiarze nadużyć premiera, Miedwiediew uraczył czytelników swojego Twittera wiadomością, że świetnie wypoczywa, jeżdżąc na nartach. Wcale więc nie myśli przejmować się „czarnym PR-em" i „ruchawkami piątej kolumny", jak tradycyjnie określa się w Rosji opozycję polityczną.

Nie sposób wykluczyć, że Nawalny organizując marsze, korzystał przynajmniej z milczącej zgody jakiejś ważnej figury na Kremlu, a demonstranci na ulicach rosyjskich miast posłużyli organizatorom pałacowej intrygi za broń wymierzoną w Miedwiediewa. Na razie jednak istnienia samej intrygi nie sposób stwierdzić, Miedwiediew nadal pełni urząd. Masowy charakter manifestacji, a przede wszystkim to, że przeciwko systemowi stworzonemu przez Putina zaprotestowali najmłodsi Rosjanie (dwie trzecie uczestników manifestacji to studenci i młodzież szkolna), rodzi nową jakość w rosyjskim życiu politycznym. Młodych ludzi, którzy już niebawem wejdą w dorosłe życie, Putin nie zdążył uwieść mocarstwowymi hasłami, tak skutecznie oddziałującymi jeszcze niedawno, w czasach naftowego boomu, na ich starszych o kilka lat kolegów, gdy imperialną retorykę wzmacniał widok pozornie rosnącej gospodarki. Przed młodym człowiekiem otwierają się bowiem w obecnej Rosji trzy, niezbyt kuszące, drogi: emigracja, wegetacja lub wstąpienie do reżimowych struktur w charakterze dozorcy dóbr zagrabionych przez kamarylę Putina. Ta ostatnia ścieżka daje, przynajmniej teoretycznie, szanse na w miarę dostatnie życie. Z niej to stara się korzystać bohater naszej skromnej opowieści, chorąży OMON Jewgienij Gawriłow.

TEKTUROWY HEŁM

Manifestacje odbyły się w blisko 90 miastach. W przypadku nielicznych organizatorzy uzyskali oficjalne zgody

eprasa.pl 9c18f8eb3d

chorąży Gawriłow?

Na wezwanie Aleksieja Nawalnego przez całą Rosję przetoczyły się największe od pięciu lat antyreżimowe manifestacje. Na zdjęciu: protest w Sankt Petersburgu FOT. RUSSIAN LOOK/FORUM

na przeprowadzenie zgromadzenia, w większości, w tym w stolicy – nie. Zwolennicy hipotezy, według której scenariusz akcji protestu został obmyślony na Kremlu, zwracają uwagę, że władze zalegalizowały manifestacje w tych miastach, w których nie można było liczyć na masowy udział mieszkańców w tego rodzaju wydarzeniu, niejako sprzyjając ich organizacji, a odmówiły zgody na manifestację tam, gdzie i tak z góry można było założyć, że protestujący przyjdą. Wietrzy się w tych decyzjach ślad cichego poparcia antymiedwiediewowskiej koterii na Kremlu.

Moskiewska demonstracja, według władz – nielegalna, odbyła się na jednej z głównych ulic rosyjskiej stolicy, ul. Twerskiej. Jest to ogromnej szerokości deptak, niedawno wyremontowany; duma tych, którzy czerpią zyski z ciągłego wymieniania nawierzchni na moskiewskich ulicach. Na Twerską przyszło 26 marca od 10 do 30 tys. manifestantów (mniejszą liczbę podają władze; większą – organizatorzy). O ile w pobliżu Kremla reżim zgromadził siły wojskowe, na wypadek gdyby manifestanci skierowali się ku siedzibie prezydenta, o tyle na samą Twerską na spotkanie demonstrantom wysłano jak zwykle oddziały OMON. Miejsce zdarzeń penetrowała także pewna liczba nieumundurowanych OMON-owców. Z użyciem sobie tylko znanych kryteriów wyławiali z tłumu tych manifestantów, których – ich zdaniem – należało odizolować; wskazywali delikwentów OMON-owcom, a ci rzucali się chmarą na wybrańców tajniaków i zaciągali ich do zaparkowanych nieopodal policyjnych suk. Tym sposobem zatrzymano około tysiąca osób. W łapance brał udział chorąży Jewgienij Gawriłow.

Jeszcze w trakcie manifestacji do Internetu trafiło dramatyczne nagranie: Gawriłow chwieje się na nogach, w ledwie widocznych zza potężnego hełmu oczach pojawiają się gwiazdy, po chwili funkcjonariusz upada. Powstaje wokół niego zbiegowisko OMON-owców. Pochylają się nad towarzyszem broni, któryś

eprasa.pl 9c18f8eb3d

z nich zdejmuje mu hełm, próbuje go cucić. Gawriłow jednak nie daje znaku życia. Powstałą wokół wścibską ciszę rozrywa wrzask cucącego: „Pogotowie!". I OMON-owcy tratując przechodniów, odnoszą Gawriłowa do karetki. Początku zdarzenia, a zatem przyczyny utraty przytomności przez krzepkiego funkcjonariusza, na nagraniu nie widać.

Ciąg dalszy zdarzeń relacjonowały już wszystkie prokremlowskie media znad szpitalnego łóżka, w którym z poważną miną leżał przytomny już na szczęście Gawriłow. Jak się okazało, jeden z manifestantów miał kopnąć go w głowę z półobrotu, a może – jak mówiono gdzie indziej – w przelocie (skrzydlaty manifestant?!), skutkiem czego u poszkodowanego doszło do pęknięcia czaszki, złamania szczęki i poważnego urazu mózgu. Gdy sfilmowano całkiem żwawe rozmowy Gawriłowa z odwiedzającymi go przełożonymi, media wycofały się ze złamania szczęki i pęknięcia czaszki, pozostając tylko przy wstrząsie mózgu. Złośliwi przekonywali, że i do tego dojść nie mogło, chyba że hełm na głowie OMON-owca był z tektury, co z kolei podchwycili tropiciele rzekomej korupcji, żądając kontroli w firmie dostarczającej hełmy dla OMON.

Nie to było jednak w całym zdarzeniu najważniejsze. Clou nastąpiło bowiem, gdy Gawriłowa odwiedził w szpitalu przewodniczący prezydenckiej Rady ds. Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego i Praw Człowieka, Michaił Fiedotow. Do rozwoju społeczeństwa obywatelskiego doszło już po krótkiej rozmowie urzędnika z OMON-owcem. Opuszczając szpital, Fiedotow oficjalnie oświadczył, że nie można pozwolić na to, aby bohater całego zajścia nadal żył w niewielkim mieszkaniu wraz z żoną, dziećmi, braćmi i rodzicami. Społeczeństwo obywatelskie ma obowiązek zapewnić mu lepsze lokum. I Fiedotow się tym zajmie. Tak że chorąży jeszcze w szpitalu odbierze klucze do własnego mieszkania.

Kamery zarejestrowały na koniec łagodny uśmiech na twarzy Gawriłowa. I na tym relacja ze szpitala się zakończyła. Postronny obserwator pomyśli, że Fiedotow mówi od rzeczy. Mieszkanie ważna rzecz. Jednak czy najważniejsza dla człowieka, który ledwie uszedł z życiem? I cóż u licha ma do deweloperki społeczeństwo obywatelskie? Rosyjska blogosfera wytropiła, że w całej historii właśnie o mieszkanie chodzi. A starania o jego zdobycie, dotąd nieudane, Gawriłow podejmował już od kilku lat.

STRASZNY CIOS NOSEM W PIĘŚĆ

Po raz pierwszy o OMON-owcu Gawriłowie świat usłyszał w październiku 2014 r., ale rzecz dotyczyła zdarzeń o dwa lata wcześniejszych. Po manifestacji przeciwko objęciu przez Putina prezydenckiego urzędu na trzecią kadencję, która odbyła się w 2012 r. na moskiewskim placu Błotnym, OMON zatrzymał kilkaset osób, a kilkadziesiąt spośród nich moskiewskie sądy wysłały do łagrów pod zarzutem napaści na funkcjonariuszy. Wówczas Gawriłow wykazał się brakiem roztropności. Bezpośrednio po demonstracji, w której tłumieniu brał udział, zeznał, że nie odniósł przy tym żadnych obrażeń. Koledzy Gawriłowa w liczbie sześciu, potężne byki w hełmach i ochraniaczach na wszystkich nieporośniętych łuską i rogami częściach ciała, zapewnili sąd oraz media, że manifestujący studenci i kobiety zbili ich na kwaśne jabłko, co wprawdzie nie licowało z image'em policyjnego macho, ale ułatwiło skazanie manifestantów, a samym „pobitym" opłaciło się stokrotnie. Każdy z nich dostał od władz mieszkanie w Moskwie.

Już poniewczasie Gawriłow próbował naprawić swój błąd. W 2014 r., gdy sądzono bezkarnych wcześniej uczestników manifestacji sprzed dwóch lat, zeznał przed sądem, że jednak w pierwszej chwili pomylił się. Istotnie bito go. Teraz już nie boli, ale bolało. I to jak!

Na pytania obrońców domniemanych napastników, w jaką część ciała uderzono Gawriłowa, OMON-owiec oznajmił, że bito go w pięść

Na pytania obrońców domniemanych napastników, w jaką konkretnie część ciała uderzono Gawriłowa, OMON-owiec zmieszał się i oznajmił, że bito go w pięść. Czym katowano ową pięść: nosem, policzkiem, splotem słonecznym czy szczęką – śledztwo nie ustaliło. Jako sprawcę swoich cierpień Gawriłow wskazał 21-letniego w chwili zajść studenta Iwana Niepomniaszczich. Student wprawdzie wyglądał na tle Gawriłowa na chuchro, ale wiadomo od dawna, że tacy są najgroźniejsi. Wszystko skończyło się niemal po myśli Gawriłowa. Sąd dał wiarę zeznaniom (są jeszcze uczciwe sądy!). Student powędrował na dwa i pół roku do łagru. Coś tam wprawdzie krzyczano na ulicach, że niewinnie, ale nie to zabolało OMON-owca. Okazało się bowiem, że zgodnie z maksymą „Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi" wszystkie mieszkania rozdysponowano już wcześniej; pula obecnie jest pusta. Gawriłow musiał obejść się smakiem. OMON-owiec wziął sobie nauczkę do serca i 26 marca 2017 r. zachował się już tak, jak należy. Zrozumiał, że choć w jego zawodzie pięść jest ważniejsza niż mózg, to jednak tym mniej istotnym organem wywalczy sobie mieszkanie. Zapewne już upadając na Twerskiej, czuł, że wznosi się ku pachnącemu nowością lokum. W moskiewskich aresztach trwają obecnie castingi na nogę, która napadła na mózg, skutkiem czego powędruje ona do łagru. Przecież chorąży Gawriłow i przed sądem nie zawiedzie.

ZA CARA!

Czas oczekiwania w szpitalu na klucze do wymarzonego mieszkania funkcjonariusz skraca sobie, udzielając wywiadów prokremlowskim mediom i oglądając telewizję.

A tam – dziwy nad dziwy: deputowany Witalij Miłonow z partii Jedna Rosja wykrył spisek masoński, który podgryza fundamenty Rosji. Trzeba działać, wygnać masonów; społeczeństwo musi się zmobilizować i zjednoczyć! Nie czas na niemądre waśnie!

Deputowana Jelena Mizulina oburza się, że na lekcjach patriotyzmu w szkołach podobno mówi się o tzw. korupcji. To niedopuszczalne!

Wystarczy nacisnąć guzik na pilocie telewizora i za chwilę widzisz niejakiego Siergieja Aksionowa, dawniej członka gangu rekieterów, a teraz – och, tylko w naszej Rosji możliwe są takie kariery! – gubernatora Krymu. Mąż stanu wzywa naród do poparcia idei przywrócenia monarchii. Jeśli Rosjanie zwrócą się pokornie do prezydenta, to Władimir Putin na pewno nie odmówi przyjęcia korony carów!

– Pięknie – rozmarza się OMON-owiec Gawriłow. – Wojna z masonami i car Władimir! No, piąta kolumna chyba nie zawiedzie! Nie może zawieść! Nowe mieszkanie cieszy, ale we własnej willi żyje się znacznie wygodniej...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Sobotnie kino w TV Republika

21:30 Grupa "D" Departament 4 - ofiary morderstw PRL

22:00 Premiera filmu dokumentalnego/fabularnego*

*film z napisami dla osób głuchoniemych

republika

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Budujemy Wielkie

Stefan Sękowski

Każdy rząd chce pozostawić swoją Gdynię czy Centralny Okręg Przemysłowy. Takimi projektami są dla PiS stocznie, gry komputerowe i ostatnio Centralny Port Lotniczy

Coraz trudniej uwierzyć w kolejny wielki pomysł rządu Prawa i Sprawiedliwości. Tym razem chce on budować Centralny Port Lotniczy, co zarekomendował w połowie marca Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów (KERM). Tomasz Wróblewski ma rację, pisząc w artykule „Lotnisko politycznej niemocy" („Do Rzeczy" 13/2017) o ewentualnych korzyściach płynących z tej inwestycji. Mam jednak obawy, że nikt tego dokładnie nie przemyślał.

Centralny Port Lotniczy nie jest pomysłem nagle wyciągniętym z kapelusza. W Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju „Prowadzenie analiz dotyczących Centralnego Portu Lotniczego i ewentualne podjęcie decyzji o jego budowie lub zaadresowanie jego funkcji na podstawie rozbudowy już istniejącej infrastruktury portów lotniczych" jest wskazane jako jedno z działań, które należy przeprowadzić. Tyle że do 2020 r. Dokument podchodzi więc do sprawy bardzo ostrożnie. Jednak rząd przyjął SOR w połowie lutego – od tego czasu minął zaledwie miesiąc, a już budowę CPL zarekomendował KERM. Co się w tym czasie zmieniło? Być może to, że trzy dni po przyjęciu SOR Jarosław Kaczyński w wywiadzie udzielonym Radiu Białystok stwierdził, że „to wielkie międzynarodowe lotnisko jest nam potrzebne i to jest, według mnie, priorytet".

NAGŁE PRZYSPIESZENIE

Jarosława Kaczyńskiego można określić mianem wizjonera wskazującego swojemu środowisku politycznemu kierunki pracy. Jednak jeśli rzeczywiście jeden wywiad potrafi przyspieszyć prace nad czymś, na co w założeniu mamy jeszcze trzy lata (i nad czym od miesięcy pracowali spece z Ministerstwa Infrastruktury), to jest to bardzo niebezpieczne. Oznacza to bowiem, że nikt nie jest w stanie wytłumaczyć prezesowi, iż nie wszystko da się zrobić od zaraz. Chyba że prezes wcale tego tak nie widzi, a jego podwładni, próbując odgadnąć jego życzenia, wydają na chybcika rekomendacje, które później i tak nie są wiążące. Nie wiem, co gorsze.

Sprawa z Centralnym Portem Lotniczym nie jest bowiem łatwa. I nie tylko dlatego, że jego ewentualna budowa nie jest na rękę np. Niemcom, którzy od prawie 2011 r. próbują uruchomić lotnisko Berlin-Brandenburg, które ma być największym tego typu portem w Europie, a jeśli uda im się ruszyć z nim w przyszłym roku, to będą bardzo zadowoleni (jak widać, nasi zachodni sąsiedzi wcale nie są tacy wszechmogący). Na

eprasa.pl 9c18f8eb3d

FOT. ROBERT STACHNIK/REPORTER

marginesie: nie tylko oni mają swoich lobbystów, przykładowo raport „Centralny Port Komunikacyjny. Historyczna szansa odbudowy polskiej podmiotowości w Europie" autorstwa Warsaw Enterprise Institute na ten temat powstał we współpracy z PP „Portami Lotniczymi" i Lotniskiem Chopina w Warszawie, którym zależy na budowie CPL, a już na pewno na zagospodarowaniu „duoportu Lotnisko Chopina-Modlin oraz lokalnych portów w okresie przejściowym, jak i po upływie 15–17 lat koniecznych na powstanie CPK", co znalazło się w rekomendacjach WEI (nikt nikomu nie broni pisać takich raportów, ale warto wiedzieć o tych powiązaniach). Jarosław Kaczyński może pytać na antenie radia, „czy w kraju, który ma co prawda dość znaczną powierzchnię, ale taki dosyć okrągły kształt, jest sens budowania dużej ilości lokalnych lotnisk?". Problem w tym, że to pytanie należało zadać wiele lat wcześniej (zgoda, że akurat wtedy odpowiedź Jarosława Kaczyńskiego nikogo nie interesowała), zanim te lotniska – często bez sensu – powstały. Jakkolwiek negatywnie oceniać pęd licznych samorządów do unijnych pieniędzy wykorzystywanych na budowę portów lotniczych, nie po to UE je dawała, by teraz dać – albo pozwolić na „niedozwoloną pomoc publiczną" – na lotnisko, które uczyni ich istnienie jeszcze bardziej bez sensu.

LEPIEJ NIE RUSZAĆ

Te problemy można ominąć. Można machnąć ręką na już wybudowane lotniska, do których i tak trzeba dopłacać. Można próbować przekonywać Komisję Europejską do sensowności budowy CPL, a w ostateczności nawet wystąpić z UE, gdyby uznać lotnisko za „priorytet", nasze dalsze zaś członkostwo w Unii już nie. Można liczyć na to, że uda się zbudować CPL, a zaraz obok Centralny Dworzec Kolejowy, o którym mówi Jarosław Gowin, na który przyjeżdżać będą towary i pasażerowie samolotów odlatujących w każde miejsce świata, choć już dziś mamy problemy z wybudowaniem terminalu w Łodzi, za którego pośrednictwem moglibyśmy wysyłać pociągi do Chin. Ufać, że znajdą się na to pieniądze, choć w tym roku, po programie „Rodzina 500+", dojdzie kolejne obciążenie dla naszego budżetu w postaci pieniędzy na emerytury dla tych wszystkich, którzy przejdą na nie wcześniej. Może nawet uda się wygrać konkurencję z lotniskiem w Niemczech, które kiedyś w końcu ruszy – do odważnych świat należy. Tylko że mnożenie wielkich projektów wygląda tak, jakby chodziło głównie o to, by zrobić Coś Wielkiego, co po nas pozostanie.

Każda władza ma takie wielkie projekty, które chciałaby zrealizować. W skali mikro były to m.in. właśnie regionalne lotniska, na które narzeka Jarosław Kaczyński. Za rządów PO-PSL były bardziej zdecentralizowane (orliki), obecna ekipa lubuje się w rozwiązaniach bardziej scentralizowanych. Każdy chciałby mieć swoją Gdynię czy Centralny Okręg Przemysłowy. Jesteśmy jednak w innym miejscu, niż byliśmy w latach 20. XX w. Budowa portu w Gdyni była koniecznością, o ile stu kilkudziesięciokilometrowy dostęp do morza nie miał pozostać jedynie symboliczny. O jednoznaczną ocenę COP dziś trudno, gdyż jego budowę zakończyła II wojna światowa, a recepcję funkcjonowania licznych zbudowanych wówczas zakładów zaburza PRL – w związku z czym (a także w związku z szeroko zakrojoną sanacyjną propagandą) do dziś odgrywa rolę legendy pozytywnego oddziaływania państwa na gospodarkę. Oprócz CPL Wielkim Czymś jest np. „odbudowa przemysłu stoczniowego", o której wciąż mówi minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk. Tyle że nie ma czego odbudowywać – już dziś nasz przemysł okrętowy jest drugi w Europie (za Niemcami). Problem w tym, że tworzą go w zdecydowanej większości firmy prywatne, które nie produkują, tak jak dawniej, ogromnych kontenerowców, ale postawiły na nisze, np. budowę wież wiatrowych, motorówek czy naprawę platform wiertniczych. Zdjęcie z producentem jachtów to nie jest coś, czym można pochwalić się wnukom – w przeciwieństwie do przecinania wstęgi na tle portowych żurawi.

GOSPODARCZA SŁONIOWACIZNA

Zakup Stoczni Szczecińskiej przez Fundusz Inwestycyjny Mars, którym chwalą się rządzący, to może dać jej nowy impuls. Tylko że jeśli państwo będzie się zanadto angażowało we wsparcie tego typu wielkich projektów, to może zaburzyć to, co już dobrze funkcjonuje, czyli konkurencję między przedsiębiorcami już działającymi w tym sektorze. Podobnie zresztą jak rządowe inwestowanie w sektor gier komputerowych. Branża ta prężnie się rozwija (już dziś funkcjonuje w Polsce ponad 240 firm), a dofinansowywanie wybranych projektów, siłą rzeczy arbitralne, tylko zaburza jej funkcjonowanie. Widać tu zresztą chęć podłączenia się pod sukces tych, którzy osiągnęli go bez państwowego wsparcia (nie licząc, powiedzmy, edukacji).

Budowa Centralnego Portu Lotniczego to oczywiście coś zupełnie innego niż produkcja gier komputerowych czy nawet statków – z racji na jego infrastrukturalny charakter udział państwa (i samorządów) jest w tym projekcie niezbędny. Jednak obecnie rządzący zdążyli nas przyzwyczaić do odważnych projektów, których realizacja jest albo zbędna, albo karkołomna („milion samochodów w Polsce w 2025 roku"), których wspólnym mianownikiem są polityczna megalomania i choroba, którą można by nazwać gospodarczą elephantiasis. A przecież nie chodzi o to, by powstało coś dużego, tylko o to, by to coś funkcjonowało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Raj wśród lodowców

Edyta Hołdyńska

Kraina lodu. Zimno, wietrznie i deszczowo. Aktywne wulkany. Mimo wszystko Islandia przyciąga już tysiące Polaków. Po burzliwym okresie kryzysu ten kraj to prawdziwy gospodarczy raj

Dotąd najpopularniejszymi kierunkami wyjazdów zarobkowych Polaków były: Niemcy, Wielka Brytania, Holandia, USA, Skandynawia. Teraz Polacy stanowią pierwszą mniejszość narodową także na Islandii.

Najniższa w Europie stopa bezrobocia i ponad 40 proc. firm borykających się z brakiem rąk do pracy – to główne czynniki przyciągające zagranicznych pracowników na Islandię. Według danych islandzkiego urzędu statystycznego w 2016 r. realny wzrost PKB tego kraju wyniósł aż 7,2 proc., a bezrobocie spadło do 3 proc. Korona umocniła się o 18 proc. w stosunku do euro w porównaniu z zeszłym rokiem. To najlepsze wyniki od 2007 r. Islandia od czasów kryzysu notuje najszybszy wzrost PKB wśród wszystkich państw rozwiniętych, czyli członków OECD.

Spory udział w tym sukcesie mają Polacy, którzy na tej małej wyspie, liczącej niewiele ponad 334 tys. mieszkańców, czyli tyle, ile Lublin, stanowią obecnie największą grupę obcokrajowców. Z danych Work Service Express wynika, że ich liczba może jeszcze rosnąć. Ofert pracy dla naszych rodaków, szczególnie w sektorze budowalnym, w tym kraju nie będzie brakować.

Na Islandii bez zatrudnienia znajduje się jedynie ok. 6 tys. osób, a wskaźnik osób aktywnych zawodowo przekracza poziom 80 proc.

NOWE OTWARCIE

Obecnie wiele firm budowlanych działających na islandzkim rynku rekrutuje pracowników zagranicznych do realizacji zamówień w swoim sektorze. Dzieje się tak, bo brakuje wykwalifikowanych w tej dziedzinie rodzimych pracowników. Islandia, choć bardzo szybko podniosła się z kolan, nadal leczy się ze skutków emigracji po światowym kryzysie finansowym, który potężnie poturbował tamtejszą gospodarkę w 2008 r.

Kryzys na Islandii wybuchł po tym, jak po upadku amerykańskiego banku Lehman Brothers liczne zagraniczne oddziały trzech największych islandzkich banków (Kaupthing Bank, Landsbanki, Glitnir) masowo wycofywały swoje depozyty. A to spowodowało ich głęboką niewypłacalność i przejęcie ich na początku paź-

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Aby podjąć pracę na Islandii, np. w malowniczej miejscowości Hafnarfjörður, Polakom wystarczy ważny paszport FOT. FOTOLIA

dziernika 2008 r. przez islandzki nadzór bankowy pod zarząd komisaryczny.

Wówczas wielu pracowników z odpowiednimi kwalifikacjami opuściło wyspę i wyjechało np. do Norwegii. A w ostatnich latach lukę tę w największym stopniu wypełnili polscy pracownicy. Dzięki temu wyrobili sobie dobrą markę i dlatego dziś, gdy powstały tak wyraźne niedobory pracownicze, to oni są poszukiwani w pierwszej kolejności. Przeważają oferty dla wykwalifikowanych pracowników, którzy powinni mieć przynajmniej roczne doświadczenie branżowe i dobrą znajomość języka angielskiego. W zamian można otrzymać wynagrodzenia w przedziale od 11 do 14 euro za godzinę pracy oraz opiekę polskojęzycznego koordynatora na miejscu.

W dodatku emigracja do tego kraju nie wiąże się z żadnymi trudnościami formalnymi, mimo że nie jest on częścią Unii Europejskiej. Dzięki podpisanym umowom bilateralnym między Polską a Islandią do wyjazdu do pracy wystarczy mieć ważny paszport. Coraz więcej Polaków wyrabia sobie także islandzki paszport. Tylko w zeszłym roku taki dokument odebrało 256 naszych rodaków.

ŻYJE SIĘ DOBRZE

Polonia w Islandii liczy ok. 13 tys. osób. To tyle, ile mieszkańców mają Giżycko czy podwarszawskie Błonie. Większość tych osób mieszka w okręgu metropolitarnym, a reszta rozsiana jest po całej wyspie. To niemal 40 proc. wszystkich imigrantów oraz ponad 3 proc. ludności kraju. Dla porównania: drugą i trzecią najliczniejszą grupą imigrantów są Litwini (1612 osób) i Filipińczycy (1526 osób).

Polacy pracują dosłownie wszędzie. Największą grupę stanowią jednak pracownicy fizyczni, którzy przyjechali do prac przy budowach, w fabrykach rybnych lub w innych usługach. Islandczycy cenią sobie naszych rodaków, bo uważają ich za pracowitych.

– Ci, którzy już osiedli w Islandii i mają tu swoje rodziny, w większości asymilują się z Islandczykami. Większość przyjeżdża jednak z zamiarem zarobku i wyjazdu jeszcze dalej albo z powrotem do kraju – mówi Marta Niebieszczańska, emigrantka z Gryfowa Śląskiego. Mieszka w Islandii już ponad dziewięć lat. Ma islandzkie obywatelstwo. Polskę odwiedza kilka razy w roku, ale nie myśli o powrocie. – Tu, gdzie jestem, żyje mi się dobrze – wyznaje.

W Polsce pracowała w lokalnej gazecie. Zajmowała się także organizacją imprez. Po ukończeniu studiów fotograficznych planowała dalszą naukę, ale zarobki były tak niskie, że nie mogła sobie na nią pozwolić. Razem z chłopakiem zamieszkała w Hafnarfjörður, malowniczej miejscowości położonej na ciągnących się po horyzont polach lawy.

Pracę w indyjsko-pakistańskiej restauracji przy głównej ulicy w Reykjavíku znalazła po kilku tygodniach. Jako kelnerka i pomoc w kuchni przepracowała trzy lata. Zarobki wystarczały na dobre życie. Spokojniejsze i łatwiejsze niż w Polsce.

W 2010 r. Marta Niebieszczańska zadomowiła się na wyspie na tyle, że razem z kolegą założyła portal informacyjny dla Polonii mieszkającej w Islandii. – Byliśmy pierwsi. Zresztą do tej pory strona, którą prowadzimy, jest jedynym źródłem codziennych informacji dla Polonii mieszkającej w Islandii – opowiada emigrantka. – Iceland News Polska jest obecnie dużym portalem, który odwiedza każdego dnia ok. 6 tys. unikalnych czytelników. Kilka razy do roku organizujemy także imprezy dla Polonii, koncerty i występy kabaretów, które ściągamy z Polski – dodaje Marta Niebieszczańska.

Rozważając zarobkowy wyjazd na Islandię, warto wziąć pod uwagę także koszty życia, które są wysokie.

Nie bez znaczenia dla islandzkiej gospodarki jest też wkład turystów, którzy coraz tłumniej odwiedzają wyspę. W 2016 r. ich liczba wyniosła aż 1,8 mln wobec 1,3 mln w 2015 r. Potężny wzrost liczby turystów w pierwszych dwóch miesiącach tego roku (59 proc. więcej niż przed rokiem) pozwala sądzić, że w 2017 r. łączny wynik wyraźnie przekroczy 2 mln. Sektor turystyczny już teraz jest dla islandzkiej gospodarki ważniejszy od rybołówstwa, które przez lata było podstawowym źródłem jej dochodów.

Na Islandii co rusz wyrastają nowe hotele, które prześcigają się w walce o turystów. A ci przyjeżdżają, by podziwiać dziewiczą i niespotykaną naturę lodowców obok wulkanów. Islandia słynie także ze spokojnego i z harmonijnego życia. W 2008 r. była liderem rozwoju społecznego. Wskaźnik HDI, który ocenia kraje na trzech płaszczyznach: „długie i zdrowe życie", „wiedza" i „dostatni standard życia", był wówczas na Islandii najwyższy. Od tamtego czasu wyspa nie może dogonić Norwegii, ale nieustannie depcze jej po piętach.

W styczniu agencja S&P podniosła rating Islandii z poziomu BBB+ do A–, nagradzając Reykjavík m.in. za zniesienie ograniczeń w przepływie kapitałów, które wprowadzono w wyniku kryzysu. Islandzki rząd ma zamiar całkowicie znieść te ograniczenia jeszcze w tym roku.

Jednak Islandia, mając w pamięci tragiczne skutki kryzysu sprzed lat, zabezpiecza się w inny sposób. Reykjavík nadal utrzymuje m.in. bardziej restrykcyjny nadzór nad bankami, przez które załamała się gospodarka w 2008 r. Islandzki rząd ograniczył także możliwość zaciągania kredytów w walutach obcych, a dziś może się pochwalić nadwyżką budżetową. Bankowi centralnemu udało się zgromadzić duże środki w ramach rezerw walutowych. Z kolei islandzki parlament zobowiązał ministra finansów do corocznego przedstawiania planu dla finansów publicznych aż na kolejne pięć lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Premier ustala cenę benzyny

Nie tak dawną pogłoskę o tym, że rząd Beaty Szydło wywiera presję na PZU, by firma ta nie podnosiła znacząco cen polis OC i nie psuła w ten sposób humorów zmotoryzowanym wyborcom, szybko zdementowano. Jednak czy musi to oznaczać, że nie było w niej ani krzty prawdy? Albo że nie było jej w pogłosce – do tej pory jednoznacznie ani niezdementowanej, ani niepotwierdzonej, a pochodzącej z nagranych przez kelnerów rozmów – o tym, że premier Donald Tusk naciskał na Orlen, by przed wyborami w 2011 r. nie windował cen paliw? W końcu obie te pogłoski, a także ostatnia, zagadkowa obniżka cen gazu dla odbiorców indywidualnych w sytuacji, gdy podniesiono ceny gazu dla firm – jak ulał – pasują do intuicyjnego wyobrażenia sporej części opinii publicznej o tym, do czego tak naprawdę politykom niezbędne jest władztwo nad przedsiębiorstwami.

Otóż – wedle tego wyobrażenia – państwowe firmy mają co roku przynosić kasie państwa krocie w postaci dywidendy potrzebnej do robienia prezentów wyborcom, mają dostarczać posad niezbędnych do obdzielania nimi własnych ludzi i wreszcie realizować takie polityczne zlecenia, które – zdaniem rządzących – leżą w najżywotniejszym interesie kraju, a przy okazji nierzadko stoją w kolizji z podstawowymi regułami rachunku ekonomicznego. Takie polityczne zlecenia, jak choćby uporczywe utrzymywanie przy życiu upadłych kopalń, pełnych gotowych do manifestowania swej dezaprobaty górników, jak kupowanie z tych samych powodów innych zbankrutowanych firm albo – wręcz przeciwnie – firm całkiem dobrze sobie radzących, za to wskazanych do przejęcia przez władze państwa w ramach np. akcji repolonizacyjnej.

To zapewne głęboko niesprawiedliwe uproszczenia, ale o tym, że nie wzięły się z powietrza, łatwo się domyślić, obserwując praktykę życia publicznego. Nawet jednak gdyby wszyscy politycy byli propaństwowymi aniołami i myśleli o firmach państwowych wyłącznie jako o wehikułach realizujących jak najlepiej przez nich rozumiany interes Polski, to i tak działalność tych firm plus uprzywilejowana pozycja, którą się cieszą, korzystając ze wsparcia władz, sprawiałyby, że miałoby to negatywny wpływ na rynek. A zatem byłoby – i jest, bo przecież jest! – dla życia gospodarczego, a w konsekwencji dla budżetu państwa, a więc i dla całego państwa – szkodliwe. I dlatego tegoż państwa (czyli polityków i ich jawnej oraz skrywanej na tym polu aktywności) powinno być w gospodarce jak najmniej. Natomiast powinno być w polskiej gospodarce jak najwięcej POLSKIEGO KAPITAŁU PRYWATNEGO, i to w tak pojmowanej repolonizacji, czyli we wspieraniu przez państwo polskich firm prywatnych w przejmowaniu zagranicznych – zarówno w Polsce, jak i w innych krajach – rola państwa jest cały czas nie do przecenienia. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Pranie mózgów

Facebook przeprowadził eksperyment bez wiedzy użytkowników serwisu. Na początku 2012 r. wybrał 700 tys. użytkowników i podzielił ich na dwie grupy. Obu grupom zmodyfikował strumień wiadomości, który otrzymywały – jednej grupie wysyłano optymistyczne wiadomości, drugiej pesymistyczne. Eksperyment trwał tydzień, okazało się, że optymizm i pesymizm są zaraźliwe. Optymiści byli bardziej skłonni dzielić się pozytywnymi wiadomościami, a pesymiści – negatywnymi. Ten eksperyment pokazał, że media mogą skutecznie manipulować ludźmi.

Media głównego nurtu w Polsce prowadzą operację prania mózgów na wielką skalę

Rodzi się pytanie: W jakim celu? Facebook doprowadził do skrzywienia rzeczywistości, a celem było sprawdzenie, czy Facebook może wpływać na nastroje ludzi. Teraz, gdy już wiemy, że może, kto wie, czy za jakiś czas wyborcy jednej partii politycznej nie będą otrzymywać pesymistycznych wiadomości, a drugiej optymistycznych, w celu zapewnienia wygranej danej partii? Nie mamy możliwości kontroli tego, jakie algorytmy testuje na ludziach Facebook i jakie są efekty tych testów.

Eksperyment Facebooka trwał tylko tydzień, ale media głównego nurtu, czy raczej ścieku, w Polsce od wielu lat prowadzą operację prania mózgów na wielką skalę. Niedawno zresztą okazało się, że manipulacje medialne w Polsce przeprowadza się na polecenie zagranicznego właściciela. Można się oburzać, gdy znaczący wpływ na wynik wyborów w Wielkiej Brytanii ma tamtejszy magnat medialny. To jest jednak Brytyjczyk.

A co mamy powiedzieć, gdy obcy kapitał ma wpływ na wyniki naszych wyborów? Są w Polsce media drukowane i cyfrowe, które od lat pokazują rzeczywistość w krzywym zwierciadle. Na przykład w zmasowany sposób naśmiewają się z danego polityka, publikują tylko zdjęcia, na których źle wyszedł, nigdy nie napiszą o nim nic dobrego. Od czasu do czasu spotykam osoby, które są konsumentami tej manipulacji, mówią językiem danej gazety lub telewizji, bezmyślnie powtarzają te same zwroty, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Merytoryczna rozmowa z takimi osobami jest bardzo trudna, bo lata medialnego prania mózgu prowadzą do silnego zacietrzewienia.

Kilka rad, jak sobie radzić z medialnymi manipulacjami: skupiać się na faktach, nie na opiniach, nie oglądać telewizji, czytać gazety i tygodniki różnych opcji, żeby samemu wyrobić sobie pogląd. A na miesiąc przed wyborami wyłączyć Facebooka. W ogóle. W całym kraju. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

EUROPEJSKI KONGRES GOSPODARCZY

10-12 maja 2017 r.

KATOWICE

Międzynarodowe Centrum Kongresowe

NAJWIĘKSZA IMPREZA BIZNESOWA

EUROPY CENTRALNEJ

PONAD 100
sesji tematycznych

700
prelegentów

3 DNI
debat

PONAD 8000
gości

Informacje i agenda:
www.eecpoland.eu/2017
Facebook: EECKatowice
Twitter: @EECKatowice #EEC2017 #EKG2017

eprasa.pl 9c18f8eb3d

TEST „DO RZECZY": LG G6

Dwa świetne aparaty fotograficzne, wodoodporność oraz bardzo dobry, rewelacyjnej jakości duży wyświetlacz – to największe zalety nowego flagowca z Korei Południowej.

Koreańczycy spróbowali połączyć dwa skrajne oczekiwania użytkowników – LG G6 jest więc smartfonem ze świetnym i dużym ekranem IPS LCD (o rozdzielczości 2880 x 1440, z żywymi kolorami i niemal doskonałą czernią), który można bez większego problemu obsługiwać jedną ręką. Konstruktorzy do minimum zmniejszyli ramkę wokół ekranu, a także zmienili proporcje samego ekranu, znacząco go wydłużając. Dzięki temu smartfon z ekranem o przekątnej 5,7 cala jest mniejszy od niektórych telefonów z wyświetlaczami o przekątnej 5,3 cala.

Ekran w proporcji 18:9 (zamiast tradycyjnych 16:9) ma jeszcze jedną zaletę: gdy jednocześnie korzystamy z dwóch aplikacji, wyświetlacz dzieli się na dwie równe części. W czasie podróży można więc np. swobodnie oglądać film i odpisywać na służbowe e-maile.

Niektórzy recenzenci zachwycają się również designem samego telefonu. Ja jestem jednak nim nieco rozczarowany. Owszem, telefon jest wykonany bardzo porządnie i robi wrażenie eleganckiego i solidnego. W przeciwieństwie do wcześniejszych flagowców w przypadku modelu G6 szefowie LG postawili jednak na formę, która niczym szczególnym się nie wyróżnia. Innymi słowy: brakuje po prostu efektu „wow". Poza tym szklane „plecki" są podatne na zarysowania. Zaletą nowego modelu jest za to wodoszczelność na poziomie IP68 – telefon powinien więc przeżyć przypadkową kąpiel w wannie.

Na pochwałę zasługuje też podstawowy aparat fotograficzny, który robi zdjęcia wysokiej jakości nawet w słabym oświetleniu, jest wyposażony w technologię optycznej stabilizacji obrazu, a w trybie manualnym daje użytkownikowi bardzo dużo możliwości. Obiektyw szerokokątny przydaje się zaś np. podczas robienia zdjęć grupowych lub panoramicznych. Oba aparaty – zwykły i szerokokątny – mają rozdzielczość 13 Mpix. Jest też oczywiście przedni aparat dla miłośników selfie.

Teoretyczną wadą modelu G6 są zastosowane podzespoły. Procesor Snapdragon 821 (zamiast nowego 835), zaledwie 32 GB wbudowanej pamięci (zamiast 64 GB oferowanej przez niektórych konkurentów), a także 4 GB pamięci RAM to specyfika flagowców rodem z 2016, a nie z 2017 r. Smartfon działa jednak płynnie i chociaż niektórzy konkurenci oferują nowsze „bebechy", to przy normalnym użytkowaniu trudno to będzie zauważyć.

To, co może naprawdę przeszkadzać, to głośniczek, którego płaskie brzmienie podczas oglądania teledysków psuje dobre wrażenie stworzone przez znakomity wyświetlacz. Bateria o pojemności 3300 mAh wystarcza na mniej więcej jeden dzień bez ładowania.

Cena: 3299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

TABLET Z E-PAPIEREM

Czytaliście, że tablety wyszły z mody, że w dobie smartfonów i phabletów stały się obciachowe, bezużyteczne? To prawda, ale to wcale nie znaczy, że w tej wojnie miłośnicy tabletów oddali już ostatni strzał i wywiesili białą flagę. Na rynek wchodzi bowiem niebawem zaskakujący gadżet: Sony DPT-RP1, czyli sporych rozmiarów e-papierowy tablet z rysikiem do szkicowania i kreślenia. Urządzenie adresowane jest przede wszystkim do inżynierów, architektów, magazynierów, pracowników wielkich korporacji, którzy na szybko muszą przygotowywać dane, wykresy, statystyki. Ma ekran o przekątnej 13,3 cala i rozdzielczości 1650 x 2200. W standardzie oczywiście Digital Paper, ale gadżet na swoim wyposażeniu ma także aplikację, która strony WWW szybko przekształca w format PDF i wysyła je do urządzenia. Na razie dostępny jest tylko w Japonii i kosztuje ok. 2,9 tys. zł, czyli tyle, za ile można kupić laptop ze średniej półki.

OCZY WKOŁO GŁOWY

Tylko na rynki azjatyckie ma na razie trafić Nubia NeoAir VR, a wielka szkoda, bo urządzenie będące sferyczną kamerką 360 do zamontowania na smartfonach zapowiada się na gadżet ciekawy i przydatny; przynajmniej dla miłośników fotografowania krajobrazów. Fanatykom selfie będzie raczej obojętny. Nubia NeoAir VR to niewielka, kieszonkowa kamerka sferyczna pozwalająca na sfotografowanie otoczenia. Do smartfona podłączana jest za pomocą USB. Zdjęcia wykonuje w rozdzielczości 3008 × 1504, czyli w jakości „może być", gorzej niestety z filmami, które realizuje w jakości 2K, co dla filmów VR jest – delikatnie mówiąc – poziomem średnim. Cena to ok. 390 zł, choć pewnie w perspektywie kolejnego roku w tej cenie na rynku pojawią się mobilne kamerki sferyczne oferujące zdecydowanie lepszą jakość. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 9c18f8eb3d

SUPER HISTORIA.pl

NAJMŁODSZY PORTAL HISTORYCZNY W POLSCE

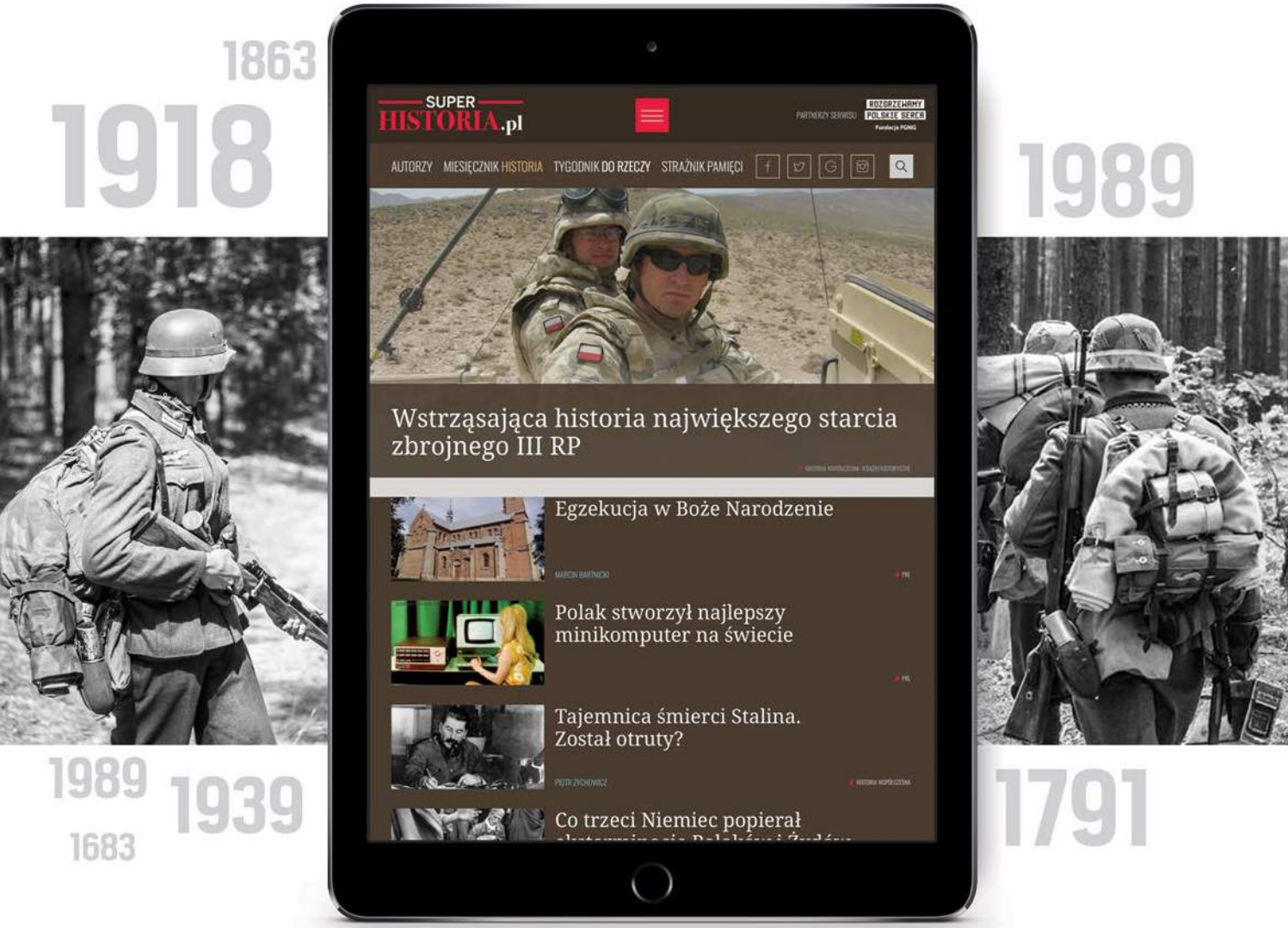

ARTYKUŁY I KOMENTARZE NAJLEPSZYCH PUBLICYSTÓW HISTORYCZNYCH O NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZENIACH Z HISTORII POLSKI I ŚWIATA. RECENZJE I FRAGMENTY KSIĄŻEK HISTORYCZNYCH.

PARTNERZY SERWISU:

PGNiG

FUNDACJA PGNiG

ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl 9c18f8eb3d

FOT. FOTOLIA

Nie traćmy wzroku

Katarzyna Pinkosz

Nasi przodkowie wypatrywali zwierzyny, a nie nowych wiadomości na ekranie smartfona. Nic więc dziwnego, że mamy wręcz epidemię problemów z widzeniem

Badania przeprowadzone kilka lat temu przez Klinikę Okulistyczną w Bydgoszczy wśród uczniów liceów ogólnokształcących zaskoczyły nawet specjalistów: 41 proc. przebadanych miało wadę wzroku. Wraz z wiekiem jest coraz gorzej – wadę wzroku ma ok. 60 proc. osób powyżej 40. roku życia i 82 proc. powyżej 50. roku życia. Jednak zmiany cywilizacyjne powodują też inne problemy ze wzrokiem.

OKO BEZ ŁEZ

Praca w klimatyzowanych pomieszczeniach, przemęczenie, a zwłaszcza wielogodzinne wpatrywanie się w ekran komputera powodują, że coraz więcej osób skarży się na tzw. zespół suchego oka, objawiający się zmęczeniem oczu, łzawieniem i pieczeniem. Badania ankietowe przeprowadzone w grudniu 2016 r. przez ośrodek badawczy IQS wykazały, że tylko 29 proc. osób w ciągu ostatniego roku nie miało żadnych tego typu dolegliwości.

Im mniejszy ekran, tym bardziej musimy zbliżyć do niego twarz i tym szerzej otworzyć oczy. Powoduje to szybsze odparowywanie tzw. filmu łzowego i wysuszenie oka. W dodatku przy komputerze mrugamy kilka razy rzadziej niż zwykle, co powoduje wytwarzanie mniejszej ilości łez. Rogówka wysycha, oko jest zaczerwienione, piecze, staje się nadwrażliwe na światło. Okuliści zalecają przede wszystkim rozsądne korzystanie z urządzeń elektronicznych, pamiętanie o dobrym oświetleniu, zachowanie odpowiedniej odległości od monitora (50–70 cm) i robienie przerw w pracy, podczas których będziemy patrzeć w dal.

– Osoby, które często czują wysuszenie i pieczenie oczu, powinny nawilżać powierzchnię gałki ocznej za pomocą tzw. sztucznych łez nawet kilka razy dziennie – mówi dr Anna Zaleska-Żmijewska z Katedry i Kliniki Okulistyki II Wydziału Lekarskiego WUM. Jednak zespół suchego oka może być też związany z niektórymi schorzeniami, takimi jak cukrzyca i choroby tarczycy, dlatego przy tego typu dolegliwościach wizyta u okulisty jest niezbędna.

DIETA DOBREGO WIDZENIA

Im więcej mamy lat, tym większe ryzyko chorób oczu: jaskry, zaćmy, zwyrodnienia plamki żółtej związanego z wiekiem (AMD), które dziś jest najczęstszą przyczyną nawet całkowitej utraty wzroku. Takie objawy jak zaburzenia ostrości widzenia, podwójne i zamglone widzenie, mroczki i błyski przed oczami, częste bóle głowy i oczu to bezwzględne wskazania do wizyty u okulisty. Jednak nawet osoby, które nie mają żadnych dolegliwości, powinny kontrolować wzrok: przed 40. rokiem życia raz na dwa–trzy lata; po 40. roku życia – raz na dwa lata, a po 50. – co rok.

W zapobieganiu niektórym chorobom oczu dużą rolę odgrywa dieta. Najlepiej zostało to udowodnione w zwyrodnieniu plamki żółtej, która jest najważniejszą częścią siatkówki oka. Wolne rodniki, które tworzą się m.in. pod wpływem promieniowania UV, uszkadzają siatkówkę. Dlatego dieta powinna być bogata w antyoksydanty, które niszczą wolne rodniki. Warto jeść bogate w witaminę C i beta-karoten warzywa oraz owoce o zielonej i żółtopomarańczowej barwie. Dla dobrego widzenia ważne są też antocyjany, których dużo jest w jagodach, aronii, owocach czarnego bzu, a także tłuszcze omega-3 obecne w rybach (szczególnie morskich) czy orzechach włoskich. Ważnymi składnikami dla oczu są też barwniki siatkówki: zeaksantyna i luteina, które znajdują się w zielonych i żółtopomarańczowych warzywach oraz owocach, takich jak jarmuż, szpinak, sałata, brokuły, dynia, brukselka, a także w żółtku jajka. Jednak z badań opublikowanych w „Journal of American College of Nutrition" wynika, że współczesne diety dostarczają 1–3,25 mg luteiny dziennie, podczas gdy dla prawidłowych procesów widzenia potrzebnych jest 6–14 mg.

– Warto, żeby osoby z krótkowzrocznością, a także dużo pracujące wzrokiem, szczególnie po 40. roku życia, które są bardziej narażone na schorzenia siatkówki, przyjmowały gotowe preparaty zawierające kwasy omega-3, witaminy i składniki mineralne oraz zeaksantynę i luteinę – dodaje dr Anna Zaleska-Żmijewska. O wyborze preparatu warto porozmawiać z lekarzem, gdyż różnią się one zawartością składników i ich przyswajalnością.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

SuperOptic

Suplement diety

SUPEROPTIC ZAWIERA NATURALNĄ LUTEINĘ FloraGLO® LUTEIN

Luteina FloraGLO:

- jest **najlepiej przebadaną luteiną na świecie**[1]
- ma **udowodnioną badaniami biodostępność**[2]
- **dobrze się wchłania**[3]

Suplement diety

[1] Aleksander DE et al. Human Clinical Trials with FloraGLO Lutein. Kemin Industries, Inc. Technical Literature. 2013. KHTL-017-083130422 HM
[2] FloraGLO: The Proven Lutein Brand. Kemin Industries, Inc. 2012. KHTL-017-102121105 KK
[3] Maci S. FloraGLO lutein: see the difference. Kemin Industries, Inc. Technical Literature. 2010. KHBB-017-006

SUPERO/182/01-2017

pl 9c18f8eb3d

Joanna Bojańczyk

Nowe cuda w starym życiu

Spanie, jedzenie, kupowanie... W Mediolanie projektanci chcą całkiem zmienić nasze podejście do tych czynności

Detektor pulsu płodowego, Klaudia Gołaszczyk, ASP w Katowicach

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)

Stolik do kawy, Marcin Konicki, Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu

Porcelana, Joanna Opalska-Brzecka, ASP we Wrocławiu

Kamienny stół, Marek Boliński, ASP w Łodzi

Na początku kwietnia w Mediolanie kwitną już głogi, kasztany i migdałowce. Lawendowe kiście glicynii zwieszają się z płotów i pergoli; tylko platany na dostojnych mediolańskich alejach jeszcze czekają na prawdziwe włoskie ciepło. Jednak wiosną to nie przyroda wzbudza zainteresowanie lokalsów i przyjezdnych – wtedy w Lombardii jest czas na materię nieożywioną.

Miasto podbija design: Design Triennale, Salone del Mobile, Superdesign Show. Na fetę przyjeżdża 300 tys. odwiedzających z całego świata. Pokazać się tutaj jest ambicją najlepszych.

Wszędzie coś się wystawia – na ulicach, w sklepach, muzeach. W zaułkach w okolicach galerii Brera na zaimprowizowanych podiach lansuje się projektanckie meble. Triennale Designu ulokowało się w centrum, reszta rozpełzła się po bardziej odległych dzielnicach. Tutaj także panuje moda na poprzemysłowe tereny – hale, garaże, zaniedbane podwórza uważa się za najbardziej atrakcyjne miejsca ekspozycji. Swoisty paradoks – Mediolan, prężne miasto północnych Włoch, najaktywniejszego regionu przemysłowego, chwali się zamkniętymi fabrykami… Zabił je outsourcing, tak jak w całej Europie.

CYBERWSZYSTKO

Gdy myślimy o designie, przed oczami staje nam drogi przedmiot z oszklonego sklepu. Taki, z którym nie zawsze wiadomo, co zrobić. Jak owa ośmieszona już wyciskarka do cytrusów Starcka, czyli bardziej temat do rozmów niż przedmiot do robienia soku z pomarańczy.

Co tu jeszcze można wymyślić? – chce się zapytać. Wszystko już było. Stół wciąż musi mieć blat i nogi, łóżko poziomą płaszczyznę do leżenia, funkcja siedzenia nie zmieniła się od tysiącleci – może tylko siedzimy więcej wpatrzeni w monitor komputera…

eprasa.pl 9c18f8eb3d

– Restyling, restyling, dla starych funkcji wymyśla się wciąż nowe formy, nowe materiały, nowe technologie – odpowiada mi Zuzanna Skalska, badaczka trendów, wykładowca Uniwersytetu w Eindhoven, z którą spotykamy się w Mediolanie.

Gdy spaceruje się po mediolańskim expo, ma się wrażenie, że trafiło się nie na wystawę designu, ale na targi nowych technologii. Roboty, cybersystemy, sztuczna inteligencja, humanizm cyfrowy, techniki drukowania w 3D… Te wszystkie nowe cuda wkraczają w stare rewiry naszego życia: zakupy, spanie, jedzenie.

Jak zapowiada japońska firma Manabu Tago, sztuczna inteligencja całkiem zmieni czynność kupowania. Wchodząc do sklepu, czujesz się zestresowany na widok tysiąca towarów? Co wybrać? Stań przed maszyną, która zrobi skan twojej sylwetki, po czym dobierze dla ciebie najwłaściwszy kolor ubrania (dla mnie wybrano zielony, co okazało się trafione). Algorytm może także sprawdzić, czy nie cierpisz na alergie, a jeśli tak, to na jakie. Na tej podstawie ułoży listę zakupów spożywczych.

Albo silikon. Kiedyś wkładano go do biustów gwiazd, gdzie się nie sprawdził, bo zdarzało mu się wyskakiwać pod wpływem słońca. Za to triumfuje w kuchni: sitka, łyżki, naczynia. Okazuje się, że z silikonu można robić nie tylko gadżety, lecz także większe przedmioty. Klubowy fotel silikonowy Perbolica Alessandro Ciffo ma piękne kolory, ale jest także naprawdę wygodny. Można regulować jego twardość. Jest praktyczny: dzieci mogą po nim skakać, a nawet rozlewać na niego sok jagodowy, bo jest zmywalny. Może się na nim wylegiwać pies. Problem tylko w tym, czy zechce – wysiedziały fotel tapicerski może okazać się bardziej przytulny.

Gdybyśmy chcieli mieć inny dywan na zimę, a inny na lato, wystarczy nabyć produkt Norweżki Siren Elise Wilhelmsen, który zmienia barwy, gdy się po nim chodzi. Dzięki pigmentom wrażliwym na temperaturę niebieski zmienia się w zielony w temperaturze 18 st. C, w 28 st. C czerwony staje się żółtym.

Jeśli chodzi o łóżko, to już nie tyle jego kształt jest przedmiotem zainteresowania projektantów, ile sam sen, który stał się obsesją naszej zapracowanej cywilizacji. Jego brak, bezsenność, kłopoty z zasypianiem… Niedospani stajemy się grubsi, bardziej zmęczeni i smutni. Nad problemem pracuje wielu projektantów. David Rose z Media Lab testuje kołdry, których mikroruchy dają usypiający efekt kołysania. Australijczyk Ben Olsen chwali się goglami kierującymi strumień zielono-niebieskiego światła wprost do naszych oczu. Wyciszająca i uspokajająca opaska na oczy Dreem, pomysł Francuza Hugo Merciera, ma trafić do sprzedaży już latem tego roku.

Jeśli jest spanie, to musi być jedzenie. W tym temacie pyszni się zdobywca szpanerskich robotów – Kitchenaid. W kwestii siekania i miksowania nic nowego na razie nie wymyślono, za to projektanci zabudowy kuchennej szaleją. Oto gigantyczna lśniąca metalem konstrukcja, w której bezszelestnie odbywa się cały proces kulinarny. Ośmiu projektantów Kitchenaid z Włoch, Japonii, Austrii, Wielkiej Brytanii pod kierownictwem Włocha Massimo Marzoratiego za pomocą wideo i projekcji w 3D przedstawia zaawansowane wizje kuchennej rzeczywistości. Spodziewam się tylko dobrego po firmie mającej na koncie zmywarkę, do której można wrzucać talerze z resztkami jedzenia, ale czy wpłynie to na smak pomidorowej, nie jestem pewna.

RZEMIEŚLNIK I ROBOT

To największa sprzeczność współczesnego projektowania: z jednej strony tęsknota za pracą ręczną, rzemiosłem, tradycyjnymi technikami. Z drugiej – ciągły rozwój technologii, które mają nasze życie uczynić łatwiejszym. Czy szczęśliwszym, nie wiadomo.

Polska obecność w Mediolanie sytuuje się właśnie między tymi dwoma kierunkami. Staramy się pokazać to, co najlepsze w polskiej tradycji, np. meblarstwo, ceramikę, a także udowadniamy, że technologicznie nie jesteśmy zapóźnieni. Nad promocją naszego designu czuwa Instytut Adama Mickiewicza, patron i sponsor polskiej wystawy. Na otwarcie przyszły tłumy.

Kuratorka wydarzenia „Polish Design. Tomorrow is today" Dorota Koziara zamiast pokazywać osiągnięcia przemysłu, co wydawałoby się najbardziej oczywiste, zdecydowała się wystawić dokonania studentów naszych uczelni artystycznych. Dobry pomysł. W końcu kto, jeśli nie młodzi, ma najświeższe głowy, najlepsze idee? Są tu szkoły starsze, takie jak Wrocław, Kraków, Gdańsk, a także juniorzy w tym dostojnym gronie: Katowice i Szczecin. Każda z nich ma trochę inny profil, związany z regionem, w którym się znajduje: Wrocław to ceramika, Poznań – meble (Polska jest wielkim eksporterem mebli), Gdańsk – statki. Szkoła w Katowicach słynęła i słynie z nowoczesnej animacji, to w końcu miejsce urodzenia „Bolka i Lolka". Łódź – polska stolica tekstyliów i mody.

Solidne tradycje meblarstwa Wielkopolski potwierdza prezentacja Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Na szczęście czas dębowego segmentu ze Swarzędza „à la rustical", hitu z czasów PRL, mamy za sobą. Krzesła, sofy i lampy, które pokazali studenci UA, są lekkie, eleganckie, dobrze zaprojektowane. Życzmy im kariery rynkowej, jaką ma za sobą „pogięty" stołek Oskara Zięty, chyba jedyny polski produkt designu, który stał się międzynarodowym przebojem sprzedażowym.

Nie zawsze pokazuje się to, co potwierdzałoby etykietę, i to, czego oczekuje publiczność. Na przykład ASP w Krakowie we współpracy z NASA prezentuje MARS 2030, projekt naprawdę futurystyczny.

Jak zagospodarować przestrzeń statku kosmicznego? Jak się poruszać w przestrzeni bez siły ciążenia? Jak jeść i spać? Wydaje się to na razie czymś z kategorii SF, ale wkrótce stanie się rzeczywistością. Studenci z krakowskiej ASP pod kierunkiem dr. Michała Kracika opracowali pięć stref statku kosmicznego: kuchnię, łazienkę, sypialnię, gabinet, a nawet strefę fitness.

Ciekawie wyglądają przyrządy medyczne zaprojektowane przez uczelnię w Katowicach. Ktoś, kto poddaje się badaniu USG, rzadko myśli o kształcie rączki aparatu, ale to nie znaczy, że jest on nieważny. Ergonomiczne i estetyczne projektowanie dotyczy wszystkich dziedzin życia. Przed projektantami jeszcze dużo roboty nie tylko w sprawach urządzenia domu.

Z dokonań ubraniowych łódzkiej ASP najbardziej podobał mi się… kamienny stół projektu Marka Bolińskiego. Prosty, solidny i elegancki. Natomiast obawiam się, że ciuchami ta uczelnia nie zawojuje świata. Przynajmniej tymi, które kuratorka Dorota Koziara zdecydowała się pokazać w Mediolanie. Chociaż właśnie ubrania uchodzą za najmocniejszy punkt łódzkiej szkoły, to produkcje studentów nie przekonują ani projektem, ani wykonaniem. Zwisają smętnie z wieszaków, jakby zażenowane, że się tu znalazły.

Czy naprawdę łódzka ASP im. W. Strzemińskiego nie ma nic lepszego do pokazania? W nieoficjalnych komentarzach usłyszałam, że inne propozycje, owszem, były, ale wybór kuratorki padł na te właśnie egzemplarze.

Chcę wierzyć, że tych parę ciuchów nie zepsuje nam reputacji, bo polska całość naprawdę wypadła nieźle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9c18f8eb3d

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Remedia pradziadków

Memoriales" Albrychta Stanisława Radziwiłła, czyli „Pamiętniki" przetłumaczone przez Adama Przybosia i Romana Żelewskiego, to w niektórych momentach jeden wielki przegląd chorób kanclerza wielkiego litewskiego. Co miesiąc albo dwa uskarża się na powszechną w XVII w. podagrę, czyli dnę moczanową, kamienie w nerkach, czasem na bóle zębów, chiragrę, czyli ostrzejszą, bo nieleczoną postać wspomnianej dny, i generalnie cały komplet chorób, którymi obdarzała fortuna ludzi bogatych, lubujących się w winie, rybach i mięsie. W tym także melancholię, prowadzącą do śmierci, pod której mianem rozumiano depresję.

Zapewne dlatego staropolskie książki kucharskie pełne są potraw i likworów będących równocześnie lekami na różne przypadłości. Na przykład strucle na żołądek, wyrabiane z pół funta cukru z wódkami: różaną i lawendową, z cynamonem i goździkami, gałką muszkatołową, cytwarem, imbirem i skórkami z cytryny, zmieszanymi, ugotowanymi i uformowanymi na kształt bułki. Na suchoty pomagać miała z kolei mieszanina przygotowywana z tłuczonych migdałów, startego białego chleba zaprawionego szafranem, doprawionego cukrem, cynamonem, rodzynkami, a także zieloną pietruszką oraz oczywiście wódką różaną, która w tamtych czasach była składnikiem większości lekarstw. Wszystko to rozrabiano mąką, dodawano jajec gęsich i pieczono.

Stanisław Czerniecki dorzuca do tego kolejne przepisy: galaretę dla chorych przygotowywaną z kapłona, cielęciny, cielęcych nóżek, wymoczonych w wodzie, rozebranych i gotowanych w osolonej wodzie z wiązką pietruszki. Kiedy mięso odpadało od kości, należało tę mieszaninę odstawić, odlać do innego naczynia, odczekać, a potem zebrać z tego tłuszcz, przecedzić przez gęstą serwetę, dodać cukru i jeśli trzeba, wycisnąć cytrynę. Następnie tłustość należało długo gotować i przez woreczek (zapewne lniany) nalać w szklane naczynie, poczekać, aż stężeje. Choremu należało podawać po dwie albo trzy łyżki na dzień.

Kolejny medykament to kontuza, czyli po naszemu… krem z kurczęcia, którego przepis podaję poniżej, rozpuszczany rosołem, dobrze posilający słabych i schorowanych. Ogólnie jednak Czerniecki każe dawać im to, co i dziś zalecają lekarze – tłuste, rozgrzewające oraz dające siłę potazie, czyli rosoły.

Nic jednak nie przebije medykamentu, który poleca Wielądek w „Kucharzu doskonałym", czyli likworu vespetro, będącego doskonałym remedium na problemy świata doczesnego. Jest on dobry i skuteczny na: ból żołądka, niestrawności i wymioty, uśmierza kolki, oddala kłucie w boku i w piersiach, uwalnia od boleści w nerkach, uspokaja kamienie, obciążenie śledziony i ckliwość, odkręca zawroty głowy, a co najważniejsze: „romatyzm gubi", a ponadto krótki oddech umacnia, „glisty w dzieciach umarza", więc należy podawać go im po łyżce przez cztery lub pięć poranków z rzędu. A taki mocarny, że i diabła z lewaków wygoni! Sapienti zaś dodaje, że po nim nawet Petru zacznie gadać jak magister. Chroniąc od złego powietrza, „na bardzo wiele innych defektów pomaga". Polejmy i my po zacnym kielichu! ©℗

FOT. FOTOLIA

Kontuza dla chorych

Tłustego kurczaka opalamy, wstawiamy w wodę, wkrajamy dużo pietruszki. Gotujemy, aż mięso zrobi się miękkie i odpadnie od kości. Wybieramy je, rozcieramy i przebijamy przez sito razem z pietruszką (w dzisiejszej kuchni najlepiej użyć do tego odpowiedniej maszynki). Masę rozpuszczamy rosołem, jaki pozostał po gotowaniu kurczaka, podgrzewamy i podajemy.

Likwor vespetro aprobowany od doktorów królewskich w Montpellier

Bierzemy butlę, wlewamy dwie kwarty dobrej wódki (kwarta to trochę powyżej litra – zwykle 1,125 l). Tłuczemy w moździerzu i dodajemy przyprawy: 6 g nasienia dzięgielu, 23 g kolendry siewnej, szczyptę nasienia kopru i tyle samo anyżu, sok z dwóch cytryn z kawałeczkami skórki, 40 dg cukru, mieszamy to wszystko i odstawiamy na cztery albo pięć dni. Czasami potrząsamy butelką, aby cukier dobrze się rozpuścił. Potem przepuszczamy likwor przez bibułę albo bawełnę, rozlewamy w butelki po 0,5 l, zatykamy dobrze i odstawiamy. Im dłużej postoi, tym będzie bardziej krzepki.

eprasa.pl 9c18f8eb3d

UDANY EKSPERYMENT ARTURA ZAWISZY

Chociaż zdarzają się znakomici kucharze mężczyźni, ja do nich nie należę i z reguły odgrywam rolę kuchcika czy to przy znakomicie gotującej żonie, czy przy tej z córek, która świetnie odnajduje się w kuchni. Jednak życie czasem zmusza do samodzielności. Zdarzało mi się to w dawnych harcerskich latach, ale były to dania najprostsze, przygotowywane z prefabrykatów, więc tu nie ma się za bardzo czym chwalić. Jest bodaj tylko jedno jedyne danie przygotowane przeze mnie samodzielnie z naturalnych składników. Co prawda wolałbym, żeby to było danie z czerwonego mięsa, a najlepiej z dziczyzny, ale Pan Bóg poskąpił mi tej okazji. Tak się kiedyś zdarzyło, że wróciłem w piątkowy wieczór do domu, sądząc, że zastanę domowników, ale jakimś trafem wszyscy – i obie córki, i syn, i żona – byli poza domem i byłem wtedy skazany na siebie. Otworzyłem butelkę białego wina, jednak nie posłużyło ono do przyrządzania potrawy, ale do dodawania sobie animuszu, żebym był odważny w tych kuchennych bojach. Przyrządziłem w sumie prostą, ale bardzo smaczną zupę łososiową. Była tak dobra, że nikt oprócz mnie jej nie spróbował, zjadłem cały niemały garnczek tej zupy.

ZUPA ŁOSOSIOWA

Składniki:

- łosoś (świeży lub mrożony)
- ziemniaki
- warzywa (por, marchew, cebula, papryka)
- liść laurowy, ziele angielskie, pieprz i sól

Przygotowanie:

Obrane ziemniaki kroimy w drobną kostkę i gotujemy. Kiedy stają się miękkie, wrzucamy oskórowanego i pokrojonego w identyczną kostkę łososia (najlepiej świeżego, ale może też być rozmrożony). Dorzucamy ziele angielskie i liść laurowy. Kroimy w plasterki pora i marchew, natomiast cebulę oraz paprykę siekamy jak najdrobniej. W moim przypadku poprzestałem na tych czterech warzywach, ale można dodawać i inne. Warzywa smażymy na patelni na jakimś szlachetnym oleju, dodajemy je do garnka z ziemniakami i łososiem. Całość doprawiamy do smaku, ja używałem tylko soli i pieprzu. ©℗

oprac. raw

Artur Zawisza jest politykiem, członkiem Ruchu Narodowego, był posłem PiS.

FOT. ANDRZEJ GRYGIEL/PAP

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wendy, co zjeść?

Mamy już za sobą książki aktorek, piosenkarek, pisarek, żon piłkarzy oraz zwykłych celebrytek/celebrytów). Głosu nie zabrały jeszcze makijażystki, które dotąd wypowiadały się jedynie w kwestii malowania rzęs. Pora nadrobić zaniedbania i tematykę rozszerzyć, kuchnia to dziedzina przepastna. Każdemu pozwoli poczuć się pisarzem, każdemu da zarobić.

Oto książka „Jedz i bądź piękna". Autorka Wendy Rowe, „makijażystka i specjalistka od urody, znana z holistycznego podejścia do pielęgnacji skóry. Od ponad 20 lat pracuje z najlepszymi modelkami i gwiazdami. Jest konsultantką artystyczną marki Burberry ds. produktów urodowych". Tyle okładka. Są jeszcze dodatkowe „zachęcanki": przedmowę napisała gwiazda Hollywood Sienna Miller, z usług pani Rowe korzystała Victoria Beckham, która książkę uważa za wspaniałą. A skoro autorkę poleca Anja Rubik we własnej osobie – „Ilekroć coś się dzieje z moją cerą lub potrzebuję nowego pomysłu w makijażu, zwracam się do niej po radę. Wendy jest guru w kwestiach urody i skóry" – wiemy już na pewno, że dzieło jest godne uwagi.

W typologii książek kucharskich można wyodrębnić dzieła pisane dla smacznego jedzenia, dla diet oraz dla zdrowia i unikania chorób. Pielęgnacja urody wnosi tutaj nową wartość: gotować, żeby być pięknym. Któż nie chce? A tym bardziej być pięknym holistycznie.

WENDY ROWE „JEDZ I BĄDŹ PIĘKNA. CO I JAK JEŚĆ, BY MIEĆ PIĘKNĄ SKÓRĘ" FILO 2017

Ponieważ jedzenie to nie tylko jedzenie. Wycisz umysł, przygotuj kąpiel, posłuchaj muzyki, oddychaj głęboko, wyobraź sobie spokój – radzi pani Rowe. Żyj w rytmie pór roku. To w pierwszej kolejności. W drugiej zabieramy się za detoksykację, nawadnianie, oczyszczanie. Ogórek oczyszcza od wewnątrz, banany to lekarstwo na kaca, szpinak jest pogromcą wolnych rodników, papryczka chili poprawia krążenie. Eliksirem młodości jest granat, bazylia pozwala zachować młodzieńczy blask cery. Figi to wewnętrzny peeling („Kilka moich super hiper przyjaciółek ma domy z przepięknymi ogrodami, w których rosną drzewa figowe"). O skarbach zawartych w pomidorach uświadamiał nas już Jeremi Przybora, lepszej rekomendacji być nie może, ale za przypomnienie dziękujemy. Jednak pan Przybora zapomniał dodać, że pomidory regulują pracę gruczołów łojowych, co pomaga przy cerze tłustej i trądziku.

Pora kończyć i zabrać się za wyciszenie umysłu oraz głębokie oddychanie, a następnie za przygotowanie warzywnych rulonów z wodorostów nori. Najpierw należy zdobyć rzeczone oraz tamari, cokolwiek to jest. ©℗

NASZ TEST: VOLVO V40 T5 CROSS COUNTRY

Zgrabny, szybki, bezpieczny, ale mało praktyczny. Tak najkrócej można scharakteryzować niewielki model V40 z dwulitrowym silnikiem o mocy 245 KM. Szwedzki hatchback, który uznawany jest za jedno z najbezpieczniejszych aut na świecie, w swej najmocniejszej wersji potrafi dawać dużo radości z jazdy. To jednak raczej propozycja dla singli, chcących zaszpanować szybkim wozem – auto ma bowiem zbyt ciasne wnętrze, aby móc aspirować do miana samochodu rodzinnego.

W KABINIE

Szwedzka stylistyka w połączeniu z materiałami wysokiej jakości robi atrakcyjne wrażenie. Deski rozdzielcze konkurentów wyglądają jednak bardziej nowocześnie. Wygodne fotele są miękkie i dobrze podpierają ciało nawet podczas dynamicznej jazdy. Niestety, kabina nie jest najlepiej wyciszona, przez co przy dużych prędkościach – a w końcu po to się taką zabawkę kupuje, aby jeździć szybko – zbyt mocno słychać odgłos pracy silnika.

V40 Cross Country ma zwiększony prześwit, dzięki czemu można zjechać nim z asfaltu na polne drogi. Mimo to model ten nie jest zbyt praktyczny. Miejsca jest wprawdzie wystarczająco dużo, aby kierowca i pasażer na przednim fotelu mogli podróżować komfortowo, ale z tyłu przestrzeni już brakuje. Cztery osoby zmieszczą się bez problemu, ale pięciorgu dorosłym na pewno byłoby już ciasno. Minusem jest również niewielki bagażnik. Kufer ma zaledwie 324 l pojemności.

JAZDA

Auto pewnie się prowadzi, co jest zasługą zarówno precyzyjnego układu kierowniczego, jak i dobrze zestrojonego zawieszenia (jest sztywne, co pozwala na dynamiczną jazdę, ale wystarczająco komfortowe na różnego rodzaju wybojach).

Szwedzki hatchback w swej najmocniejszej odmianie pierwszą setkę osiąga w 6,1 s. Maksymalnie można się nim zaś rozpędzić do 210 km/godz. Podróż nim daje sporo frajdy, choć nie jest to najbardziej ekscytujący samochód do szybkiej jazdy. Podczas testu auto w mieście i na autostradzie spalało ok. 9–9,5 l/100 km, a na trasie ok. 6,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP model V40 zapisał się jako ten, który uzyskał najlepszy wynik w historii. Auto zdobyło aż 100 proc. punktów w kategorii wspomagania systemów bezpieczeństwa, 98 proc. punktów w kategorii ochrony dorosłych pasażerów oraz 88 proc.

w zakresie ochrony pieszego. Specjalne czujniki po wykryciu zderzenia z pieszym wyzwalają bowiem ukrytą pod maską poduszkę powietrzną. Z kolei system City Safety przy prędkości do 50 km/godz. automatycznie wykrywa ryzyko kolizji i w razie potrzeby najpierw ostrzega kierowcę, a w przypadku braku reakcji samodzielnie uruchamia hamulec, co pomoże złagodzić skutki zderzenia lub w ogóle uniknąć kolizji.

Inny system (BLIS) ostrzega kierowcę przed samochodami znajdującymi się w martwym polu lusterek, a także monitoruje ruch poprzeczny, dzięki czemu wyjeżdżając tyłem z parkingu, nie wjedziemy wprost pod koła rozpędzonej ciężarówki. Komputer pokładowy wyświetla także ostatnio mijane znaki, a także proponuje przerwę na kawę, jeśli wykryje, że nasz styl jazdy wskazuje na dekoncentrację.

Podczas manewrów na ciasnych miejskich uliczkach przeszkadzać może słaba widoczność do tyłu, choć problem rozwiązuje w dużej mierze kamera cofania.

CENA

Najtańsze V40 Cross Country T3 z benzynowym silnikiem o pojemności 2 l i mocy 152 KM kosztuje 108 tys. zł. Na testowaną wersję T5 z napędem na obie osie, automatyczną skrzynią biegów i silnikiem o mocy 245 KM trzeba już przeznaczyć ponad 155 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A3, BMW serii 1, Infiniti Q30, Lexus CT 200h, Mercedes klasy A, Volkswagen Golf ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 9c18f8eb3d

10. Forum Inwestycyjne

24 - 25 kwietnia 2017, Teatr im. Ludwika Solskiego w Tarnowie

LUDZIE – TECHNOLOGIE – ZARZĄDZANIE

FORUM INWESTYCYJNE

Miejsce spotkań inwestorów

z Polski i z Europy Środkowo-Wschodniej,

przedstawicieli rządów i parlamentów,

reprezentantów biznesu, założycieli startupów,

ekspertów, naukowców i innowatorów.

Dwa dni obrad - ponad 30 wydarzeń

(bloki tematyczne, panele dyskusyjne,

wykłady, prezentacje, raporty)

oraz ceremonia wręczenia nagród:

Inwestor roku i Inwestycja Roku.

Konkursy:

Startup Award 2017

(pula nagród 100.000 zł)

oraz Robot Show - zbuduj swojego robota!

(pula nagród 10.000 zł)

- www.inwestforum.pl
- forum@isw.org.pl
- #InwestForum
- @ForumEkonomiczne

Tarnów
Miasto Gospodarz
Forum Inwestycyjnego

MAŁOPOLSKA
GŁÓWNY PARTNER
FORUM INWESTYCYJNEGO

eprasa.pl 9c18f8eb3d

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Chłopiec z plakatu

MARCIN MAKOWSKI: Były prośby i groźby, aż w końcu miarka się przebrała i Jarosław Kaczyński powołał komisję do wyjaśnienia „bulwersującej opinię publiczną sprawy" Bartłomieja Misiewicza. To zakończy dyskusję?

MATTHEW TYRMAND: Wiesz, co mi się w pracach tej komisji najbardziej podobało? Po prawie dwóch latach wciskania Misiewicza na wszelkie możliwe stanowiska w okolicach MON i podległych mu spółek Skarbu Państwa okazało się, że „nie jest on zdolny do pełnienia powierzonych mu funkcji". Wcześniej był? Nie płakałbym jednak po Misiewiczu. Z pewnością będzie on w stanie spieniężyć pozyskane kontakty i wiedzę. Nie zdziwiłbym się, gdybym go zobaczył za jakiś czas w firmie lobbingowej. Oczywiście on sam jest w tej sprawie jedynie przejawem głębszego kryzysu komunikacyjnego na linii Macierewicz – Kaczyński, ale może cieszyć fakt, że to prezes PiS postawił na swoim. Inaczej Misiewicz byłby do końca kadencji „chłopcem z plakatu" – personifikacją przewagi znajomości nad kompetencjami – przez pryzmat którego opozycja metodycznie kąsałaby rząd. Niech jego przypadek posłuży jako przestroga dla innych ministrów, którzy chcieliby faworyzować swoich współpracowników w równie ostentacyjny sposób. Pod tym względem niezwykle cenię Kaczyńskiego. Wielu liderów partyjnych na jego miejscu schowałoby głowę w piasek.

Przestroga po tak długim czasie niemocy nie wygląda zbyt przekonywająco.

Być może, ale po doświadczeniu polskiego systemu politycznego od środka wcale mnie ten obrót wypadków nie dziwi. W pewnym sensie Misiewicz jest nie tylko „politycznym dzieckiem" Antoniego Macierewicza, lecz także dzieckiem chaosu kompetencyjnego, który panuje w każdym rządzie po upadku komunizmu. Poszczególne ministerstwa działają jak autonomiczne księstwa, które realizują własne, często sprzeczne z innymi resortami interesy. Chociaż teoretycznie istnieje, to w praktyce trudno wyegzekwować przestrzeganie hierarchii decyzyjnej. Dlatego później słyszymy, że premier nie może nic z tą czy inną sprawą zrobić, bo „to należy do kompetencji ministra". Jaskrawym przykładem tej systemowej słabości jest choćby ustawa o aptekach, która przepychana przez Ministerstwo Zdrowia i KPRM przeciw Morawieckiemu stawia interesy wąskich lobby ponad konkurencyjność rynku. To samo obserwowaliśmy przecież przy obsadzie stanowisk w PZU i na Polskiej Giełdzie Papierów Wartościowych – w rządzie brakuje spójności, a to szkodzi Polsce na arenie międzynarodowej. Pod tym względem trudno winić samego Misiewicza, on był jedynie wypadkową status quo. Równocześnie obnażył odwieczną słabość funkcjonowania spółek Skarbu Państwa, do których każdy rząd wciska swoich ludzi i traktuje je jak polityczny łup.

A jaką mamy alternatywę? Sprywatyzować zbrojeniówkę? Sprzedać banki? Nie strasz mnie Balcerowiczem.

A czego tu się bać? Co można, trzeba prywatyzować. Czego nie można, a mówimy np. o strategicznych gałęziach przemysłu, trzeba obwarować zapisami jasno wydzielającymi proporcje wpływu kapitału zagranicznego do polskiego i dać rządowi prawo, by o tym decydować. Inne przypadki, jak widzimy, siłą rzeczy rodzą patologie i zmierzają do budowy plutokracji, a nie demokracji.

Trudno udawać, że po decyzji Kaczyńskiego o wyrzuceniu Misiewicza z PiS wszystko będzie po staremu. Szykuje się rozłam?

Nie chciałbym się bawić w spekulacje, ale jeśli ktokolwiek może rzucić wyzwanie Jarosławowi Kaczyńskiemu, to bez wątpienia jest to Antoni Macierewicz. Szczerze jednak wątpię, aby chciał to zrobić. Myślę, że nawet jeśli coś jest na rzeczy, to szef MON nie wykona żadnego ruchu ze względów pragmatycznych. Zakładanie własnej partii to ogromne przedsięwzięcie, a jak historia pokazała, początkowy wzrost poparcia często nie utrzymuje się do wyborów. ©℗

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl 9c18f8eb3d

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

polski produkt

ZGŁOŚ PRODUKT NA
WWW.POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

ORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA, DO RZECZY

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

PARTNERZY: ALIOR BANK, asseco, ORLEN, Paged COLLECTION, pesa Bydgoszcz SA, Polski Holding Nieruchomości S.A., URSUS

eprasa.pl 9c18f8eb3d

OKIEM BLOGERKI

Misiewicz to stan umysłu

KATARYNA

POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA: ***Prawo do korzystania z samochodu służbowego przysługiwało panu Radosławowi Obolewskiemu w okresie jego zatrudnienia w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, a także przez trzymiesięczny okres wypowiedzenia określony w jego kontrakcie menadżerskim. Prawo to obejmowało także prawo do korzystania z firmowej karty paliwowej w celu regulowania należności za paliwo do auta. Po upływie tego okresu pan Obolewski zadeklarował chęć wykupu samochodu, do czego miał prawo na mocy zapisów w jego kontrakcie menadżerskim. Polska Grupa Zbrojeniowa przeprowadziła analizę prawno-podatkową, by wypracować korzystne dla spółki rozwiązanie. Obecnie trwają negocjacje pomiędzy panem Obolewskim a Polską Grupą Zbrojeniową dotyczące nabycia przez pana Obolewskiego samochodu, który w przeszłości służył mu jako auto służbowe.***

Szczerze mówiąc, chyba wolałabym, aby wszystkim chcącym się nachapać dać po samochodzie i pensji

Jeśli wierzyć „Faktowi", który sprawę opisał – i prawdopodobnie spalił transakcję – Obolewski ciągle jeździ służbowym volvo, tankując je nadal na koszt podatnika, choć prawo do tego utracił w styczniu, bo wtedy skończył mu się trzymiesięczny okres wypowiedzenia, w którym auto mu jeszcze przysługiwało. Kwota, jaką podobno zaproponował za wykup auta, to… 3 tys. zł. Negocjacje w sprawie ostatecznej ceny wykupu muszą być naprawdę ostre, trwają już trzeci miesiąc, a w tym czasie były prezes tankuje za pieniądze podatnika służbowe auto, do którego się tak przywiązał.

I pomyśleć, że jeszcze półtora roku temu Radosław Obolewski był tylko szefem Klubu Gazety Polskiej w Łomiankach i mężem właścicielki apteki, w której jako pomocnik aptekarza pracował Bartłomiej Misiewicz. A potem obaj postanowili się sprawdzić w zbrojeniówce, bo przecież „gdzie zdobyć to doświadczenie, gdzie się nauczyć tego warsztatu, gdzie potem korzystać z tego wszystkiego tak, aby skutecznie, słusznie i w pełni pracować dla Rzeczypospolitej Polskiej"?

Po ujawnieniu sprawy przez media prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej wydał kolejne oświadczenie, w którym zapewnia, że „prowadzi postępowanie, które ma doprowadzić do zwrotu samochodu" oraz „oczekuje bezzwłocznego zwrotu kosztów, wynikających z użytkowania przez niego samochodu". Sądząc po czasie, jaki zajmuje prezesowi odbijanie służbowego auta z rąk kumpla Misiewicza, jest on wobec protegowanego Misiewicza równie bezradny jak prezydent wobec ministra Macierewicza, do którego może pisać tylko kolejne, pozostające bez odpowiedzi, listy. I szczerze mówiąc, chyba wolałabym, aby wszystkim chcącym się nachapać dać po samochodzie i pensji, jeśli to by pomogło trzymać ich z daleka od państwowych spółek. Jak bowiem widać na przykładzie Obolewskiego, nie ma ani kompetencji, ani charakteru na najwyższe stanowiska w najbardziej strategicznych spółkach. ©℗

PODSŁUCHANE

Czerwona kartka

Panie premierze, muszę panu powiedzieć, że jak ten tłum się zgromadził, jak ruszył za panem, wokół pana, to… no, aż mnie ciary przeszły!
Dziękuję, panie Mateuszu. Ale wolałbym, żeby to jednak następnym razem trochę inaczej wyglądało, jeśli mamy jakoś współpracować.
Oczywiście, oczywiście. Ale co można poprawić?
Pierwsza sprawa: co za idiota wymyślił te czerwone kartki z moim zdjęciem?
No… to ja wymyśliłem. A niedobre były?
Pan wie, co to jest czerwona kartka? W piłce nożnej?
Wiem… Ale to przecież nie był mecz. Fakt, że pan grywa, ale… Myślałem, że takie wyraźniejsze będą.
Skojarzenie jest jednoznaczne. Następnym razem proszę konsultować takie rzeczy. Druga sprawa: proszę więcej nie sprowadzać osób z problemami natury psychiatrycznej. Potem są z tego śmiechy.
Ale kogo konkretnie? Ja pilnowałem, zaręczam…
A to indywiduum w jakiejś, bo ja wiem, chustce na głowie opiętej znaczkami KOD-u, co to je we wszystkich serwisach pokazali?
A nie, to pani Halinka, ona nam wszystkie transparenty robi. No fakt, taka trochę jakby… specyficzna, ale kasy za pracę nie chce.
Ech… No dobrze, musimy przemyśleć zasady naszej współpracy. Na razie pana pożegnam.
To dla mnie zaszczyt. Aha, może kupi pan cegiełkę na wydanie mojej książki?
A o czym książka?
O mnie oczywiście. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„By zostać dyktatorem, Erdoğan potrzebował referendum. Kaczyński po prostu wyrzucił konstytucję do śmietnika".

TOMASZ LIS,
publicysta, na Twitterze

eprasa.pl 9c18f8eb3d

Na 3 Maja

fot. Jerzy Gumowski

Patria nostra

Jeśli sądzić na pierwszy rzut oka to patriotyzm ma się u nas doskonale. Jedna erupcja patriotyzmu za drugą, przy czym nie same manifestacje/pochody/defilady w święta narodowe, lecz też projekty patriotyczne (np. projekt Łuku Triumfalnego Polskiego Zwycięstwa 1920, z hasłem: BÓG–HONOR–OJCZYZNA), i konkursy, i akademie szkolne, i grupy rekonstrukcyjne odtwarzające momenty narodowej chwały — jest patriotycznych inicjatyw/przedsięwzięć dużo. Wszystkie one wytwarzają (dzięki ekspozycjom medialnym) obraz powszechności patriotyzmu w społeczeństwie. Ale sądząc tak ulegamy złudzeniu, gdyż ta rzekoma powszechność to swoista fatamorgana. Młodzi ludzie, którzy noszą demonstracyjnie stroje firmy Red is Bad pełne patriotycznych godeł i napisów, są w istocie mizerną mniejszością, a znaczna większość młodych Polaków discopolowo *„olewa”* patriotyzm jako bezwartościowy (z wyjątkiem — dla niektórych — „patriotyzmu” kibolskiego). Ojczysta martyrologia, heroiczne tradycje itp., powodują czasami nawet wybuch agresji. Licealistka Majka, którą kilkanaście lat temu dziennikarz zapytał o stosunek do akowskich kombatantów, reagowała złością:

— Co mnie obchodzą te staruchy?! Mam ich gdzieś!

Trudno się dziwić — może czytała głośny artykuł w **„Gazecie Wyborczej”** o tym, że specjalizacją warszawskich powstańców z AK było likwidowanie Żydów? A może widziała w telewizji, iż prezydent Rzeczypospolitej stoi nad grobami męczenników pijany jak bela, dygocąc *„filipińską golenią”*? Takie lektury i takie widoczki bywają wielce sugestywne. Podobnie jak produkowane dziś przez Salon filmy *„dokumentalne”* (np. **„Polonez”** Agnieszki Elbanowskiej, czy **„Lekcja patriotyzmu”** Filipa Jacobsona), które patriotyzm wykpiwają.

Dzisiejsza polska młodzież (a także duża część trzydziestolatków i czterdziestolatków) została stracona dla patriotyzmu wskutek kilku przyczyn. Nie tylko przez *„jajcarskie”* wyśmiewanie patriotyzmu Gombrowiczowską manierą, czy przez kontrpatriotyczną indoktrynację rodziców tej młodzieży za czasów PRL–u i za czasów opiniotwórczej michnikiady. Także dzięki marnym ekipom rządowym III RP, które całymi latami słaniały się od skandalu do skandalu, od hańby do hańby (szczególnie paskudne były pod tym względem gabinety Buzka i Tuska). Co zresztą nie może dziwić, bo Polska została dotknięta mocnym upośledzeniem socjogenetycznym gdy NKWD i Gestapo wymordowało nam 90% ludzi honoru (których geny mogłyby dać kolejne pokolenia ludzi honoru, prawdziwą elitę intelektualną oraz burżuazyjną). Stąd dzisiejsze społeczeństwo polskie ma zbyt dużo wspólnego z przysłowiowym motłochem, zaś jego pseudoelity są bardziej pseudo aniżeli elitarne w dobrym sensie słowa elitarność.

Ciężkawą cegłę wlepili też patriotyzmowi spece od edukacji ograniczający szkolne lekcje historii do żenującego minimum, i autorzy podręczników historii, którzy drętwym (*„drewnianym”*) językiem, tudzież depersonifikacyjną (lansującą *„procesy”*) ględą zanudzają młodzież (a właściwie każdego) na śmierć. Wreszcie, *„last but not least”*, swoje robi także elektroniczny pęd globu, internet bowiem kosmopolityzuje (vel: odpatriotycznia) jak żadna z wcześniejszych sił czy ideologii. Rezultatem jest dialog młodych obserwatorów grupy rekonstrukcyjnej kopiującej **„Potop”** Sienkiewicza:

— Kim oni są?

— Nie wiem dokładnie, chyba ci samuraje, co pod Grunwaldem walczyli.

Pewien internauta skomentował ów autentyk następująco: *„Ja mam świadomość, iż program uczenia historii okrojono radykalnie, lecz żeby aż tak...”*. Ano tak. Historyk Paweł Machcewicz (dyr. Muzeum II Wojny Światowej) mówi dla gazety **„Rzeczpospolita”**: *„ —Z badań wynika, że bardzo wielu Polaków nie wie kto zamordował naszych oficerów w Katyniu. Tacy ludzie są produktami obecnego nauczania historii. Widać wyraźnie, że ten system jest fatalny (...) Jako wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim widzę, że studenci nie wiedzą co się wydarzyło w 1956, nie potrafią rozwinąć skrótu PZPR i nie słyszeli o Gorbaczowie”* (2012). Studenci Uniwersytetu Wrocławskiego też są dobrzy — nie kojarzą nazwy Gestapo. Prawie żaden polski student dzisiejszy nie jest w stanie wymienić czterech polskich królów. Analogicznie rodzimi politycy młodszej generacji — Dariusz Joński (rzecznik SLD) czy Ryszard Petru (boss .Nowoczesnej) — kompletne tumany historiograficzne, wywołujące salwy śmiechu bredzeniem o ostatnich stu latach historii ojczyzny. Ten partyjny symbol ujawnia syndrom.

Norwid: „Uczyć cię trzeba patriotyzmu...”

Słownikowo *„syndrom”* to *„zespół objawów charakterystycznych dla danej choroby”* (PWN). Apatriotyczność jako choroba daje istotnie cały zespół objawów. Do skrajnych należy granie patrioty przez renegata (co Teofil Lenartowicz diagnozował już półtora wieku temu rymem: *„Na brzęk łudzący moskiewskiego złota/Znajdzie się zawsze taki patryjota,/Który odgrywa rolę...”*), pseudohistoriozoficzne negowanie patriotyzmu (neoendek Adam Wielomski poświęcił całostronicowy tekst perswadowaniu jaką głupotą jest patriotyzm), oraz jawne szydzenie z patriotyzmu, w stylu salonowego plastyka Rafała Olbińskiego (który głosi antyprawicowo, że *„patriotyzm jest ostatnim schronieniem szubrawców”*), bądź w stylu komediantów Stuhrów (Filip Memches: *„Z rozmów pod wymownym tytułem **«Patriotyczny masochizm»**, które z oboma panami prowadził **«Newsweek»**, można się było dowiedzieć, że głównymi bolączkami obecnej Polski są antysemityzm, płytki katolicyzm i histeryczny patriotyzm”*, 2014). Pierwszy wszakże objaw apatriotyczności stanowi według mnie amnezyjność. Szczególnie niebezpieczna, bo masowa, bliska powszechnej — Polakom (zwłaszcza młodym) grozi amnezja narodowa tout court. Ryszard Legutko zwał to *„zapaskudzoną pamięcią”*, pisząc: *„Zapominanie przeszłości było jednym z priorytetów ideologii komunistycznej, podobnie jak utrzymywanie z nią ciągłości stanowiło jeden z podstawowych środków obrony przed systemem (...) Po upadku komunizmu wszystko poszło w drugą stronę. Nagle się okazało, że pamięć historyczna jest kulą u nogi postępu”* (2003).

Młode pokolenia masowo dystansują się od niej na rzecz bredni typu *„fantasy”*, lub głupot kosmitologicznych typu **„Gwiezdne wojny”**, lub gier à la „Pokemon Go”, lecz przede wszystkim zapominaniem, wypieraniem z mózgowego archiwum pamięci amnezyjnie. Amnezja jest chorobą, bardzo ciężką. I przedsionkiem jeszcze cięższej choroby: demencji. Kto zapomina adresy cmentarzy z alejami swych zasłużonych, ten się nie tylko wynaradawia, lecz i odczłowiecza, staje się bydlęciem wyzbytym przynależności — nikim. Narrator mojej powieści **„Kielich”** rzekł prawdę, gdy rzekł: *„Ale musisz mieć gdzie wracać. To może być człowiek, kamień, las, miasto lub rodzinny kąt. Rym lub ołtarz. Ścieżka w parku lub wspomnienie jednej chwili w życiu. Jakikolwiek serdeczny aspekt twojej egzystencji, materialny lub niematerialny, fizyczny lub psychiczny, będący opoką, niczym matka dla dziecka, które może przybiec do niej z drugiego pokoju czy z podwórka, i przytulić się, wciskając głowę między fałdy jej spódnicy, żeby poczuć przynależność. Na tym właśnie polega wolność, bo kotwica daje gwarancję azylu, daje schronienie przed szaleństwem dotykającym ludzi wyzutych z przynależności. Człowiek się oddala, błądzi, krąży, szuka celu, wchodzi i wychodzi, jest niżej, wyżej, obok, między, nad i pod — jest wszędzie, lecz ma za plecami kolebkę duchową. W przeciwnym razie człowiek jest nigdzie”* (2002).

Co tyczy również narodu. Apatriotyczność — to właśnie utrata duchowej kolebki. To uwiąd pamięci, jej zanik skutkujący atrofią patriotyzmu. Boże Miłosierny, ustrzeż mój naród od tego! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 9c18f8eb3d

POZWÓL MINI RATCE ŚCISNĄĆ TWOJE RATY

POŻYCZKA GOTÓWKOWA

Połącz swoje raty spoza PKO Banku Polskiego
w jedną wygodną Mini Ratkę.

- pożyczka w kwocie od 1000 aż do 120 000 zł
  (wraz z kredytowanymi kosztami)
- okres kredytowania od 1 do 120 miesięcy
- dodatkowe środki w wysokości do 25% konsolidowanej kwoty

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl 9c18f8eb3d